

# Jordan Robert

## Conan niepokonany



calibre 0.9.27

# ***JORDAN ROBERT***

# ***CONAN NIEPOKONANY***

**(CONAN THE UNCONQUERED)**

**Przełożył Cezary Frąc**

**Wydanie oryginalne: 1983**

**Wydanie polskie: 1999**

## **Prolog**

Sztormowe wichry znad Morza Vilayet hulały po siedzibie wyznawców Kultu Przeznaczenia. Kompleks, otoczony granitowym murem, przypominał niewielkie miasto, chociaż o tej porze nie było ruchu na ulicach. Coś więcej niż burza i noc trzymało w łózkach ludzi, modlących się o sen, jednak nawet garstka tych, którzy mogli domyślać się powodów, wołała się nad tym nie zastanawiać. Bogowie wynoszą, bogowie niszczą, ale nikt nigdy nie wierzy, że palec boga może spocząć właśnie na nim.

Człowiek, zwany obecnie Jhandarem, nie wiedział, czy bogowie ingerują w sprawy śmiertelników ani czy w ogóle istnieją. Jednego był pewien: istnienia wielu Mocy. Nauczył się wykorzystywać jedną z nich, a nawet zyskał nad nią pewną władzę. Bogów pozostawiał tym, którzy spali w świątynnym miasteczku i nazywali go swoim Najwyższym Panem.

Odziany w szaty o barwie szafranu, siedział ze skrzyżowanymi nogami w komnacie o gładkich ścianach z perłowego marmuru. Nie było tutaj okien, tylko dwa łukowate, niczym nie zdobione wejścia. Na środku połyskiwała płytka sadzawka o średnicy około dziesięciu kroków, otoczona okrągłymi kolumnami, które podtrzymywały sklepienie. Komnaty nie zdobiły żadne ornamenty czy rzeźby, bowiem nawet najbardziej wymyślne dzieła sztuki nie mogły konkurować z sadzawką i zawartą w niej Mocą.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że sadzawkę wypełnia woda. Pozory jednak myliły. W kolistym zagłębieniu zalegała substancja w kolorze jaskrawego błękitu nakrapianego połyskliwymi drobinami srebra. Jhandar medytował, pławiąc się w promieniowaniu Mocy, a sadzawka rozświetlała się coraz bardziej. Kiedy srebrzystoniebieska poświata zajaśniała z siłą tysiąca lamp, powierzchnia wzburzyła się i zagotowała, a ponad nią pojawiła się mgła. Gęstniejące opary przybrały kształt kopuły. Tworzyły one jak gdyby lustrzane odbicie sadzawki i wyznaczały granice Mocy. W ich obrębie zamknięto nieład, tutaj uwięziony był sam Chaos. Jhandar widział pewnego razu skutki oswobodzenia Chaosu; nie chciałby ujrzeć tego po raz wtóry. Ale coś takiego już się nie powtórzy. Ani teraz, ani nigdy.

Czuł, jak Moc przenika jego ciało, wsącza się w kości aż do szpiku. Nadszedł czas. Podniósł się zwinnie i wkroczył do wąskiego korytarza oświetlonego lampami z brązu. Jego bose stopy plaskały o zimny marmur. Chętnie manifestował swoją prostotę, nawet w takich drobiazgach jak to, że nie nosił sandałów. On, podobnie jak sadzawka, nie potrzebował żadnych upiększeń.

Korytarz prowadził do okrągłego sanktuarium. Tutaj białe ściany pokryte były misternymi arabeskami, a sklepienie wspierało się na wysokich, żłobkowanych kolumnach z alabastru. Blask spływał ze złotych kaganków zawieszonych na srebrnych łańcuchach. Główne wejście zamykały masywne, kute w brązie odrzwia, zdobione od środka i na zewnątrz wizjami Chaosu. Stworzył je pewien artysta pod wpływem Mocy, zanim oszalał i przedwcześnie zabrała go śmierć. Moc nie była dla wszystkich.

Czterdziestu zgromadzonych tu ludzi - jedna piąta jego Wybranych - potrzebowało tego pokazu świetności, który podkreślał doniosłość ich sprawy. Jednakże najważniejszy element komnaty, ołtarz umieszczony dokładnie pośrodku kręgu tworzonego przez ściany, był prostą bryłą czarnego marmuru.

Czterdziestu mężczyzn odwróciło się w milczeniu, gdy Jhandar wszedł do komnaty. Wszyscy nosili szafranowe szaty i mieli ogolone głowy, zgodnie z wymogami kultu - to samo prawo zabraniało kobietom ścinać włosy. Oczy wpiły się chciwie w przybyłego; uszy natężyły się, by usłyszeć jego słowa.

- Przychodzę znad Sadzawki Kresu - zaintonował Jhandar.

W komnacie narosło westchnienie, jak gdyby przybył bezpośrednio od samego boga. Przypuszczał, że tak właśnie myśleli. W swojej naiwności byli przekonani, że znają cele i znaczenie Kultu, lecz w rzeczywistości nie mieli o niczym pojęcia. Jhandar powoli podszedł do czarnego ołtarza, a zebrani śledzili jego ruchy. W ich oczach błyszczała duma, że mogą towarzyszyć temu, który stoi tylko odrobinę niżej od najwyższego boga. On sam nigdy tak o sobie myślał, mimo wszystkich swoich ambicji.

Jhandar był wysokim mężczyzną, dobrze zbudowanym, choć wysmukłym. Twarz miał gładką, o dobrotliwym wyrazie, a czaszkę dokładnie wygoloną. Jego uszy sprawiały wrażenie lekko spiczastych, co nadawało mu wygląd przybysza z innego świata. Trudno było odgadnąć jego wiek, choć głębia w ciemnych oczach sugerowała, że jest starszy nad wszelkie wyobrażenia. Właśnie te oczy często przekonywały innych o jego wielkiej mądrości, jeszcze zanim otworzył usta. W rzeczywistości nie miał nawet trzydziestu lat.

Jhandar wzniósł ręce nad głowę, odrzucając poły szaty.

- Słuchajcie!

- Słuchamy cię, Najwyższy Panie! - zawołało jak jeden mąż czterdziestu zgromadzonych.

- Na początku była nicość. Wszystko powstało z nicości.

- I w nicość wszystko musi się obrócić.

Jhandar pozwolił sobie na lekki uśmiech. Zawsze bawiło go to zdanie, slogan wymyślony na potrzeby wyznawców. Faktycznie wszystko musi obrócić się w nicość. Kiedyś, ale na pewno nie w najbliższym czasie. I ta prawda bynajmniej nie odnosiła się do niego.

Kiedy był jeszcze chłopcem, znanym pod pierwszym z wielu imion, które później przybierał, przeznaczenie powiodło go za Morze Vilayet, za daleką Vendhyę, do legendarnego Khitai. Tam, u stóp uczonego maga, starego człowieka z długimi wąsami i o skórze barwy pociemniałej kości słoniowej, wiele się nauczył. Jednak spędzanie całego życia na poszukiwaniu wiedzy nie pociągało go. W końcu był zmuszony zabić starca, żeby zdobyć to, czego pragnął: księgę zaklęć i czarów. Nim zdołał opanować magiczne arkana, morderstwo wyszło na jaw i został aresztowany. Na szczęście wiedział już wystarczająco dużo, żeby uwolnić się z kamiennej celi i uciec z Khitai. Nie raz jeszcze musiał uciekać, ale te czasy minęły bezpowrotnie. Nauczył się na własnych błędach. Teraz piął się w górę, na niebosiężne wyżyny.

- Na początku nic nie miało właściwych kształtów. Władał Chaos.

- Błogosławiony niech będzie Święty Chaos - padło w odpowiedzi.

- Chaos był i jest naturalnym stanem wszechświata. Jednakże pojawili się bogowie, także zrodzeni z Chaosu, i na Chaosie, z którego sami się wyłonili, wymusili porządek - nienaturalny, świętokradczy ład. - Jego głos pieścił ich, budził w nich lęk, a potem go uciszał, rozniecał w nich nadzieję i rozpalał emocje. - I w tym akcie wymuszenia dali człowiekowi ohydny dar, nieczystość, która na zawsze uniemożliwiła zdecydowanej większości rodzaju ludzkiego osiągnięcie wyższego stanu świadomości, aby stali się równymi bogom. Bogowie bowiem wywodzą się z Chaosu, ze skończonego nieładu, a człowiek ma w sobie skazę wymuszonego porządku.

Zamilkł i rozłożył ramiona, jakby chciał przygarnąć wszystkich Wybranych do piersi. Ekstazy zapłonęło w ich oczach, gdy czekali na spodziewane i potrzebne im błogosławieństwo.

- Pracowaliście przykładowo - zaczął - żeby pozbyć się nieczystości tego świata. Odrzuciliście swoje doczesne dobra. Wyparliście się uciech cielesnych. Teraz - jego głos urósł do grzmotu - teraz jesteście Wybranymi!

- Błogosławiony Święty Chaos! Jesteśmy Wybranymi Świętego Chaosu!

- Niechaj przywiodą tutaj kobietę Natryn - rozkazał Jhandar.

Wielmożna Natryn, żona wielmożnego Tarimana, czekała zamknięta w niewielkiej komorze. Gdy przyprowadzono ją do komnaty z kolumnami, wcale nie wyglądała na małżonkę jednego z Siedemnastu Doradców turańskiego króla Yildiza. Naga, z rękami związanymi na plecach, ze skórzanym kneblem w ustach, potykała się w okowach, które skuwały jej stopy. Przewróciłaby się na marmurową posadzkę, gdyby nie podtrzymali jej dwaj Wybrani. Duże brązowe oczy kobiety stały się jeszcze większe z przerażenia, a skóra załśniła od potu. Była szczupła, lecz miała pełne piersi i zaokrąglone biodra. Tylko Jhandar dostrzegał w niej kobietę, dla Wybranych bowiem stanowiła owoc zakazany.

- Próbowałaś mnie zdradzić, Natryn.

Naga kobieta wstrząsnęła się na te słowa niczym ukłuta igłami. Zainteresowała się naukami kultu jak wiele innych znudzonych kobiet wysokiego rodu, ale wyróżniała się dzięki mężowi i jako żona Doradcy była niezbędna dla spełnienia wielkiego planu Jhandara. Za sprawą czarów zgłębił on wszystkie mroczne i wstydlive strony jej życia. Większość szlachetnie urodzonych kobiet Turami miała na sumieniu liczne grzeszki i gotowa byłaby zabić, byle ich sekrety nie wyszły na światło dzienne. Natryn, mająca niezliczonych kochanków i nurzająca się w rozpuście, nie różniła się od nich. Wybuchnęła płaczem, gdy czarnoksiężnik oświadczył, że zna jej przewiny, i buntowała się przeciwko jego rozkazom, ale wreszcie zgodziła się wywrzeć nacisk na męża. Jhandar przydał jej magicznego obserwatora, który wyjawiał, że w rzeczywistości Natryn zamierza pójść do męża, wyznać mu wszystko i zdać się na jego łaskę. Jhandar nie zabił Natryn w pozornie bezpiecznych komnatach mężowskiego pałacu, lecz kazał przyprowadzić ją do siebie, żeby mimo wszystko odegrała swoją rolę w jego wielkim projekcie. Kobieta obawiała się śmierci, ale on obmyślił dla niej coś znacznie gorszego.

- Przygotujcie tę kobietę - polecił.

Natryn na próżno szamotała się w ramionach mężczyzn, którzy podnieśli ją i ułożyli na czarnym ołtarzu. Gdy przymocowali jej ręce i nogi do kamienia, wyjęli knebel. Oblizwała spieczone ze strachu usta i zaczęła błagać.

- Łaski, Najwyższy Panie! Pozwól, będę ci służyć!

- Już mi służysz - odparł Jhandar.

Z tacy z kutego złota, podsunętej przez jednego z Wybranych, mag wziął nóż o srebrnym ostrzu i wznosił go wysoko nad ciałem kobiety. Wybrany spiesznie odstawił tacę na podłogę przy ołtarzu i cofnął się. Wrzaski Natryn stopiły się ze śpiewem Jhandara, który zwracał się do Mocy Chaosu. Słowa odbijały się od ścian, choć wcale nie podnosił głosu; nie pragnął zagłuszyć zawodzenia ofiary. Wyczuwał przepełniającą go Moc. Srebrzystolazurowa kopuła przysłoniła ołtarz, ofiarę i czarownika. Wybrani padli na kolana i zdjęci grozą przycisnęli twarze do marmurowej posadzki. Nóż Jhandara opadł. Natryn targnęła się konwulsyjnie i wrzasnęła po raz ostatni, gdy sztylet po samą rękojęść ugrzązał pod jej lewą piersią.

Jhandar szybko podniósł z tacy dużą złotą misę. Głownia i krótki jelec sztyletu były wydrażone, do misy popłynął więc strumień krwi prosto z serca. Z początku krew płynęła szybko, a potem tylko

parę kropel skapnęło do misy, tworząc na powierzchni karminowe kręgi.

Jhandar wyciągnął sztylet z ciała i wznosił go razem z misą, wzywając Moc słowami, które brzmiały jak wykute z lodu. Przywoływał życie, nie będące już życiem i śmierć, która nie była śmiercią. Przechylił misę, żeby wylać krew z serca Natryn. Szkarłatna kaskada przelała się nad krawędzią naczynia i rozpuściła się w nicość, a wówczas rozjarzona kopała spłowiwała i zniknęła.

Z uśmiechem satysfakcji Jhandar wypuścił z rąk instrumenty swoich czarów. Popatrzył na Natryn. Rana już nie szpeciła jej gładkiej skóry.

- Przebudź się, Natryn - rozkazał, rozwiązując jej więzy.

Oczy zasztyletowanej przed chwilą kobiety otworzyły się. Popatrzyła na Jhandara, a jej spojrzenie wyrażało obłądny strach i pustkę.

- Byłam... byłam martwa - wyszeptała. - Stałam przed Tronem Erlika. - Drżąc, skuliła się na ołtarzu. - Zimno mi.

- I nic dziwnego - rzekł Jhandar bez cienia litości. - Krew już nie krąży w twoich żyłach, bowiem nie żyjesz. Nie jesteś też martwa. Stoisz między życiem a śmiercią, i jesteś zobowiązana do bezwzględnego posłuszeństwa, dopóki nie spotka cię prawdziwa śmierć.

- Nie - załkała - nie będę...

- Milcz - przykazał ostro.

Protesty ucichły w jednej chwili.

Jhandar odwrócił się do swoich wyznawców. Wybrani, którzy wreszcie ośmielili się oderwać twarze od podłogi, wpatrywali się w niego wyczekująco.

- W imię czego uderzycie? - zapytał.

Wybrani wyjęli z fałd szat ostre jak igły sztylety i dźgnęli nimi powietrze.

- W imię nieładu, zamętu i anarchii! - ryknęli. - W imię Świętego Chaosu! W imię śmierci!

- Zatem uderzcie!

Sztylety zniknęły, a Wybrani jeden po drugim wysunęli się z komnaty, żeby wyszukać tych, których imiona Jhandar podał im wcześniej.

Jaka szkoda, pomyślał czarownik, że stary mag już nie żyje i nie może zobaczyć mojej chwały. O ileż uczeń przewyższył mistrza i jak wspaniale czekało go przeznaczenie!

Pstryknął palcami i ta, która teraz tylko po części była wielmożną Natryn z Turami, potulnie wyszła za nim z ofiarnej komnaty.

# I

Wiele miast nosiło miana „Potężne” czy „Niegodziwe”, ale Aghrapur, rozległe skupisko wież z kości słoniowej i złotych kopuł, stolica Turanu, a dla jego mieszkańców - centrum świata, nie potrzebowało takich określeń. Niegodziwość tego miasta i jego potęga były tak dobrze znane, że nadawanie mu jakichkolwiek przydomków przypominałoby pozłacanie złota.

Tysiąc i trzech złotników figurowało w księgach miejskiej gildii, dwakroć tylu rzemieślników parało się obróbką srebra, a o połowę więcej zajmowało się handlem klejnotami i drogocennymi kamieniami. Wraz z niezliczonymi kupcami jedwabiu i pachnideł zaspokajali potrzeby gorącokrwistych, ciemnokoch kobiet wysokiego rodu i smukłych, zmysłowych kurtyzan, które często zdawały się bardziej szlachetne niż ich siostry błękitnej krwi. W obrębie wyniosłych, alabastrowych murów Aghrapuru można było zaspokoić wszelkie zachcianki: śniadoliczy przybysze z Iranistanu rozprawiali proszek marzeń sennych i mgłę namiętności, a pensjonariuszki wyspecjalizowanych domów rozpusty przy Ulicy Gołębic potrafiły zadowolić najbardziej wybrednego klienta.

Turańskie triremy rządziły niepodzielnie błękitnymi przestrzeniami Morza Vilayet, a ciężkie dromondy zwoziły do wielkiego portu Aghrapuru towary z tuzina zamorskich państw. Karawany dostarczały na targowiska bogactwa z innych, niedostępnych drogą morską krajów. Szmaragdy i małpy, kość słoniowa i pawie - można tu było znaleźć wszystko, czego mogli chcieć ludzie, skądkolwiek by to po - chodziło. Smród bijący od niewolników z Khawarismu ginął w zapachu pomarańczy z Ophiru, mirry i goździków z Vendhii, olejków różanych z Khauranu i subtelnych pachnideł z Zingary. Po szerokich, wykładanych kamiennymi płytami ulicach stolicy przechadzali się wysocy kupcy z Argos i ciemnoskórzy przybysze z Shem. Półdżicy, skorzy do bitki Ibarowie z gór mijali się z korynckimi uczonymi, a kothyjscy najemnicy z kupcami z Keshanu. Mawiano, że w Aghrapurze nie ma dnia, żeby nie spotkały się dwie osoby, z których jedna święcie wierzyła, iż ojczyzna drugiej jest czystym wymysłem.

Wysoki młodzieniec, kroczący rojnymi ulicami z gracją polującego kota, nie przejmował się cudami miasta. Z dłonią lekko zaciśniętą na podniszczonej skórzanej rękojeści miecza mijał marmurowe pałace oraz wózki handlarzy owocami z obojętnością równą tej, z jaką czarnogrzywy lew mijałby stosy kamieni. Jego błękitne jak agaty oczy były czujne, jednak na spalonej słońcem twarzy odbijało się zmęczenie podróży, a lamowany szkarłatem płaszcz pokrywał kurz. Miał za sobą długą i ciężką drogę z Sultanapuru, który musiał opuścić bez pożegnania z przyjaciółmi. Nie mógł zabrać swojego dobytku. Ratował głowę przed katowskim toporem - drobny przemysł i parę innych wykroczeń doprowadziły do konfliktu z królewskim prawem.

Przebył daleką drogę od czasu, gdy opuścił strzeliste turnie rodzimej Cymmerii, i to nie tylko dosłownie. Przez parę lat parał się złodziejskim rzemiosłem w Nemedii, Zamorze i miastach-państwach Koryntii. Chociaż nie miał jeszcze dwudziestu lat, postanowił zadbać o swoją przyszłość. Widział wielu żebraków, którzy w młodości byli złodziejami, ale nigdy nie spotkał bogatego złodzieja. Złoto pochodzące z kradzieży zdawało się przeciekać między palcami niczym woda przez sito. Pragnął dla siebie czegoś lepszego. Dlatego zajął się przemysłem i choć jego wysiłki spełzyły na

niczym, nie dał się zniechęcić. W Aghrapurze, jak mówiono, można było znaleźć wszystko. Gdy pospiesznie opuszczał Sultapur, życzliwi udzielili mu wskazówek co do miejsca, w którym można otrzymać informacje. Szukał właśnie tawerny Pod Błękitnym Bykiem. Dobre informacje zawsze stanowią klucz do sukcesu.

Jego zadumę przerwała kakofonia niezgranych dźwięków. Niebieskooki wędrowiec zobaczył, że zatłoczoną ulicą ciągnie dziwaczna procesja. Na czele paradował żylasty, ciemnoskóry sierżant turańskiej armii, ubrany w szerokie szarawary, w spiralnym hennie z zawojem i z szablą u biodra. Za nim podążał żołnierz energicznie bijący w bęben, a dalej dwóch innych, z równym zapałem dmuchających w piszczałki. Dalszych dziesięciu z halabardami, eskortowało czy też pilnowało tuzina młodych ludzi w pstrokatych strojach; najwyraźniej próbowali maszerować w rytm bębna. Sierżant uchwycił spojrzenie młodzieńca i szybko podszedł do niego.

- Niechaj bogowie będą z tobą. Widzę, że jesteś człowiekiem, który szuka... - sierżant urwał i aż sapnął ze zdziwienia. - Na Mitrę! Twoje oczy!

- Coś z nimi nie w porządku? - warknął muskularny młodzieniec.

- Nie, nic, przyjacielu - odpowiedział sierżant, wznosząc rękę w przeproszającym geście. - Po prostu nigdy wcześniej nie wiedziałem oczu koloru morza.

- Tam, skąd pochodzę, niewielu ludzi ma ciemne oczy.

- Aha. Przybywasz więc z daleka w poszukiwaniu przygód. Gdzie miałbyś je znaleźć, jak nie w armii króla Turami, Yildiza? Ja jestem Alshaam. Jak ty się zowiesz?

- Conan - odparł muskularny młodzieniec. - Nie interesuje mnie służba w waszej armii.

- Pomyśl tylko, Conanie - kontynuował niezrażony sierżant, głosem ociekającym słodyczą jak to będzie po zakończeniu kampanii. Gdy wrócisz obładowany łupami, w oczach kobiet staniesz się bohaterem i zdobywcą. Słuchaj, człowieku, zaczną za tobą szaleć. Sądząc z wyglądu, jesteś do tego stworzony.

- Czemu nie próbujesz namawiać tamtych? - zapytał Conan, wskazując głową grupkę hyrkańskich nomadów w płaszczach z owczej skóry i workowatych spodniach z szorstkiej wełny. Wszyscy nosili futrzane czapy głęboko naciągnięte na nasmarowane tłuszczem włosy i podejrzliwie rozglądali się dokoła. - Z pewnością marzą o zostaniu bohaterami - dodał ze śmiechem.

Sierżant parsknął pogardliwie.

- Nie da się im wpoić dyscypliny. To dziwne, że widzimy ich tutaj. W zasadzie nie lubią tej strony Morza Vilayet. Ale wróćmy do ciebie. Pomyśl nad rym. Przygoda, chwała, łupy, kobiety. Dlaczego...

Conan potrząsnął głową.

- Nie mam zamiaru zostać żołnierzem.



- Może zmienisz zdanie, gdy się napijemy? Nie? - Sierżant westchnął ciężko. - Szkoda. Muszę zwerbować określoną liczbę ludzi. Król Yildiz powiększa armię, a kiedy armia będzie odpowiednio duża, ruszy w pole. Zapamiętaj moje słowa, trafi się wiele okazji do zdobycia łupów. - Skinął na swoich żołnierzy. - Ruszamy! - Chwileczkę - zatrzymał go Conan. - Możesz mi powiedzieć, gdzie znaleźć tawernę Pod Błękitnym Bykiem?

Sierżant skrzywił się.

- To spelunka na Ulicy Lotosowych Marzycieli, blisko portu. Jak nic, poderzną ci tam gardło za parę butów. Zajrzyj lepiej do szynku Pod Zniecierpliwioną Dziewicą na Ulicy Monet. Wino jest tanie, a dziewczyny czyste. I gdybyś zmienił zdanie, poszukaj mnie. Pamiętaj, Alshaam, sierżant w regimencie generała Mundary Khana.

Conan odstąpił na bok, żeby przepuścić kolumnę, i rekruci pociągnęli dalej, ambitnie próbując zrównać krok. Gdy Conan odwrócił się od maszerujących żołnierzy, omal nie został stratowany przez kolejną procesję złożoną z około dwudziestu osób odzianych w szafranowe szaty. Mężczyźni mieli ogolone głowy, a kobiety nosiły warkocze sięgające poniżej pośladków. Ich przywódca uderzał w tamburyn, którego dźwięk stanowił tło dla cichej recytacji. Uczestnicy procesji kroczyli tak, jakby nie widzieli ani Conana, ani nikogo innego. Cymmerianin uskoczył im z drogi i wpadł prosto w gromadę hyrkańskich koczowników.

Stłumione przekleństwa zawisły w powietrzu wraz z wonią natartych zjełczałym łojem włosów. Czarne oczy spojrzały nań z nienawiścią, a ciemne, stwardniałe dłonie zacisnęły się na rękojeściach długich, zakrzywionych noży. Conan chwycił miecz, pewien, że lada chwila rozgorzeje walka. Nagle, o dziwo, oczy Hyrkańczyków oderwały się od niego i jęły śledzić procesję, która niestrudzenie parła tłoczną ulicą. Nomadowie pospieszyli za odzianymi w szafranowe szaty uczestnikami procesji.

Zdumiony tym jawnym brakiem zainteresowania, Conan ruszył w swoją stronę. Nikt nigdy by nie powiedział, że Aghrapur nie jest miastem osobliwości, pomyślał.

Gdy zbliżył się do portu przyszło mu do głowy, że ze wszystkimi swoimi osobliwościami miasto wcale nie różni się od innych, jakie znał. Zostawił za sobą pałace wielmożów, sklepy kupców i krzątanie zamożnych mieszczan. Tutaj tynk z wyschniętego błota odpadał od ceglanych ścian podupadających domów, zamieszkałych mimo swojej ruiny. Przekupnie zachwalali owoce zbyt obite i robaczywe, by udało się sprzedać je gdzie indziej, a straganiarze oferowali błyskotki z pozłacanego mosiądzu - o ile faktycznie było na nim jakieś złocenie. Wszędobylscy żebracy w łachmanach zawodzili na cały głos, próbując zwrócić uwagę przechadzających się żeglarzy. Ladacznic spotykało się niemal tyle, co żebraków - obwieszane oliwinami i granatami, które miały uchodzić za szmaragdy i rubiny, paradowały w przejrzystych jedwabiach nie tyle skrywających, ile uwydatniających pełne piersi i krągłe pośladki. Powietrze, gęste od woni soli, smoły, korzeni i gnijących odpadków, przepełniał bezustanny gwar, w jaki zlewały się błagania żebraków, zaczepki prostytutek i okrzyki przekupniów.

Ponad ten harmider wybił się dziewczęcy głos:

- Jeśli zachowacie trochę cierpliwości, starczy dla wszystkich.

Zaciekawiony Conan spojrział w stronę, z której dobiegał głos, ale zobaczył tylko tłum żebraków kłębiący się przed zrujnowanym budynkiem. Zdawało się, że wszyscy dążą do jednego celu, do kogoś lub czegoś znajdującego się pod samym murem. Żebracy zbiegali się ze wszystkich stron, aby dołączyć do wrzącej gawiedzi, a parę ladacznic pracowicie torowało sobie drogę łokciami. Nagle ponad tłumem ukazała się dziewczyna, jakby wstąpiła na ławę.

- Cierpliwości! - zawołała. - Dam wam wszystko, co mam!

Z pewnym trudem trzymała wielką i najwyraźniej ciężką rzeźbioną szkatułkę. Podniesione wieczko pozwalało dojrzeć płataninę klejnotów. Jeden po drugim wyjmowała je i rzucała w chciwie wyciągnięte ręce. Zachłanne głosy wołały o więcej.

Conan potrząsnął głową. Ta dziewczyna nie mogła pochodzić stąd. Jej szatę z kremowego jedwabiu zdobił kosztowny haft ze złotogłowiu. Strój ani nie odślaniał, ani nie podkreślał jej zmysłowej figury, choć powabne kształty nie mogły skryć się przed doświadczonego wzrokiem Cymmerianina. Dziewczyna nie miała uciemionych powiek i uróżowanych policzków jak ladacznice, a jednak była śliczna. Jej owalną twarz okalały długie kruczoczarne włosy, skórę miała barwy ciemnej kości słoniowej, a oczy duże i wzruszająco brązowe. Conan zastanawiał się, co za szaleństwo przywiodło ją do portowej dzielnicy.

Zgromadzeni zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego.

- Daj mi!

- Ja też chcę!

Na twarzy dziewczyny odmalowała się konsternacja.

- Cierpliwości. Proszę.

- Więcej!

- I to już!

Trzej mężczyźni z żeglarskimi warkoczykami, zwabieni krzykiem, zaczęli przedzierać się przez rosnący tłum w stronę dziewczyny. Żebracy, zwykle łaszący się do każdego, teraz stali się nieustępliwi. Gdy mimo wszystko zostali zepchnięci do tyłu, w stronę żeglarzy posypały się burkliwe przekleństwa, potem głośnie pogroźki. Nastrój gawiedzi uległ znaczącej zmianie, w powietrzu zawisła groźba bijatyki. Naraz szczerbaty obdartus potoczył się po bruku, powalony twardą pięścią żeglarza. Ladacznice pisnęły z przestachu, a żebracy krzyknęli gniewnie.

Conan wiedział, że powinien pójść dalej. To nie był jego problem, on musiał znaleźć karczmę Pod Niebieskim Bykiem. Ta sprawa powinna rozwiązać się sama, bez jego udziału. W takim razie dlaczego nie odchodził?

W tej chwili kościste, pokryte wrzodami ręce wyszarpnęły szkatułkę z ramion dziewczyny. Stała bezradnie, gdy wokół rozpętała się bijatyka. Szkatułka przechodziła z rąk do rąk, klejnoty sypały się

na bruk, skąd skrętnie zgarniały je zachłanne palce mężczyzn i kobiet. Oblepiani brudem żebracy powariowali z wściekłością. Odziane w jedwab ładacznic, krzywiąc wypacykowane twarze, drapały się długimi, malowanymi paznokciami i tarzały po bruku, wierzgając gołymi nogami.

Nagle jeden z żeglarzy, mężczyzna z przepaską na prawym oku i z blizną na szerokim nosie, wskoczył na ławę obok dziewczyny.

- Oto czego ja chcę! - ryknął. Złapał dziewczynę na ręce i rzucił ją czekającym kamratom.

- Niech Erlik porwie wszystkie głupie baby - mruknął Conan.

Żebracy i ładacznic, ogłupiali z chciwości, zatraceni w pogoni za złotem, nie zwracali uwagi na potężnie zbudowanego młodego Cymmerianina, który przemykał wśród nich niczym drapieżne zwierzę. Człowiek z blizną i jego kompani, chudy Kothyjczyk o świdrujących oczkach i sęponosy Iranistańczyk w brudnym, pasiastym zawoju, byli zbyt zajęci dziewczyną, aby zauważyć jego nadejście. Pasiaste kaftany żeglarzy lepiły się od rybiego oleju i smoły. Spowijał ich kwaśny odór korzennej kuchni okrętowej.

Dziewczyna krzyczała i szamotała się, bezskutecznie tłukąc drobnymi piąstkami po ich ramionach i piersiach zahartowanych przez trudy życia na kapryśnym, sztormowym Morzu Vilayet.

Wielka ręka Conana zacisnęła się na karku Kothyjczyka i pchnęła go w tłum kotłujący się wokół kasetki. Z rozkwaszonego nosa Iranistańczyka trysnęła krew, a drugi zamaszty cios pięścią sprawił, że człowiek z blizną legł obok swoich kamratów na zaśmieconej ulicy.

- Znajdźcie sobie inną kobietę - warknął Cymmerianin. - Wokół jest pełno ładacznic. Dziewczyna patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, jakby była niepewna, czy jest wybawicielem, czy też kolejnym prześladowcą.

- Wyrwę ci wątrobę i wydłubię ślepie - syknął ten ze szramą - a resztę rzucę rybom na pożarcie. - Podniósł się z braku, z zakrzywionym khawarismijskim sztyletem w dłoni.

Pozostali dwaj stanęli za nim, potrząsając krzywymi nożami. Mężczyzna w turbanie chciał rzucić Conanowi groźne spojrzenie, lecz popsuł efekt, wycierając wolną ręką krew lejącą się ze zmiażdżonego nosa. Kothyjczyk postanowił naurągać przyszłej ofierze. Przerzucając sztylet z ręki do ręki, ze złośliwym uśmieszkiem na cienkich wargach wyszczał:

- Obedrzemy cię ze skóry, barbarzyńco, i powiesimy na rei. Długo będziesz wrzeszczeć, nim pozwolimy ci...

Jedna z lekcji, jakie Conan pobierał przez całe życie, mówiła, że kiedy nadchodzi czas walki, to trzeba walczyć, nie gadać. Szeroki miecz płynnie wysunął się z podniszczonej pochwy ze skóry rekina i wzniosł się do uderzenia. Kothiańczyk wytrzeszczył oczy i próbował przyjąć na sztylet ostrze, które sunęło ku niemu z miażdżącą siłą. Miecz przeorał szczękę, zostawiając cięcie głębokie na palec, i wyszło między oczami. Sztylet zagrzechotał na kamieniach, a na nim legło ciało właściciela.

Pozostali nie należeli do mięczaków rozpaczających nad poległym towarzyszem. Tacy nie przeżyliby zbyt długo na morzu. Chudy jeszcze nie zdążył znieruchomieć, gdy obaj skoczyli na wielkiego młodziana. Iranistańczyk zdołał zadrasnąć nożem rękę Conana, ale zaraz oberwał nogą w brzuch i poszorował po bruku. Jednooki ugiął nogi w kolanach, mierząc sztyletem w żebra przeciwnika. Conan wciągnął brzuch, poczuł, jak sztylet tnie kaftan i wypisuje cienką, piekącą kreskę na jego skórze. Potem miecz opadł i człowiek z blizną zawył, gdy stał wgrzyła się w podstawę jego szyi na głębokość dwóch dłoni. Rzucił sztylet i niemrawo zacisnął ręce na ostrzu miecza. Życie wyciekało z niego w strumieniu krwi i był martwy jeszcze zanim runął na kocie łby. Conan wyszarpnął miecz i odwrócił się, by stawić czoło trzeciemu zabijającemu.

Iranistańczyk jeszcze raz zerwał się na nogi, ale miał atakować, stanął jak wryty i wlepił oczy w martwych kamratów. Nagle okręcił się na pięcie i pogalopował ulicą.

- Morderca! - wył w biegu, nieświadom, że wymachuje skrwawionym sztyletem. - Morderca! Ladacznice i żebracy, tak niedawno zatraceni w bijatyce, rozpierzchli się niczym liście w podmuchu wichury.

Conan wytarł spieszenie miecz w bluzę, zabitego i schował go do pochwy. Przyłapanie przez straż miejską nad zwłokami nie należało do najprzyjemniejszych rzeczy pod słońcem. Zwłaszcza w Turanie, gdzie strażnicy mieli zwyczaj poddawać aresztanta torturom, dopóki nie przyznał się do winy. Niewiele myśląc, Conan złapał dziewczynę za rękę i pociągnął ją za sobą, przyłączając się do uciekającego w panice tłumu.

- Zabiłeś ich - wyjąkała z niedowierzaniem. Ociągała się w biegu, jakby niepewna, czy dobrze robi. - Nie musiałeś. Uciekliby, gdybyś im zagroził.

- Może powinienem cię im zostawić - odparł. - Pojeździłoby na tobie jak na łysej kobyle. Zamilcz teraz i przebieraj nogami!

Strasząc pijaków wytaczających się z tawern, ciągnął ją bocznymi uliczkami i wąskimi alejkami cuchnącymi moczem i gnijącą padliną. Gdy tylko znaleźli się w przyzwoitej odległości od ciał, zwolnił - biegnący za bardzo zwracali na siebie uwagę - ale nie zatrzymał się. Chciał znaleźć się w naprawdę bezpiecznej odległości od strażników, którzy zapewne ściągną do trupów niczym muchy. Kluczył między wózkami na wysokich kołach, wiozących towary z nadbrzeżnych magazynów w głąb miasta. Dziewczyna szła niechętnie za nim, tylko dlatego, że jego wielka ręka niczym żelazna, okowa zaciskała się na jej szczupłym nadgarstku.

Wreszcie Conan skręcił w wąski zaułek, pchnął dziewczynę przed siebie i przystanął, aby omieść wzrokiem pokonaną drogę. Niemożliwe, żeby strażnicy mogli go wytropić, ale jego wzrost i oczy sprawiały, że wyróżniał się nawet w mieście wielkości Aghrapuru.

- Dziękuję ci za pomoc - powiedziała dziewczyna tonem wyniosłym i chłodnym. Ruszyła w stronę wylotu zaułka. - Muszę już iść.

Gdy wyciągnął rękę, żeby zagrozić jej drogę, piersi dziewczyny wsparły się na jego twardym przedramieniu. Cofnęła się spieszenie, zarumieniona z zakłopotania.

- Jeszcze nie teraz - orzekł.

- Proszę - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. Jej głos zadrżał lekko. - Jestem... jestem nietknięta. Mój ojciec nagrodzi cię szczerze, jeśli wrócę do domu... w takim samym stanie. - Rumieniec na policzkach stał się jeszcze ciemniejszy.

W gardle Conana wzebrał głęboki chichot. - Nie trzeba mi twojej cnoty, dziewczyno. Chcą tylko odpowiedzi na jedno czy dwa pytania.

Ku jego zaskoczeniu, spuściła oczy.

- Powinnam chyba być zadowolona - rzuciła z goryczą - że nawet zabójcy wolą szczuplejsze, gibkie kobiety. Wiem, że mam piersi wielkie jak wymiona dojrzałej krowy. Ojciec często mi mówi, że nadaję się jedynie do urodzenia wielu synów i.. i do wykarmienia ich wszystkich - dokończyła słabo, oblana głębokim pąsem.

Twój ojciec jest durniem, pomyślał Conan, wodząc wzrokiem po jej figurze. Była kobietą stworzoną nie tylko do rodzenia synów, choć nie wątpił, że dla tego, kto ją poślubi, ich płodzenie okaże się niezmiernie przyjemne.

- Nie bądź głupia - rzucił bez ceregieli. - Sprawiałabyś radość każdemu mężczyźnie.

- Naprawdę? - szepnęła ze zdumieniem. Jej oczy pieściły twarz Conana, niewinnie, czego był pewien. - Powiedz mi jeszcze - zaczęła drżącym głosem - jak się jeździ na łysej kobyłę?

Musiał się zastanowić, skąd wytrzasnęła to pytanie, a potem ledwie zdołał skryć uśmiech.

- Długo i ciężko, i bez czasu na odpoczynek.

Oblała się purpurą aż po dekolt jedwabnej szaty, a on roześmiał się donośnie. Dziewczyna rumieniła się szybko i ślicznie.

- Jak masz na imię, mała?

- Yasbet. Mój ojciec tak mnie nazywa. - Popatrzyła na ulicę za jego plecami, gdzie dudniły przejeżdżające wózki. - Myślisz, że jeśli wrócimy, to znajdziemy przynajmniej szkatułkę? Należała do mojej matki i Fatima będzie wściekła z powodu jej utraty. Bardziej zła niż z powodu klejnotów, chociaż i na to się zeźli.

Pokręcił głową.

- Do tej pory szkatułka z pewnością kilkakrotnie zmieniła właścicieli, za pieniądze albo krew. Podobnie jak klejnoty. Kto to jest Fatima?

- Moja *amah* - odparła, po czym sapnęła i spojrzała na niego ze złością, jakby podstępem nakłonił ją do udzielenia odpowiedzi.

- Twoja *amah*! - Conan ryknął śmiechem. - Nie jesteś za duża, żeby mieć niańkę?

- Mój ojciec jest innego zdania - odparła ponuro Yasbet. - Uważa, że muszę mieć opiekunkę do czasu zamążpójścia. To mi się wcale nie podoba. Fatima myśli, że ciągle mam pięć lat, a ojciec zawsze staje po jej stronie. - Zamknęła oczy, a głos opadł do zmęczonego szeptu. Jakby nie zdając sobie sprawy, że ktoś to słyszy, podjęła: - Zostanę zamknięta w swoim pokoju. Będę miała szczęście, jeśli Fatima nie... - urwała, krzywiąc komicznie buzię, a jej ręce przesunęły się do tyłu, żeby osłonić pośladki.

- Zasłużyłaś na to - rzucił cierpko Conan.

Yasbet popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy, i zarumieniła się ze złości.

- Zasłużyłam na to? Co przez to rozumiesz? Czyja coś powiedziałam?

- Zasługujesz na opiekę *amah*, dziewczyno. Nie byłbym zaskoczony, gdyby po tym wyskoku twój ojciec najął jeszcze dwie czy trzy. - Uśmiechnął się w myślach na widok ulgi, jaka odmalowała się na jej twarzy. Po prawdzie, pomyślał, na lanie też zasłużyła, ale gdyby powiedział to na głos, nigdy nie zaspokoiłby swojej ciekawości. - Powiedz mi teraz, Yasbet, co robiłaś na ulicy, sama, rozdając klejnoty żebrakom? Przecież to istne szaleństwo, dziewczyno.

- To nie było szaleństwo - sprzeciwiła się. - Chciałam zrobić coś ważnego, coś na własną rękę. Nie masz pojęcia, jak wygląda moje życie. Fatima rządzi każdą chwilą i obserwuje mnie bez przerwy, nawet gdy śpię. Nie wolno mi samodzielnie podjąć najmniejszej decyzji dotyczącej mojego życia. Musiałam wspiąć się na mur w ogrodzie, żeby wydostać się bez pozwolenia Fatimy.

- Ale żeby dawać klejnoty żebrakom i ladacznicom?

- Mój plan nie przewidywał tych... tych kobiet. Chciałam pomóc biednym, a kto może być biedniejszy od żebraków? - Złość wykrzywiła jej rysy. - Teraz mój ojciec dostrzeże, że nie jestem już dzieckiem. Nie żałuję oddania błyskotek, które, jak mu się wydaje, tak dużo dla mnie znaczą. Udzielenie pomocy nędzarzom jest szlachetnym czynem.

- Możliwe, że najmie sześć *amah* - mruknął Conan. - Nie przyszło ci do głowy, że może ci się coś stać? Jeśli musisz komuś pomagać, dlaczego nie popytasz wśród swoich służących? Z pewnością oni znają ludzi będących w potrzebie. Wtedy mogłabyś sprzedać parę sztuk klejnotów i wesprzeć ich pieniędzmi.

Yasbet parsknęła.

- Nawet gdyby nie wszyscy słudzy działali w porozumieniu z Fatima, gdzie znalazłabym kupca, który zapłaciłby mi uczciwie za klejnoty? Zapewne po prostu udawałby, że się ze mną targuje, a cichcem posłał po mojego ojca. A on bez wątpienia wysłałby Fatimę, żeby sprowadziła mnie do domu. Dzięki, mogę się obejść bez takiego poniżenia. - Poznaliby cię handlarze klejnotami - powiedział z niedowierzaniem - i wiedzieliby, czyją jesteś córką? Kim jest twój ojciec? Królem Yildizem?

Nagle czujna, popatrzyła na niego jak jelonek gotów do ucieczki.

- Nie zaprowadzisz mnie do niego, prawda?

- A czemu nie? Nie możesz chodzić ulicami bez dozoru.

- Ale wtedy nie uda mi się ukryć przed nim, co się dzisiaj stało. - Zadrżała. - Ani przed Fatimą.

Zwilżyła usta koniuszkiem języka, przysunęła się bliżej Conana.

- Posłuchaj mnie przez chwilę, proszę. Ja...

Nagle przemknęła obok niego i wyskoczyła na ulicę.

- Wracaj, głupia! - ryknął, rzucając się w pościg.

Śmignęła tuż przed kołami ciężkiego, załadowanego skrzyniami wózka i natychmiast zniknęła mu z oczu. Z tyłu nadszedły dwa kolejne wozy. Nie było między nimi miejsca, by się przecisnąć. Conan wyprzedził je i przebiegł na drugą stronę ulicy. Nie dojrzał dziewczyny. Czeladnik garncarza ustawiał wyroby mistrza przed sklepem. Handlarz dywanów rozwijał kobierce przed swoim. Żeglarze i dziewczki kręcili się wokół tawern. Yasbet jakby rozplynęła się w powietrzu.

- Durna dziewczyna - mruknął.

W tej samej chwili jego uwagę przykuł topornie wykonany szyld, kołyszący się leniwie w podmuchu wiatru. Niebieski Byk. Nieświadomie trafił do celu. Aghrapur mógł się okazać szczęśliwym miastem. Podciągając pas z mieczem i zarzucając płaszcz na szerokie ramiona, Conan wkroczył do kamiennej oberży.

## II

Wnętrze Niebieskiego Byka kiepsko oświetlały dymiące pochodnie, zatknięte w proste uchwyty z czarnego żelaza. Na kamiennej posadzce, zdumiewająco czystej jak na tawernę takiej kategorii, stały ciężkie, drewniane stoły. Przy nich, garbiąc się nad kubkami, siedziało kilkunastu mężczyzn. Trzej żeglarze na zmianę rzucali sztyletami w serce, nabazgrane byle jak na drewnianej tablicy. Szorstkie kamienie ściany wokół deski oznaczone były dziesiątkami tysięcy szczerb, świadczących o niecelnych rzutach. Dwie ladacznice, jedna z kolorowymi paciorkami wplecionymi we włosy, druga w wysokiej, jasnorudej peruce, krążyły między stołami i półgłosem zachwalały swój towar widoczny pod prześwitującym jedwabiem. Dziewki karczemne, w muślinowym przyodziewku niemal równie skąpym, co szatki ladacznic, przemykały zwinnie z dzbanami i kubkami. Odór kwaśnego wina i starego piwa, zwyczajny dla takich miejsc, walczył o lepsze ze smrodem wpadającym z ulicy.

Conan zobaczył oberżystę, tęgiego, łysego jegomościa zawzięcie trącego szynkwias kawałkiem ścierki, i zrozumiał, skąd bierze się zdumiewająca czystość podłogi. Znał tego człowieka, Feriana.

Ferian słyszał z zamiłowania do czystości, co było cechą raczej niepospolitą wśród przedstawicieli jego profesji. Mówiono, że uciekł z Belverus w Nemedii po zabiciu człowieka, który zwymiotował na podłogę jego tawerny. Był niezastąpiony jako źródło informacji. O ile nic się nie zmieniło, znał nie tylko uliczne plotki, ale wiedział dosłownie o wszystkim, co działo się w Aghrapurze.

Ferian uśmiechnął się, gdy Conan wsparł łokieć na szynkwasiu, jednakże jego czarne oczka pozostały czujne.

- Na Kamienie Hannumana, Cymmerianinie - zagadnął cicho, nie zaprzestając szorowania. - Mawiają, że wszystkie drogi prowadzą do Aghrapuru - przynajmniej tu tak twierdzą - i widząc ciebie skłonny jestem w to uwierzyć. Jeszcze rok, a stawiają się tutaj wszyscy z Shadizaru.

- Kto jeszcze z Shadizaru przebywa w tym mieście? - zaciekał się Conan.

- Rufo, kothyjski fałszerz pieniędzy. Stary Sharak, astrolog. I Emilio.

- Emilio! - Conan nie zdołał powstrzymać okrzyku. Emilio z Koryntii był najlepszym złodziejem w Zamarzę, zaraz po nim. - Zawsze się zaklinał, że nigdy nie opuści Shadizaru.

Ferian zachichotał. Dźwięk zabrzmiał zgrzytliwie, nie pasował do człowieka o jego tuszy.

- Niegdyś przysięgał, że nigdy nie opuści Koryntii, lecz czmychnął z obu miast z tego samego powodu. Został przyłapany w łóżku niewłaściwej niewiasty. Jej mąż ruszył w pogoń, a matka była jeszcze bardziej zawzięta. Jak się wydaje, z nią też flirtował i przy okazji zwędził trochę klejnotów. Starsza dziewczyna najęła czeredę nożowników, iżby zadbali, aby Emilio nie miał już nic do zaoferowania innej kobiecie. Doszły mnie słuchy, że uciekł z miasta przebrany za starą matronę i że nie przestał pocić się przez pół roku. Zapytaj go o to, jeśli chcesz zobaczyć, jak człowiek mieni się kolorami tęczy, zarazem dławiąc się własnym językiem. Jest na górze z dziewczką, choć pewnie zbyt pijany, aby miała z niego jakiś pożytek.

- Wobec tego zostanie tutaj do jutra - zaśmiał się Conan - gdyż nigdy nie godzi się z porażką. - Położył dwie monety na wyszorowanych deskach. - Masz może trochę khorajańskiego piwa? Zaschło mi w gardle.

- Czy mam khorajańskie piwo? - powtórzył Ferian, sięgając pod szynkwasa. - Mam wina i piwa, o jakich nigdy nie słyszałeś. Mało tego, mam wina i piwa, o jakich sam nie słyszałem. - Wyciągnął zakurzony gliniany gąsiorek, napełnił skórzany kubek i przesuwał go w stronę Conana, płynnym ruchem zgarnął miedziaki. - Khorajańskie piwo. A jak tam stoją sprawy w Połączanej Suce Vilayetu? Musiałeś oddalić się w pośpiechu, prawda?

Conan ukrył zdziwienie, pijąc zachłannie ciemne, gorzkie piwo. Grzbietem dłoni wytarł pianę z warg i dopiero wtedy przemówił.

- Skąd wiesz, że byłem w Sultanapurze? I dlaczego sądzisz, że opuściłem miasto w pośpiechu?

- Widziano cię tam dziesięć dni temu. - Ferian uśmiechnął się chytrze. - Niejaki Zefran Poganiacz Niewolników jechał tamtędy w drodze powrotnej do Khawarismu.



Największą wadą oberżysty było to, że lubił, gdy inni wiedzieli tyle co on na temat interesujących ich spraw. Pewnego dnia miał zarobić za to nożem między żebra.

- Co do reszty, nie wiem nic prócz tego, że przyszedłeś tu okryty kurzem pojeździe co koń wyskoczy, a nigdy nie należałeś do tych, którzy podróżują dla przyjemności. A teraz, co ty masz do powiedzenia?

Conan podniósł kubek do ust, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią. Wiadomo było, że grubas wymienia informacje za informacje. Miał w zanadru ciekawostkę, z pewnością tutaj jeszcze o tym nie słyszano - chyba że komuś wyrosły skrzydła i cudem zdołał go wyprzedzić.

- Przemyt stał się w Sultanapurze procederem niemile widzianym i niebezpiecznym - zaczął po dłuższej chwili. - Bractwo Wybrzeża popadło w rozsypkę. Pochowali się w swoich norach, pocą się i nie kwapią do wystawienia nosa. Miną miesiące, zanim pierwsza bela jedwabiu przejdzie przez to miasto bez uiszczenia opłaty celnej.

Ferian chrząknął niezobowiązująco, ale jego oczy zwęziły się w szparki. Przed wschodem słońca ludzie skłonni zapłacić próżnię powstałą w Sultanapurze słono mu zapłacą. - A co ty możesz powiedzieć mi o Aghrapurze?

- Nic - odparł Ferian bezdźwięcznie.

Conan popatrzył na niego uważnie. Karczmarz nie należał do ludzi, którzy dają mniej niż otrzymali. Jego reputacja opierała się na solidności.

- Wątpisz w wartość tego, co ci powiedziałem?

- Nie o to chodzi, Cymmerianinie. - Ferian sprawiał wrażenie lekko zakłopotanego. - Och, mogę powiedzieć ci to, czego sam się dowiesz po dniu nadstawiania ucha na ulicy. Yildiz zachłannym okiem spogląda poza granice Turami i rozbudowuje armię. Kult Przeznaczenia codziennie zdobywa nowych wyznawców...

- Kult Przeznaczenia! Na Mitrę, co to takiego?

Ferian skrzywił się.

- Głupota, nic ponadto. Wałęsają się po wszystkich ulicach, w szafranowych szatach i z wygolonymi głowami.

- Widziałem ludzi w takich strojach, śpiewających do wtóru tamburynom - przyznał Conan.

- To oni. Głoszą, że wszyscy ludzie są skazani na zgubę, i że gromadzenie dóbr doczesnych mija się z celem. Nowi wyznawcy oddają swój dobytek Kultowi. Niektórzy, zwłaszcza młodzi synowie i córki zamożnych kupców, a nawet wielmożów, nie szczędzą złota. Nie wspominając o armii bogatych wdów. Krewni i powinowaci wnosili w związku z tym petycje do tronu, ale Kult płaci podatki na czas, a nie można powiedzieć tego samego o innych świątyniach. I daje hojne datki

odpowiednim urzędnikom, choć nie wiadomo tego na pewno. - Rozjaśnił się. - Mają swoją siedzibę, niemal miasteczko, kawałek na północ stąd, na wybrzeżu. Mógłbym się dowiedzieć, gdzie trzymają swoje skarby... Cóż, jesteś dość zręczny, by w ciągu jednej nocy zarobić fortunę.

- Już nie param się złodziejstwem - oznajmił Conan. Ferian ponownie spochmurniał. - Co jeszcze możesz powiedzieć mi o mieście?

Grubas westchnął ciężko.

- Ostatnio wiem mniej od dziwek, których klienci czasami gadają przez sen. W ciągu trzech ubiegłych miesięcy zginęło niemal dwie trzecie z tych, co przekazywali mi różne nowinki. Ci słudzy szlachciców i wysoko postawionych członków Gildii Kupieckiej zostali zamordowani w niewyjaśnionych okolicznościach. To, co powiedziałaś mi o Sultanapurze, jest najlepszą informacją, jaką słyszałem od miesiąca. Jestem twoim dłużnikiem - dodał niechętnie. Nie należał do tych, którzy cieszą się zobowiązaniami. - Podzielę się z tobą pierwszą wiadomością, jaka mogłaby ci się przydać. Gdy tylko coś takiego usłyszę.

- A poznam ją przed wszystkimi innymi? Powiedzmy, dwa dni wcześniej?

- Dwa dni! A może rok? Informacje psują się szybciej niż mleko na słońcu.

- Dwa dni - powtórzył stanowczo Conan.

- Niech będzie - mruknął oberżysta.

Conan uśmiechnął się. Ferian nigdy nie łamał danego słowa. Ale te morderstwa...

- Wydaje się, że śmierć tylu twoich informatorów w tak krótkim czasie trudno nazwać czystym przypadkiem.

- Nie, przyjacielu.

Ku zaskoczeniu Cymmerianina, Ferian nalał mu piwa, nie prosząc o zapłatę. To było do niego niepodobne. Może ma nadzieję, że spłaci swój dług stawianiem napitku, pomyślał Conan.

- Zmarło dużo więcej osób, nie tylko ci, z którymi miałem powiązania. W Aghrapurze szaleje plaga morderstw. W ciągu tych trzech miesięcy zginęło więcej ludzi, niż w całym zeszłym roku. Gdyby nie nikczemne pochodzenie tych, którzy umierają, pomyślałbym, że to jakiś spisek, ale kto chciałby spiskować przeciwko sługom, strażnikom pałacowym i im podobnym? To ślepy traf stroi sobie żarty, nic więcej.

- Conan! - zawołał ktoś ze schodów na tyłach głównej izby. Wielki Cymmerianin rzucił okiem przez ramię.

Na najniższym stopniu stał Emilio. Ręką otaczał talię szczupłej dziewczyny obwieszanej błyskotkami z mosiądzu i krwawnika. Jej biodra i piersi owijał wąski pas czerwonego jedwabiu. Emilio zataczał się i dziewczyna musiała go podtrzymywać, co wymagało wysiłku. Był wielkim

mężczyzną, wysokim jak Conan, choć nie tak potężnie zbudowanym. Miał przystojną twarz i wielkie oczy, zbyt duże jak na mężczyznę. Kobiety lgnęły do niego niczym muchy do miodu, a on był w pełni świadom swojej urody.

- Witaj, Emilio! - odrzyknął Conan. - Jak widzę, nie nosisz już babskich kiecek. - Powiedział Ferianowi, że pogadają później, zabrał swój kubek i podszedł do schodów.

Emilio na pożegnanie klepnął dziewczynę po jędrnym zadku i łypnął na Conana podejrzliwie.

- Kto ci naopowiadał takich głupot? Ferian, idę o zakład. Tłusty wór padliny. To kłamstwo, daję słowo. Wierutne kłamstwo. Opuściłem Zamorę, żeby poszukać bogatych... - beknął potężnie - bogatszych pastwisk. Cymmerianie, jesteś człowiekiem, którego chciałem spotkać.

Conan domyślił się, że zaraz padnie propozycja współpracy.

- Już nie łączy nas wspólny fach, Emilio.

Emilio jakby nie usłyszał. Złapał za rękę przechodzącą służebną dziewczę, strzelił oczami na jej bujne piersi.

- Wina, dziewczyno. Słyszysz?

Służąca pokiwała głową i odskoczyła, zwinnie unikając jego karesów. Emilio zachwiał się i niemal przewrócił; udało mu się dobrać do stołka przy wolnym stole. Zamaszyście machnął ręką, wskazując drugi stołek.

- Siadaj, Conanie. Wino pojawi się zanim zdążysz mrugnąć okiem.

- Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak bardzo pijanego - zauważył Conan po zajęciu miejsca przy stole. - Świątujesz czy topisz smutki?

Oczy drugiego mężczyzny na wpół skryły się pod powiekami.

- Wiesz - rzucił z rozmarzeniem - że ta blondyna warta jest tyle rubinów, ile sama waży? Turańczycy gotowi są zabić, byle mieć jasnowłosą kochankę. A gdy taka ma błękitne oczy, poderżnęliby gardło rodzonej matce.

- Czyżbyś zajął się handlem żywym towarem, Emilio? Miałem o tobie lepsze mniemanie.

Zamiast odpowiedzieć, drugi mężczyzna mamrotał dalej:

- Mają w sobie więcej ognia niż inne kobiety. Myślę, że bogowie, którzy nadają barwę kobiecym włosom, muszą czerpać ten żar z ich krwi. Im jest gorętsza, tym jaśniejsze włosy. To zrozumiałe. Davinia, na przykład, rozpalona jest bardziej od kowalskiego paleniska. Ten tłusty generał nie może jej dogodzić.

Parsknięcie Emilia było głupawe i lubieżne zarazem. Conan doszedł do wniosku, że lepiej mu nie

przerywać.

- Dlatego ja się nią zająłem. Ale ona ma wymagania. Mówię jej, że z taką urodą nie potrzebuje żadnego naszyjnika, a ona na to, że czarnoksiężnik rzucił na ten klejnot czar dla jakiejś królowej. Całe wieki temu, jak twierdzi. Kobiecie, która go nosi, nie sposób się oprzeć. Trzyńście rubinów, mówi, każdy wielki jak pierwszy staw męskiego kciuka, każdy oprawiony w połączoną muszelkę z kamienia księżycowego. Rzecz warta kradzieży.

Prychnął, pochylił się w stronę Conana i chytrze łypnął okiem. - Myślała, że zapłaci mi własnym ciałem. Postawiłem sprawę jasno. Już ją miałem. Sto sztuk złota, powiedziałem. Złota, takiego jak jej włosy. Najdelikatniejsze, w jakie wsuwałem dłonie. I skórę też ma jak jedwab. Delikatną, gładką i sprężystą.

Służebna dziewczka wróciła z kubkiem i dzbanem. Przystanęła wyczekująco. Conan nie uczynił ruchu, by zapłacić. Niestety, nie miał widoków na sto sztuk złota. Dziewczyna wymierzyła sójkę w bok Emilio. Ten stęknął i spojrział na nią mętnym wzrokiem.

- Albo jeden z was zapłaci za wino - oznajmiła stanowczo - albo zabiorę je z powrotem.

- Nie tak traktuje się dobrego klienta - mruknął Emilio, ale pogrzebał w sakiewce i rzucił parę monet na stół. Po odejściu dziewczyny wbił oczy w Conana. - Conan! Skąd się tu wzięłeś? Nie tylko więc mi się zdawało, że cię widziałem. Dobrze, że jesteś. Mamy okazję znów razem popracować, jak dawniej.

- Nigdy razem nie pracowaliśmy - poprawił go spokojnie Conan. - Ja już nie kradnę.

- Bzdura. Posłuchaj uważnie. Na północ od miasta, niedaleko, leży osiedle, w którym jest bogactw bez liku. Dostałem zlecenie, żeby ukraść... ukraść coś stamtąd. Chodź ze mną; mógłbyś nagrabić dość, by starczyło ci na pół roku.

- Czy to miejsce nie jest przypadkiem siedzibą Kultu Przeznaczenia?

Emilio zakołysał się na stołku.

- Myślałem, że dopiero co pojawiłeś się w mieście. Słuchaj, tych siedmiu, którzy jakoby weszli na teren świątyni i słuch po nich zaginał, było Turańczykami. Miejscowi złodzieje nie są zbyt rozbudzeni, w przeciwieństwie do nas. Nie wytrzymałoby ani jednego dnia w Shadizarze czy Arenjun. Poza tym, osobiście uważam, że ci Turańczycy wcale tam nie poszli. Schowali się albo pomarli, lub opuścili miasto, a gawiedź wymyśliła tę bajeczkę. Często tak bywa, że miejsce, którego ludzie nie znają albo nie lubią, wydaje się groźne.

Conan słuchał go w milczeniu.

Emilio zlekceważył kubek. Podniósł gliniany dzban do ust i nie odstawił go, póki nie ujrzał dna. Pochylił się nad stołem i kontynuował:

- Wiem dokładnie, gdzie jest... skarb. Po wschodniej stronie siedliska rozciąga się ogród z wieżą,

na której szczycie jest komnatka. Tam trzymają klejnoty i różne osobliwości. Ci głupcy chodzą tam, by na nie popatrzeć. To ma im uświadomić, jak bardzo bezwartościowe jest złoto i szlachetne kamienie. Widzisz, wiem wszystko. Zasięgałem języka, zadałem setki pytań.

- Skoro zadałeś tyle pytań, myślisz, że nikt nie przejrzał twoich zamiarów? Daj sobie z tym spokój, Emilio.

Do stołu podszedł Hyrkańczyk w futrzanej czapie. Zastarzały smród unoszący się z jego cienkich, natłuszczonych włosów zdołał zabić przytłaczającą woń oberży. Brakowało mu płatka lewego ucha - od tego miejsca do kącika ust biegła blizna, za sprawą której ta strona twarzy wykrzywiała się w sztucznym uśmiechu. Kątem oka Cymmerianin dostrzegł, że z drugiej strony izby przypatruje im się czterech innych Hyrkańczyków. Nie mógłby przysiąc, ale odniósł wrażenie, że widział już tę piątkę wcześniej, tego samego dnia.

Hyrkańczyk, który podszedł do stołu, zaszczycił go ledwie przelotnym spojrzeniem. Jego uwagę przykuwał Emilio.

- Ty jesteś Emilio z Koryntu - zagał gardłowo. - Chcę z tobą pogadać.

- Spływaj - burknął Emilio, nie podnosząc głowy. - Nie znam żadnego Emilia. Słuchaj, Conanie. Byłbym skłonny dać ci połowę tego, co dostanę za naszyjnik. Dwadzieścia sztuk złota.

Mało brakowało, a Conan wybuchnąłby śmiechem. Emilio, urodzony oczajdusza, nawet pijany jak bela próbował go okpić.

- Chciałbym z tobą pogadać - powtórzył Hyrkańczyk.

- A ja powiedziałem, żebyś się odczepił! - wrzasnął Emilio z nagle poczerwieniałym obliczem. Złapał dzbanek po winie, poderwał się na nogi i trzasnął glinianym naczyniem w głowę natręta. Nomada, z twarzą zalaną resztkami wina, przewrócił się pod gradem glinianych skorup.

- Na Croma! - mruknął Conan.

W ich stronę runęła gromada cuchnących mężczyzn w futrzanych czapach.

Conan odchylił się na stołku i poderwał nogę na spotkanie pierwszego. Nieszczęśnik, trafiony w żołądek, stanął jak wryty, wybałuszył oczy i zgiął się we dwoje. Trzaśnięty w głowę masywną pięścią Cymmerianina, osunął się na podłogę.

Emilio powędrował w ślad za nim, przyciśnięty przez dwóch Hyrkańczyków. Conan złapał jednego za kozuch z owczej skóry i oderwał go od korynckiego złodzieja. Nomada obrócił się ze sztyletem w dłoni. Zaskoczenie odbiło się na jego twarzy, gdy uzbrojona ręka uwięzła w dłoni Conana. Potężna pięść Cymmerianina nie zdołała nabrać pędu - pokonała ledwie łokieć drogi w powietrzu - gdy podeszwy butów no - mady oderwały się od podłogi, a on sam fiknął kozła i legł obok swego towarzysza.

Conan omiół wzrokiem izbę, szukając piątego Hyrkańczyka. Emilio podnosił się chwiejnie,

ogładając ranę na ramieniu. Ferian, uzbrojony w ciężkie narzędzie do odbijania czopów, zmierzał z powrotem do szynkwasu. Po chwili Conan zobaczył parę obutych stóp wystających zza stołu.

- Zabierzcie ich stąd! - krzyknął Ferian, chowając swój ciężki oręż. - Zapaskudziliście mi podłogę, teraz więc musicie posprzątać. Zabierać ich stąd, mówię!

Conan złapał za obcasy jednego z nieprzytomnych.

- Chodź, Emilio! - zawołał - Chyba że masz ochotę na bijatykę z Ferianem.

Koryntczyk chrząknął bojowo, ale chwycił drugiego nomadę za nogi. Razem wyciągnęli pobitych koczowników na ulicę i zostawili ich pod sklepem handlarza kobiercami. Zapadła już noc.

Gdy pozbyli się ostatniego z ogłuszonych mężczyzn - Conan sprawdził, czy oddychają - Emilio wlepił oczy w opalizującą tarczę księżyca i zadrżał.

- Mam złe przeczucia, Conanie - powiedział. - Chciałbym, żebyś za mną poszedł.

- To ty pójdziesz ze mną - odparł Conan. - Do środka, gdzie napijemy się wina i może spróbujemy szczęścia z dziewczętami.

- Idź sam, Conanie. Ja... - Emilio pokręcił głową, - Idź. - I pobrnął chwiejnie w noc.

- Emilio! - zawołał Conan, ale odpowiedział mu tylko wiatr, przemykający z szeptem po mrocznych ulicach. Mrucząc pod nosem, Cymmerianin wrócił do karczmy.

### III

Kiedy następnego dnia rano Conan zszedł do gościnnej izby tawerny Pod Niebieskim Bykiem, towarzyszyła mu dziewczyna z paciorkami we włosach. Przyciskała jego rękę do piersi, twardych i zaokrąglonych pod cienkim jedwabiem, i przy każdym kroku trącała go biodrem w udo.

Muskając ustami masywne ramię Conana, rzuciła mu kokietyjne spojrzenie spod długich rzęs.

- Wieczorem? - Zagryzła usta i dodała: - Dla ciebie za połowę ceny.

- Może, Zasha - powiedział, choć nawet przy tak znacznej obniżce jego chudy trzos nie starczyłby na wiele nocy. A te przeklęte paciorki szybko zaczynały działać człowiekowi na nerwy. - Bywaj. Mam sprawę do załatwienia.

Odeszła z szelmowskim śmiechem, zalotnie kręcąc biodrami. No, może starczy złota na jeszcze jedną noc.

O wczesnej porze tawerna była prawie pusta. Dwaj mężczyźni z marynarskimi harcapami,

obmacując prawie płaskie sakiewki, próbowali nowymi porcjami napitku ukoić ból nękający ich głowy po wieczornym pijaństwie. Samotna ladacznica w błękitnych jedwabiach, mokrych od potu po nocnej szychcie, siedziała w kącie z zamkniętymi oczami, drapiąc się po stopie.

Przy szynkwasio Ferian z własnej woli napełnił kubek piwem z Khorai.

- Wpadło ci do ucha coś godnego uwagi? - zapytał Conan, zamykając w wielkiej dłoni skórzany kubek. Nie miał dużej nadziei, bowiem gruby oberżysta po raz kolejny nie upomniał się o zapłatę.

- Ubiegłej nocy - zaczął grubas, skupiając wzrok na ścierce, którą polerował drewno blatu - wyszło na jaw, że Temba z Kassali, handlarz szlachetnych kamieni postawiony wysoko w Gildii Kupców, zaprosił na orgię dziewice ze świątyni Hammarana. Wkrótce potem okazało się, że czternaście byłych dziewic i pięć kapłanek zniknęło ze świątyni, najpewniej w norach handlarzy żywym towarem. Nie ulega wątpliwości, że Temba zostanie poproszony o złożenie sutego datku na rzecz świątyni. Zeszłej nocy miało też miejsce mnóstwo zabójstw. Sam słyszałem o dwudziestu, a zapewne wieści o dwakroć tylu nie obity mi się o uszy. Poza tym wielmożny Barasha przyłapał swoich pięć córek na baraszkowaniu ze stajennymi. Odesłano je do klasztorów w Vara. Ludzie gadają, że podobny los spotkał księżniczkę Esmirę.

- Mówiłem, że chodzi mi o coś godnego uwagi - przerwał mu Conan. - Co mnie obchodzą dziewice albo księżniczki?

Ferian zaśmiał się półgębkiem i wbił oczy w szmatę.

- Przynajmniej to ostatnie jest interesujące. Esmira to córka księcia Roshamaniego, najbliższego zauszniaka Yildiza spośród Siedemnastu Doradców. Wyobraź sobie, że w tym mieście puszczałskich uchodzi za dziewicę najczystszej wody. Mimo to została odesłana do szorowania podłóg i spania na twardym pościeliu, dopóki nie znajdzie się dla niej małżonek. - Niespodzianie huknął pięścią w deski i splunął. - Na miłosierdzie Mitry, Cymmerianinie, czego się spodziewasz? Ledwie wczorajszego wieczoru rzekłem ci, że nic nie wiem. Czy jestem czarnoksiężnikiem, żeby wyczarować wieści tam, gdzie ich nie ma? Jeśli chcesz odpowiedzi z nieba, poproś o nią starego Sharaka. Tam siedzi. On... - Nagle jego spojrzenie zatrzymało się na kropelce śliny. Wytarł ją ze zduszonym okrzykiem, jakby się bał, że przepali drewno.

Conan poszukał wzrokiem astrologa, którego poznał był w Shadizarze. Przygarbiony starzec, odziany w coś, co wyglądało na ten sam wystrzępiony i połatany kaftan, jaki nosił w tamtym mieście, sadowił się z wyraźnym trudem na stołku blisko drzwi. Białe włosy miał jeszcze rzadsze i jak zawsze wspierał się na długiej lasce z czarnego drewna. Twierdził, że jest to laska mocy, choć nikt nigdy nie widział, by wyczyniał nią jakieś sztuczki. Długie pasemka wąsów spływały wokół jego ust i spiczastego podbródka. W kościstych palcach ścisnął pęk zwojów.

Ferian jeszcze raz przetarł szynkwias i przyjrzał się podejrzliwie Conanowi.

- Nie lubię być dłużnikiem, Cymmerianinie.

- A ja nie lubię, gdy ktoś jest mi coś winien, - Błękitne jak lód oczy Conana popatrzyły na

spienione piwo. - Po pewnym czasie zaczynam myśleć, że nigdy nie zostanę spleacony, i to jeszcze mniej przypada mi do gustu.

- Zawsze splecam swoje długi - zauważył karczmarz. - Jestem uczciwym człowiekiem. Wiadomo to od Shahpuru po Shadizar. Od Kuthchemespo...

- Zatem płać.

- Na Tron Czarnego Erlika, człowieku! To, co mi powiedziałeś, jest warte niewiele więcej od wiatru hulającego po ulicach!

Głos Conana był cichy jak szmer noża wysuwającego się z pochwy.

- Zarzucasz mi kłamstwo, Ferianie?

Ferian zamrugał i z trudem przełknął ślinę. Cymmerianin urósł w jego oczach i przysłonił mu wszystko inne. Z mdlącym ssaniem w żołądku przypomniał sobie, że muskularny młodzieniec ma parę barbarzyńskich przywar, a wśród nich niebezpieczną drażliwość wywoływaną tym słowem.

- Nie, Conanie - zaśmiał się niepewnie. - Oczywiście, że nie. Źle mnie zrozumiałeś. Chciałem tylko powiedzieć, iż nie znam wartości tej wieści. Nic ponadto. - Jeśli tej nocy nie dostałeś za nią złota - Conan roześmiał się pogardliwie - to ja zostanę kapłanem Ażury.

Ferian zerknął na niego wilkiem, mruknął coś pod nosem, w końcu wydusił:

- Może i mam mgliste pojęcie, ile to warte.

Cymmerianin pokazał w uśmiechu mocne białe zęby. Oberżysta poruszył się niespokojnie.

- Skoro więc znasz wagę tej informacji, Ferianie, możemy ustalić inną zapłatę niż ta, która została uzgodniona na początku.

- Inną zapłatę? - Oberżysta miał puciołowate policzki, lecz nagle jego twarz wydłużyła się podejrzliwie na podobieństwo szczurzego pyszczka. - Jakiego rodzaju?

Conan spokojnie pociągnął długi łyk piwa, żeby rozmówca trochę skruszał.

- Jaka inna zapłata, Cymmerianinie?

- Zakwaterowanie, na początek.

- Zakwaterowanie! - Ferian rozdziawił usta niczym wyjęta z wody ryba. Był zaskoczony, ale poczuł ulgę. - To wszystko? Naturalnie. Dam ci izbę na... na dziesięć dni.

- Uczciwy z ciebie człowiek - mruknął drwiąco Conan. - Najlepszą izbę. Nie chlew, w którym spałem tej nocy.



Grubas zaśmiał się przypoehlebnie.

- O ile nie zwiodła mnie mina Zashy, spałeś niewiele. - Odchrząknął, widząc wyraz twarzy Conana. - Doskonale. Masz najlepszy pokój.

- I nie na dziesięć dni. Na miesiąc.

- Na miesiąc!

- I parę informacji.

- Przecież daję ci izbę! - zawył Ferian.

- Informacje - powtórzył stanowczo Conan. - Nie muszę być jedynym, który je dostanie, jak umawialiśmy się wcześniej, ale przez ten miesiąc chcę je mieć na bieżąco, bez opóźnień.

- Jeszcze nie zgodziłem się na miesiąc!

- Och, zgodziłeś się. W tym strawa i napitki. Mam wilczy apetyt - dodał ze śmiechem. Wlał zawartość kubka do gardła. - Daj mi jeszcze tego khorajańskiego.

Ferian zacisnął ręce na łysej czaszce, jakby żałował, że nie ma tam włosów, które mógłby wyrwać.

- Nie chcesz nic więcej? Może tę tawernę? Moją kochankę? Mam także córkę, przebywa w Zamorze, jak mi się wydaje. Chcesz, żebym ją znalazł i przyprowadził ci do łóżka?

- Ładna jest? - zapytał rzeczowo Conan. Urwał, jakby się zastanawiał, a potem przecząco pokręcił głową. - Nie, kwatera i wikt wystarczą.

Ferian trysnął śliną, wytrzeszczył paciorkowate oczy.

- Oczywiście - kontynuował Cymmerianin - splata twojego długu może się przeciągnąć. Rozumiesz, że zależy mi na właściwych informacjach, prawda? Ja udzieliłem ci naprawdę wartościowej i w zamian chcę tego samego. Byłoby dobrze, gdybyś postarał się o coś takiego jak najszybciej. - Słowa zabrzmiały warkliwie, a twarz Conana pociemniała. - Wiesz, że my, barbarzyńcy, nie rozumiemy tak jak wy, ludzie cywilizowani. Dlatego, jeśli upłynie dziesięć dni, a ty będziesz milczeć, mogę pomyśleć, że chcesz mnie oszukać. A to sprawi, że wpadnę w gniew. Mógłbym, nawet... - Zacisnął ręce na krawędzi szynkwasu, jakby miał zamiar go wywrócić.

Ferian przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami, po czym zdołał wyksztusić:

- Nie! - Złapał rękę Conana. - Nie! W porządku. Miesiąc i cała reszta. Umowa stoi!

- Umowa stoi - powtórzył Conan.

Gruby oberżysta wlepił w niego oczy.

- Miesiąc - jęknął. - Moje służebne dziewczki gotowe przez ten czas wałkonić się w twoim łóżku. Trzymaj się od nich z daleka, Cymmerianinie, bo inaczej puszczą mnie z torbami. Wykorzystujesz swoją przewagę nade mną i mój dobry charakter.

- Nie wiedziałem, że w ogóle masz coś takiego, Ferianie. Weź na przeczyszczenie, może ci przejdzie.

- Mitrze niech będą dzięki, że większość Cymmerian lubi wasze przeklęte przez bogów, zamarznęte pustkowia. Gdyby na południe nadciągnęło więcej takich niebieskookich diabłów, zawładnęlibyście światem.

- Nie narzekaj - skarcił go Conan. - Założę się, że na tym, co ci powiedziałem, zarobisz dwadzieścia razy więcej niż stracisz na moim utrzymaniu.

Ferian chrząknął.

- Tylko trzymaj ręce z daleka od moich dziewczek, Cymmerianinie. I idź już. Skoro mam nadrobić straty, jakie poniosę z twojego powodu, nie mogę sterczeć tu cały dzień i zabawiać cię rozmową. Idź, pogadaj z Sharakiem.

Cymmerianin roześmiał się i zabrał kubek ciemnego piwa.

- Przynajmniej mi powie, co słyhać w gwiazdach.

Kiedy odszedł od szynkwasu, Ferian nadal spluwał na deski.

Astrolog zerknął posepnie, gdy Cymmerianin zbliżał się do jego stołu, a potem uśmiech zmarszczył jego chudą twarz.

- Pomyślałem, że to ty, Conanie, ale oczy... Nie jestem już taki, jak dwadzieścia lat temu, ani nawet dziesięć. Siadaj. Chciałbym postawić ci kielich wina, lecz moja sakiewka jest równie płaska, jak piersi mojej żony. Niechaj bogowie strzegą jej kości - dodał z obojętnością człowieka, który powtarzał tę formułkę tyle razy, że przestał już słyszeć i rozumieć słowa.

- Nieważne, Sharaku. Ja postawię wino.

Gdy Conan odwrócił się, aby zamówić gąsiorek, jedna z dziewczyn przyskoczyła do stołu i postawiła przed astrologiem miskę parującej soczewicy z pajdą ciemnego chleba i kubek wina. Odwróciła się pytająco w stronę muskularnego młodzieńca. Nagle jej ciemne, skośne oczy rozszerzyły się z wrażenia i skoczyła w powietrze, wydając zduszone piśnienie. Sharak zarechotał radośnie. Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem i odeszła, pocierając uszczypnięty pośladek.

Rechot przeszedł w atak kaszlu, który staruszek opanował z widocznym trudem.

- Nie wolno dopuścić - wykrztusił - aby zaczęły myśleć, że jest się za starym, by być niebezpiecznym.

Conan odrzucił do tyłu grzywę czarnych włosów i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ty nigdy się nie zestarzejesz.

- Jestem ramolem - powiedział Sharak, grzebiąc w misce rogową łyżką. - Ferian tak mówi i zaczynam przyznawać mu rację. Daje mi miskę soczewicy dwa razy na dzień, inaczej jadłbym tylko to, co wygrzebałbym w śmieciach. Wielu tak robi w moim wieku. Jest moim jedynym protektorem. W zamian za tę breję czytam codziennie w jego gwiazdach. I wierz mi, że trudno znaleźć nudniejszą lekturę.

- Czemu nie masz klientów? Czytasz w gwiazdach jak skryba znaczki na pergaminie. Ani razu nie pomyliłeś się, choć bywało, że twoje przepowiednie brzmiały niezbyt jasno.

- To ci Turańczycy - parsknął starzec. - Zły był dzień, kiedy tu przybyłem. Połowie gwiazd nadają złe imiona i robią mnóstwo innych błędów. Poważnych błędów. Miejscowi głupcy, którzy mienią się astrologami, mieli czelność oskarżyć mnie przed Gildią o zniesławianie profesji. Czyste szczęście, że nie skończyłem na stosie, A gdybym zaczął praktykować bez zezwolenia Gildii, trafiłbym do więzienia. Ci nieliczni, zwracający się do mnie po poradę, to cudzoziemcy, i przychodzą tylko dlatego, że czytam im w gwiazdach za kubek wina albo kromkę chleba, a nie za srebrną monetę jak wszyscy inni. Wróciłbym do Zamory w jednej chwili. - Z żalosnym sieknięciem podniósł do ust łyżkę z jedzeniem.

Conan milczał przez chwilę. Powoli wsunął rękę do sakiewki i wyjął sztukę srebra. Przesunął ją po szorstkich deskach.

- Postaw mi horoskop, Sharaku.

Wychudzone oblicze zamarło, podobnie jak łyżka w połowie drogi do ust. Starzec zerknął na monetę, zamrugał, popatrzył na Conana.

- Dlaczego?

- Chciałbym wiedzieć, co kryje dla mnie w zanadru to miasto - burknął młody Cymmerianin. - Poważam cię bardziej niż wszystkich astrologów zrzeszonych w Gildii Aghrapuru, a oni żądają takiej samej zapłaty. Poza tym, trzos mam ciężki od srebra - zełgał na koniec.

Sharak zawahał się, potem pokiwał głową. Nie dotykając monety, lewą ręką przerzucił pergaminy; z palców prawej odruchowo zlizął resztki zupy. Rozpostarł na stole potrzebne zwoje i wyjął zza pazuchy połatanego kaftana woskową tabliczkę. Wygładził wosk bokiem rylca i, niemal wodząc nosem po pergaminie, zręcznymi ruchami zaczął kopiować tajemnicze symbole.

- Nie musisz wiedzieć, kiedy się urodziłem i tak dalej? - zapytał Conan.

- Widzę szczegóły z twojego wykresu narodzin - odparł astrolog, nie odrywając oczu od arkusza - jakby zostały wyryte po wewnętrznej stronie moich powiek. Wspaniały wykres. Niewiarygodny. Hmm. Rydwan Mitry jest w odwrocie.

- Wspaniały? Nigdy wcześniej nie wspominałeś mi o żadnej wspaniałości.

Sharak z westchnieniem podniósł głowę, żeby popatrzeć na wielkiego młodziana.

- Niewiarygodny, powtarzam, i nie uwierzyłbyś w ani jedno słowo, gdybym ci powiedział. Potem nie dałbyś wiary niczemu, co padłoby z moich ust, i miałbyś niewielki ze mnie pożytek. Dlatego zamilczałem. A teraz czy pozwolisz, żebym zrobił to, za co mi zapłaciłeś? - Nie czekając na odpowiedź skierował spojrzenie na zwoje. - Aha. Tej nocy Krwawa Gwiazda na pewno wchodzi do Domu Skorpiona. To doniosłe. Conan potrząsnął głową i łyknął potężny haust ciemnego piwa. Czyżby Sharak próbował wyłudzić większą zapłatę? Może nie potrafił zerwać z głęboko zakorzenionym nawykiem?

Cymmerianin zajął się piciem. W karczmie przybywało gości. W większości byli to marynarze i na wpół nagie ladacznice. Jak na razie, dziewczęta wzbudzały największe zainteresowanie. Zwłaszcza jedna, niska, z krągłymi piersiami i wielkimi oczami, w przepasce z monet na czole, w połączonych bransoletach i naszyjniku. Jej widok przywiódł mu na myśl Yasbet. Zaniepokoił się, czy bezpiecznie wróciła do domu. Prawdę mówiąc, wolałby mieć ją w swoim łóżku na górze, ale skoro było to niemożliwe, lepiej, żeby znalazła się we własnym domu. Lepiej dla niej, niezależnie od tego, jak gorące okazało się powitanie Fatimy. Ale gdyby tak znowu spotkał ją na swej drodze... Ta znajomość z pewnością rozjaśniłaby mu dni pobytu w Aghrapurze. Niech Emilio zachłystuje się z zachwytu, gładząc o swojej blondynie - jak tam jej było? Davinia? - jakby naprawdę była cudem, za jaki uważali ją Turańczycy. Jego zdaniem ogrom wewnętrznego żaru tlił się w kobietach o wielkich oczach, nawet jeśli same nie zdawały sobie z tego sprawy. Dlaczego...

- Gotowe - oznajmił Sharak.

Conan zamrugał, przywołując się do rzeczywistości.

- Co? - Popatrzył na woskową tabliczkę, pokrytą teraz szeregiem symboli. - Co mówią?

- To nie jest jasne. - Stary astrolog skubał kościstymi palcami rzadkie wąsy. - Mamy tu aspekty wielkiej szansy i wielkiego niebezpieczeństwa. Widzisz, Koń i Lew są w koniunkcji w Domu Dramatha, zaś Trzy Dziewice...

- Sharak, nie odróżniłbym Domu Dramatha od chałupy tkacza kobierców. Co to znaczy?

- Co to znaczy? - Sharak zmarszczył się. - Zawsze słyszę: „Co to znaczy?” Nikt nie chce poznać naprawdę interesujących szczegółów, jak... No, dobrze. Przede wszystkim: trzeba zawrócić, żeby posunąć się do przodu. Żeby stać się tym, kim się staniesz, musisz stać się tym, kim byłeś kiedyś.

- Niewiele mi to mówi - mruknął Conan. - Niejednego się w życiu imałem.

- Ale to jest najważniejsze. Ta odnoga, tutaj, wskazuje, że jeśli tego nie zrobisz, nie opuścisz żywy Aghrapuru. Już wprowadziłeś w ruch koło wypadków.

Powietrze w tawernie jakby zlodowaciało. Conan niemal żałował, że w przeszłości starzec tak często miał rację.

- Jak mogłem cokolwiek wprawić w ruch? Jestem tutaj ledwie od wczoraj.

- Iz nikim nie rozmawiałeś? Nic nie robiłeś?

Conan westchnął ciężko.

- Czy przepowiednia wspomina o złocie?

- Złoto trafi w twoje ręce, ale to nie wydaje się ważne, i jest z nim związane niebezpieczeństwo.

- Złoto zawsze jest ważne, i zawsze wiąże się z nim niebezpieczeństwo. Co z kobietami?

- Ach, młodość - mruknął zazdrośnie Sharak. - Wkrótce zadasz się z kobietami - dwiema, jak się wydaje - ale to też nie będzie bezpieczne.

- Kobiety zawsze są co najmniej tak niebezpieczne jak złoto - odparł ze śmiechem Conan.

- Jedna jest ciemnowłosa, a druga - blondynka.

Śmiech Cymmerianina ucichł jak nożem uciął. Blondynka? Czyżby Davinia, o której opowiadał, Emilio? Nie! To prawie na pewno oznaczałoby udział w planach Emilia, a on już skończył ze złodziejskim procederem. Ale miał „stać się tym, kim był”. Wyrzucił tę myśl z głowy. Już nie kradł. Słowa astrologa musiały oznaczać coś innego.

- Co jeszcze? - zapytał chrapliwie.

- Nie moja wina, że przepowiednia ci się nie podoba, Conanie. Po prostu czytam to, co jest zapisane w gwiazdach.

- Co jeszcze, pytam!

Sharak westchnął ciężko.

- Nie możesz mnie winić, jeśli... Widzę niebezpieczeństwo związane w pewien sposób z podróżą. Ta konfiguracja - wskazał na rząd dziwnie pochylonych symboli - wskazuje podróż przez wodę, ale ta tutaj oznacza ląd. To nie jest jasne.

- To wszystko jest pogmatwane, jeśli chcesz poznać moje zdanie - burknął Conan.

- I staje się coraz mniej jasne. Na przykład tutaj, wielkie znaczenie przypisane jest żółtej barwie.

- Złoto...

- Nie chodzi tu bynajmniej o kruszec, choć tego zapewne byś pragnął. Niebezpieczeństwo związane z tym kolorem jest większe, niż gdyby dotyczyło złota.

Wielki Cymmerianin głośno zgrzytnął zębami.

- Jeśli miałbym cię posłuchać, niebezpieczne robi się nawet oddychanie. - Nietrudno mi się z tym zgodzić, gdy patrzę na te wykresy. Co do reszty, liczy się liczba trzynaście i kolor czerwony, powiązane ze sobą. Na dodatek zrównanie Małpy i Żmii wskazuje na konieczność szybkiego i zdecydowanego działania. Zawahaj się, a chwila przepadnie bezpowrotnie. A to będzie oznaczać twoją śmierć.

- Która i tak niewątpliwie kiedyś nadejdzie, starcze - warknął Conan. - Nie dam się zastraszyć gwiazdom, bogom ani demonom.

Sharak ściągnął brwi, potem pchnął sztukę złota z powrotem w stronę Conana.

- Skoro moje wróżenie tak bardzo ci nie w smak, nie mogę przyjąć zapłaty.

Jawny gniew muskularnego młodzieńca natychmiast został przez niego opanowany.

- Podoba mi się czy nie, to ani twoja wina, ani zasługa. Ty weź pieniądze, a ja przyjmę twoją radę.

- Mam na karku osiem krzyżyków z okładem - powiedział astrolog z niespodziewaną nieśmiałością - i ani razu przez wszystkie te lata nie poznałem smaku przygody. - Pochwycił sękatą laskę, wspartą o kant stołu. - Jest w niej moc, Cymmerianinie. Mógłbym służyć ci pomocą.

Conan skrył uśmiech.

- Nie wątpię, Sharaku. Jeśli będzie mi ona potrzebna, wezwę cię, nie ma obawy. A teraz słuchaj, jest jeszcze jedna rzecz, którą mógłbyś dla mnie zrobić. Wiesz może, gdzie o tej porze znaleźć Emilia?

- Tego zepsutego do szpiku samochwałę? - rzucił lekceważąco Sharak. - Odwiedza wiele miejsc o wątpliwej reputacji, przy czym każde następne gorsze jest od poprzedniego. - Sypnął jak z rękawa nazwami tuzina tawern oraz tyluż domów rozpusty i szulerni. - Mógłbym ci pomóc w poszukiwaniach, jeśli naprawdę uważasz, że są one niezbędne. Nie mam pojęcia, na co mógłby ci się przydać Emilio.

- Kiedy skończysz jeść zupę, możesz przetrząsnąć piekło.

- Wolałbym burdele. - Stary astrolog mrugnął znacząco.

- Piekło. - Conan ze śmiechem wstał od stołu. Sharak wymamrotał coś i zajął się jedzeniem.

Gdy Cymmerianin odwrócił się do drzwi, napotkał spojrzenie wchodzącego mężczyzny. Przybysz miał czarne oczy o ostrym spojrzeniu, osadzone w hardej czarnej twarzy pod spiralnym hełmem z zawojem turańskiej armii. Choć średniego wzrostu, poruszał się z dużą pewnością siebie. Pasy na kaftanie świadczyły, że jest sierżantem. Ferian, ze ściągniętymi brwiami, wybiegł na jego spotkanie. Żołnierze nieczęsto zaglądali do Niebieskiego Byka.

- Szukam człowieka zwanego Emiliem z Koryntu - oznajmił sierżant.

Conan wyszedł, nie czekając na odpowiedź karczmarza. Nie miał z tym nic wspólnego. Przynajmniej taką miał nadzieję.

## IV

Conan wszedł do siódmej z kolei tawerny. Pochłoniął już ogromną ilość wina, lecz tylko lekko chwiejny krok mógł świadczyć o jego nietrzeźwości. Po mrocznej, wilgotnej izbie krążyła rzesza ladacznic w niedbałych strojach, uróżowanych i w pierścieniach. Widok ten powiedział mu, że górne piętra przysadzistego kamiennego budynku zajmuje burdel. Między stołami i wąskimi ławami na krzyżakach przeciskali się marynarze i czeladnicy wszelakich rzemiosł. Tu i ówdzie siedzieli inni - wyniosłe miny i natarte oliwą muskuły zdradzały wysoko urodzonych tak samo dobrze, jak jedwabne tuniki haftowane złotymi i srebrnymi nićmi. Ich delikatne dłonie poczynały sobie z ladacznicami równie sprawnie, co pokryte odciskami, stwardniałe ręce żeglarzy.

Cymmerianin przepchnął się do szynkwasu i rzucił na deski dwa miedziaki.

- Wina - rozkazał.

Szynkarz podał mu gliniany kubek, napełniony płynem o kwaśnym zapachu, i zgarnął monety. Był chudy jak szczapa, miał chytry wyraz twarzy, zaciśnięte, wąskie usta i podejrzliwe oczy pod ciężkimi powiekami. Nie należał do tych, którzy dobrowolnie odpowiadają na pytania. Z drugiej strony szynkwasu zawołał inny spragniony i szynkarz odszedł, wycierając ręce w brudny fartuch, powiewający wokół jego pajęczych goleni.

Conan upił łyk i wykrzywił usta. Wino było cienkie, a kwaśny smak dorównywał zapachowi.

Gdy rozglądał się po wnętrzu, jego uwagę przykuła dziwnie wystrojona ladacznica. Smukła i gibka, wspięła się na ławę, żeby tańczyć dla pół tuzina żeglarzy, którzy obmacywali jej długie nogi i zagrzewali ją ochrypłymi okrzykami. Natarte oliwą piersi miała nagie, a za strój służył jej skrawek jedwabiu, nie szerszy od męskiej dłoni, zawieszony na połączonym pasku. Zdziwienie budził jednakże nie skąpy przyodziewek, lecz nieprzejrzysty woal, który skrywał jej twarz od gorących ciemnych oczu aż po brodę. Siostry ulicy obficie malowały sobie twarze, ale nigdy ich nie zakrywały, bowiem niewielu mężczyzn byłoby zadowolonych po odkryciu, że kupili towar gorszy od spodziewanego. Conan naliczył co najmniej trzy inne z podobnymi zasłonami.

Zaintrygowany, złapał za rękaw przechodzącego oberżystę.

- Jeszcze nigdy nie widziałem zawoalowanej dziwki. Chowają dzioby po ospie?

- Jesteś nowy w Aghrapurze, prawda? - lekki uśmiech wykrzywił cienkie wargi karczmarza.

- Przybyłem tu niedawno. Co jest z tymi kobietami?

- Wieść niesie - karczmarz uśmiechnął się obleśnie - że niektóre damy wysokiego rodu, znużone oziębłością swoich mężów, zabawiają się niczym pospolite dziewczki. Zakładają woale, żeby nie rozpoznali ich mężowie; bywają oni w burdelach równie często, co inni mężczyźni. Jak mówiłem, to tylko plotka, ale który chłop oprze się okazji przespania z wielkopańską małżonką za sztukę srebra?

- Mało prawdopodobne - parsknął Conan. - Doszłoby do mordy, gdyby jeden z tych wielmożów odkrył, że dziewczka, już opłacona, jest jego żoną.

- Nie, nie. Zobacz, kto je oblega. Wszyscy prócz paniątek. Kto chciałby narazić się na wstyd związany z odkryciem, że jego żona jest sprzedajną dziewczką?

To prawda, pomyślał Conan. Wokół zawoalowanych kobiet tłoczyli się marynarze, dokerzy i kupcy, ale szlachetnie urodzeni ostentacyjnie nie zwracali na nie uwagi. Spoglądali w inną stronę, nie dopuszczając do siebie świadomości ich istnienia.

- Sam spróbuj - ponaglił karczmarz o lisiej twarzy. - Jedna sztuka srebra, a sprawdzisz, czy porusza się pod tobą jak prawdziwa dama.

Conan napił się powoli, jak gdyby rozważał propozycję. Nie był zainteresowany takim flirtem - uznawał, że lepsza jest uczciwa dziewczka niż szlachetnie urodzona oszustka. Karczmarz nie wyglądał na stręczyciela - miał na sobie nie więcej biżuterii niż każda z trzech dziewczek służebnych i nie zalaatywał od niego zapach pomady. Bez wątpienia jednak czerpał zyski z materaców nad swoją głową. Być może rozwiązałby mu się język, gdyby uznał, że ma przed sobą potencjalnego klienta. Cymmerianin postawił kubek.

- Warto się zastanowić - zarechotał, przyglądając się najbliższej dziewczynie. Była to nieodrodna córa materaca, w pomarańczowej peruce, z twarzą równie nie osłoniętą, jak wierzące się pośladki. - Ale szukam przyjaciela, z którym miałem się spotkać. Powiedziano mi, że bywa tutaj czasami.

Oberżysta cofnął się o pół kroku, a jego głos stał się oziębły.

- Rozejrzyj się. Jeśli tu jest, to go zobaczysz. W przeciwnym razie... - Wzruszył ramionami i odwrócił się, by odejść, ale Conan wyciągnął rękę nad szynkwasem i złapał oberżystę za ramię. Miał nadzieję, że jego uśmiech sprawia przyjazne wrażenie.

- Nie widzę go, ale muszę go odszukać. Zwie się Emilio Koryntczyk. Temu, kto mi powie, gdzie go znaleźć, mógłbym ofiarować równowartość nocy z jedną z tych dziewczyn.

Twarz oberżysty stała się jeszcze bardziej przebiegła, a ciężkie powieki zatrzepotały na dźwięk imienia.

- Niewielu ludzi musi płacić za informację o miejscu pobytu przyjaciela. Może ten - jak mu tam, Emilio - wcale nie jest twoim przyjacielem? Może nie życzy sobie spotkania z tobą? Ashra! Zabierz stąd tego jasnookiego durnia!

- Mogę udowodnić, że go znam. Jest...



Masywne łapsko opadło na szerokie ramię Cymmerianina, a gardłowy głos warknął:

- Wynocha!

Conan lekko odwrócił głowę, żeby rzucić okiem na wielką łapę o obrzmiałych i pokrytych bliznami kłykciach. Jego błękitne jak lód oczy powoli przesunęły się wzdłuż włochatej ręki, grubej jak męska noga. Ten Ashra był wyższy nawet od niego, i o połowę szerszy w barach, bez odrobiny tłuszczu. W przeciwieństwie do poharatanych rąk, wielka, zdobna szerokim nosem twarz była gładka, bez jednej szramy. Conan pomyślał, że niewielu mogło sięgnąć dość wysoko, by zadać mu cios.

Próbował zachować spokojny ton. Bijatyka rzadko pomagała w zdobyciu informacji.

- Nie szukam zwady, ale człowieka, którego zna ten chudzielec. Zabierz rękę i...

Zamiast odpowiedzieć, wielkolud szarpnął go za ramię. Cymmerianin odwrócił się z westchnieniem. Ashra uśmiechał się drwiąco dopóty, dopóki pięść Conana nie trafiła go w bok, czemu towarzyszył głośny trzask pękających żeber. Pijacy z krzykiem usuwali się z drogi dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn. Druga pięść Conana zderzyła się z celem i znów żebra pękły pod siłą uderzenia.

Ashra z rykiem pochwycił w potężne łapska głowę Cymmerianina, poderwał go do góry i ścisnął tak, jak gdyby chciał zmiażdżyć mu czaszkę. W oczach Conana zapłonął wilczy, bojowy ogień. Wsunął dłonie między ręce Ashry i też złapał go za głowę, jedną rękę kładąc na ciemieniu, drugą pod kwadratową szczękę. Natężył się i powoli byczy kark zaczął ustępować. Ashra, przeszyty nagłym bólem, zwolnił uścisk. Zanim stopy Conana sięgnęły podłogi, udało mu się opasać piersi napastnika długimi rękami. Splótł dłonie i wyteżył siły, aby złamać mu kręgosłup.

Lodowaty uśmiech Conana mroził krew w żyłach. W czasie potrzebnym na to, by w klepsydrze usypały się trzy ziarenka piasku, zrozumiał, że mógłby skrócić kark Ashry, lecz zabójstwo skutecznie zakneblowałoby usta szynkarza. Dlatego puścił przeciwnika. Ashra zaśmiał się, pewien, że już zwyciężył. Conan wysoko poderwał ręce, a potem trzasnął go w uszy rozwartymi dłońmi.

Ashra wrzasnął i zatoczył się do tyłu. Puszczając Cymmerianina, złapał się za krwawiące uszy. Conan postąpił za nim, tłukąc w już popękane żebra, a trzeci potężny cios wymierzył w serce wielkiego mężczyzny. Oczy Ashry zaszklily się, kolana ugięły, jednak nie upadł. Conan uderzył raz jeszcze. Z nosa trysnęła fontanna krwi. Ashra powoli obrócił się i padł na stół, który załamał się pod jego ciężarem. Leżąc wśród szczątków mebla poruszył się, jak gdyby chciał wstać, po czym znieruchomiał.

Pomrukujący tłum zebrał się wokół powalonego. Dwaj mężczyźni złapali go za kostki i stękając wyciągnęli masywne cielsko z izby. Niejedna z dziewczek ciepło popatrzyła na Conana, oblizując usta i kołyszając się zalotnie. Wśród nich były te z zakrytymi twarzami. On zignorował je i wrócił do swojej sprawy.

Lisiogęby karczmarz, niemal równie otumaniony co Ashra, stał nieruchomo za szynkwadem. W jego ręce kołysał się zapomniany pobijak do odszpuntowywania beczek.

Conan wyjął ciężkie narzędzie z bezwładnej dłoni i podniósł je na wysokość oczu szynkarza. Zaciśnął palce na grubym trzonku. Mięśnie jego ramion i barków naprężyły się; rozległ się suchy trzask i z rąk Cymmerianina wypadły dwie połówki.

Karczmarz oblizwał wargi. Patrzył na Conana jak na dziwolągą.

- W życiu nie widziałem człeka, którego Ashra nie zdołałby rozedrzeć na sztuki gołymi rękami - rzekł powoli. - Z drugiej strony, nawet on nie... - Spojrzał na złamany pobijak i z trudem przełknął ślinę. - Nie potrzeba ci może roboty? Posada zajmowana przez ten wór mięsa znów jest wolna. Sztuka srebra na dzień, do tego izba, wikt, trunki i każda wolna dziewczka do dyspozycji. Nazywam się Manilik. Jak zwą ciebie?

- Nie jestem wykidajłą - stwierdził spokojnie Conan. - Powiedz mi teraz, co wiesz o Emilii.

Manilik zawahał się, zaśmiał się nerwowo.

- Może naprawdę go znasz. Muszę dbać o język, rozumiesz. Odezwę się, kiedy nie trzeba, a go stracę. Ja nie miałem ozorem po próznicy.

- Teraz możesz nim pomachać. Na temat Emilia.

- W tym kłopot, cudzoziemcze. Och, znam go, jak najbardziej - zapewnił spieszenie, gdy pięść Conana zwinęła się na szynkwasię - ale tylko z widzenia. I nie widziałem go od trzech dni.

- Trzy dni - mruknął Conan z przygnębieniem. Znalazł wiele osób, które znały Emilia, ale żadna z nich ostatnio go nie widziała. - Ten chełpliwy idiota zapewne gapi się w lustro albo kotłuje się z tą swoją gorączkolistą Davinią - warknął.

- Z Davinią? - Manilik sprawiał wrażenie poruszonego. - Skoro wiesz o niej, może naprawdę znasz...

Lodowate spojrzenie Conana ucięło jego nerwowy chichot.

- Co wiesz o Davinii, Maniliku?

Pytanie padło tak cicho, że karczmarz zadrżał. Wydawało mu się, że to cisza grobu, w którym być może legnie, jeśli szybko nie odpowie. Słowa trysnęły z jego ust jak woda ze źródła.

- To kochanka generała Mundary Khana, bar... och, cudzoziemcze, i niebezpieczna kobieta. Jej wymaganiom Emilio nie sprostą. Nie tylko dlatego, że droga w utrzymaniu, ale ma wygórowane ambicje. Mówi się, że kochanice mają ciała, nie imiona. Jednakże imię Davinii jest szeroko znane. Nie minęły dwa lata, jak pojawiła się w Aghrapurze u boku punckiego handlarza kością słoniową. Handlarz odjechał, a ona pozostała w domu pośledniejszego kupca szlachetnych kamieni. Od tej pory z wielką zwinnością udawało jej się przechodzić z rąk do rąk. Najpierw umiarkowany zamożny sprzedawca kobierców, potem trzeci najbogatszy armator w mieście, a teraz Mundara Khan, kuzyn samego króla Yildiza, który byłby księciem krwi, gdyby jego matką nie została konkubina.

Potok słów zwolnił, potem przestał płynąć. Chciwość i strach walczyły na twarzy Manilika, a usta oberżysty wykrzywił ból. Musiał za darmo wyjawiać to, co w innym przypadku mógłby drogo sprzedać.

Conan roześmiał się lekceważąco i zełgał:

- Czy nie możesz powiedzieć mi więcej, niż gadają na każdym rogu ulicy? Otóż słyszałem że dziewczki zakładają się, iż następne łożo, w jakim zagości Davinią, należeć będzie do Yildiza. - Szukał sposobu, by wymazać wątpliwości, które nadal marszczyły twarz oberżysty. - Zaraz powiesz mi - podjął - że skoro wybiera swoich patronów tylko dla pieniędzy, to musi opuszczać ich łoża dla własnej przyjemności. - No bo jakże inaczej wyjaśnić związek tej ambitnej kobiety z kimś takim, jak Emilio?

Manilik zamrugał.

- Nie miałem pojęcia, że to rzecz powszechnie znana. Skoro tak, wielu wierzycieli zechce odebrać to, co winien im jest Koryntczyk, zanim Mundara Khan każe go wytrzebić i obłupić żywcem ze skóry. Lepiej, żeby miał złoto, którym się przechwala, inaczej nie pożyje na tyle długo, by znaleźć się na łasce generała.

- Wspominał o złocie? - nacisnął Conan.

- Tak, on... - Ciężkie powieki rozwarły się szeroko. - Chcesz powiedzieć, że to kłamstwo? Mówił, że jeszcze cztery czy pięć dni, a palce ociekać mu będą szczerym złotem. Jeśli jesteś jego przyjacielem, ostrzeż go, szczególnie przed jakimś Narxe'sem, Zamorańczykiem. Jego cierpliwość już się wyczerpała, ma dość wiecznych wymówek Emilia. A z nożem obchodzi się w taki sposób, iż twój przyjaciel będzie żałować, że nie jest martwy. Nances bardzo lubi dawać nauczkę tym, którzy nie oddają długów, choć mogą to zrobić. To doskonały przykład dla innych. I lepiej powiedz Koryntczykowi, aby nie kłapał dziobem na prawo i lewo, że go ostrzegłem. Nie chcę, żeby Zamorańczyk dobrał mi się do skóry, zanim Emilio go załatwi.

- Powiem mu - rzucił krótko Conan.

Manilik, wcielenie przebiegłości, nerwowo oblizywał usta. Gdy tylko się uda, pchnie posłańca do tego Narxesa. Czy przeżyje Nances, czy Emilio, Manilik będzie twierdzić, że to jego ostrzeżenie przechyliło szalę na korzyść wygranego. Conan nie zamierzał powiększać kłopotów korynckiego złodzieja.

- O ile mi wiadomo, zdobędzie złoto, o którym wspominał.

Karczmarz wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz, cudzoziemcze, to wierzę - powiedział, ale w jego głosie nie było krzty przekonania.

Conan odszedł z nieznacznym uśmiechem. Przystanął zaraz za drzwiami i wsparł się o ościeżnicę. Krwawa kula zachodzącego słońca płonęła nad kalenicami. Chwilę później z gospody wybiegła

szczupła, ciemnowłosa dziewczka służebna, otulając się opończę z szorstkiej brązowej wełny. Złapał ją za rękę, pociągnął w bok. Dziewczyna wlepiła w niego oczy, ciemne i przestraszone, i rozwarła szeroko usta.

- To ciebie Manilik śle do Nancesa - powiedział.

Wyprostowała się wyzywająco - sięgała głową nie wyżej niż do piersi Conana - i spiorunowała go wzrokiem.

- Nic ci nie powiem. Puść mnie.

Pchnął ją w stronę ulicy.

- Idź. Nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś z własnej woli biegiem pędził ku śmierci od noża.

Dziewczyna zawahała się, potarła rękę i omiotła wzrokiem wózki terkoczące na kocich łbach. Żeglarze i handlarze ciągnęli sznurem między wozami na wysokich kołach. Szybki skok, a zagubi się pomiędzy nimi. Zamiast tego zapytała:

- Czemu Narxes miałby mnie krzywdzić? Nigdy nie miałam miedziaka, by zasiąść do gry. Nawet nie byłam w jego szulerni.

- To znaczy, że nie wiesz? - zapytał z niedowierzaniem Conan. - To zmienia postać rzeczy.

- A niby co mam wiedzieć? O co ci chodzi?

- Słyszałem, jak Manilik mówił, że pošle dziewczynę do Narxesowi na... - urwał, potrząsnął głową.

- Nie, to na nic. Lepiej, żebyś nie wiedziała. I tak nie mogłabyś uciec.

Roześmiała się niepewnie.

- Próbujesz napędzić mi stracha. Mam tylko powtórzyć Narxesowi, że Manilik ma dla niego wiadomość. Co słyszałeś?

Conan milczał, marszcząc brwi jakby z namysłem. Dziewczyna przysunęła się do niego, położyła mu rękę na ramieniu.

- Musisz mi powiedzieć! Proszę!

- To nie przyniesie ci nic dobrego - zaczął Conan, markując niechęć. - Nances znajdzie cię, nieważne, jak daleko uciekniesz.

- Moi rodzice mają zagrodę daleko od miasta. Tam nigdy mnie nie znajdzie. Mów!

- Narxes wysyła dziewczęta wyznawcom Kultu Przeznaczenia na ofiary - skłamał i wymyślił na poczekaniu parę szczegółów. - Zostaniesz przywiązana do ołtarza, a kiedy poderzną ci gardło, zbiorą krew do kielicha, potem...

- Nie! - cofnęła się chwiejnie, przyciskając rękę do ust. Jej twarz pozieleniała, jakby dziewczyna miała zwymiotować. - Nigdy nie słyszałam, że Kult składa takie ofiary. Poza tym, prawo zakazuje składania w ofierze wolno urodzonych.

- A niby skąd ktoś mógłby się dowiedzieć? Ty będziesz martwa, a twoje ciało zostanie rzucone do morza. - Wzruszył ramionami. - Ale jeśli mi nie wierzysz, idź do Narxesa. Może on wyjaśni ci wszystko w drodze do siedziby Kultu.

- Co ja mam począć? - jęknęła, miotając się to w tę, to w tamtą stronę. - Nie mam pieniędzy, nie mam nic prócz tego, co na grzbiecie. Jak się dostanę do zagrody rodziców?

Conan z westchnieniem wyjął z sakiewki garść miedziaków. Emilio zwróci mu je z nawiązką.

- Masz, dziewczyno. Tyle powinno wystarczyć.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. - Zanosząc się szlochem, zgarnęła drobniaki z wyciągniętej dłoni i uciekła.

Nawet całusa wdzięczności, pomyślał zrzędliwie Conan, patrząc, jak dziewczyna znika na rojnej ulicy. Ale, gdy dopisze szczęście, Manilik co najmniej przez jeden dzień nie dowie się, że pokrzyżowano mu plany. W ten sposób zyskał dzień na poszukiwania Emilia bez martwienia się, że znajdzie go martwym. Historyjka, którą wymyślił dla dziewczyny, wywarła o wiele większe wrażenie niż oczekiwał. Z uśmiechem zadowolenia ruszył ulicą.

Zapadła już ciemność. Nie zauważył więc wygolonego na łyso człowieka w szafranowych szatach, stojącego w zaułku obok gospody, choć ten przyglądał mu się z dużym zainteresowaniem.

## V

Noc otuliła otoczony murem zespół budowli Kultu Przeznaczenia. Ciemności nie rozjaśniała nawet iskra światła, bowiem członkowie Kultu wstawali, pracowali, jedli i spali na rozkaz. Nie marnowano ani jednego miedziaka na najpośledniejsze ogarki. W wewnętrznej sali, tam, gdzie Jhandar spotykał się ze swoimi najwierniejszymi wyznawcami, brązowe lampy w kształcie lwów oświetlały alabastrowe płaskorzeźby i mozaikowe posadzki o tysiącu kolorów.

Czterdziestu mężczyzn odzianych w szafranowe szaty czekało pod wysokim sklepieniem. Uklękli, gdy wszedł Jhandar, i każdy dotknął czoła sztyletem.

- Błogosławiony Święty Chaos - .zaintonowali. - Błogosławiony nieład, zamęt i anarchia.

- Błogosławiony Święty Chaos - odpowiedział zdawkowo mag. Jak zawsze, ubrany był podobnie do nich.

Omiótł wzrokiem tacę z laki, złoconą i wysadzaną szmaragdami, stojącą na trójnożnym stoliku

przed czekającymi mężczyznami. Jego ręce przesunęły się ponad czterema dziesiątkami niewielkich kamiennych flakoników, palce poruszyły się na kształt węzowych jęzorów, jak gdyby wyczuwały świeżość krwi zawartej w naczynkach.

Jeden z mężczyzn wysunął się do przodu.

- Zabójstwa miały miejsce o wyznaczonych godzinach, Najwyższy Panie.

Jhandar skwitował meldunek pełnym rozdrażnienia ruchem powieki. Oczywiście, ofiary zmarły tak, jak rozkazał, o podanej godzinie. Ci, którzy przed nim klęczeli, nie wiedzieli, dlaczego pora śmierci jest taka ważna ani nawet dlaczego mają zbierać krew ofiar jeszcze zanim przestaną bić ich serca. Byli przekonani, że dysponują ogromem wiedzy, lecz potrafili tylko wypełniać rozkazy. Dla celów Jhandara to w zupełności wystarczało.

- Idźcie - rozkazał czarownik. - Czekajcie na was stawa i napoje. A potem sen. Odejdźcie.

- Błogosławiony Święty Chaos - zawołali chórem, podnieśli się z klęczek i kolejno opuścili komnatę.

Jhandar zaczekał, aż zamkną się za nimi ciężkie, wykute w miedzi drzwi, po czym przemówił:

- Che Fan. Suitai. Pomóżcie mi.

Jak gdyby materializując się z powietrza, pojawili się dwaj mężczyźni, wysocy, szczupli, w czarnych strojach. Jedyne najbystrzejsze oko zauważyłoby w murze obracającą się kamienną płytę, zza której wyszli. Mało kto zresztą zwróciłby uwagę na sposób w jaki przybyli, bowiem wzrok przykuwała ich osobliwa powierzchność. Stanowili niezwykłą parę, nawet w Aghrapurze. Mieli czarne, skośne oczy i skórę barwy pergaminu, który zżółkł po wystawieniu na słońce, jednakże tak gładką, że nikt nie potrafiłby określić ich wieku. Wyglądali jak bliźniacy, choć ten zwany Che Fanem był wyższy. Z urodzenia i wyszkolenia byli zabójcami, zdolnymi odebrać życie samym dotknięciem ręki.

Suitai wziął tacę, Che Fun zaś pospieszył otworzyć małe drewniane drzwi, pokryte laką i wypolerowane do połysku lustra. Jhandar pierwszy przestąpił próg. Za drzwiami ciągnął się wąski, pusty korytarz, oświetlony złotymi lampami. Łysogłowy mag trzymał swoich poskromionych zabójców z dala od niepowołanych oczu, ktoś bowiem mógłby odgadnąć, czym się parali. Nawet Wybrani nieczęsto ich widywali.

Wąski korytarz wiódł do komnaty, na której środku zalegał wielki krąg gołej ziemi. Ogromne żłobkowane kolumny podtrzymywały alabastrowe sklepienie, a krąg ziemi otaczało trzynaście sięgających do piersi prostokątnych postumentów.

Suitai, jak wiele razy wcześniej, zaczął ustawiać kamienne flakoniki na ubitej ziemi. Podzielił je na cztery grupy, po pięć, przy czym każdej z nich nadał kształt krzyża.

- Najwyższy Panie - przemówił Che Fan chrapliwym szeptem - czynimy, co każesz, a jednak nasze życie jest czeze.

Jhandar popatrzył na niego ze zdziwieniem. Zabójcy nigdy nie odzywali się nie zapytani.

- Wolałbyś być tam, gdzie cię znalazłem? - zapytał szorstko.

Che Fan cofnął się. Wraz z Suitaim został zamurowany żywcem w khitajskiej fortecy, w której więziono Jhandara. Czarnoksiężnik przypadkiem uwolnił ich w trakcie ucieczki, a oni w zamian przysięgli mu posłuszeństwo. Nie był pewien, czy wierzą, że naprawdę mógłby odesłać ich na powolną śmierć do Khitai, ale takie sprawiali wrażenie.

- Nie, Najwyższy Panie - odparł Khitajczyk. - Ale błagamy, Suitai i ja, żebyś pozwolił nam zrobić użytek z naszych talentów w twojej służbie. Od czasu... - zniżył głos.

Suitai postawił ostatni flakon i podniósł głowę, a potem odwrócił ją, świadomie unikając widoku rozmawiających.

Oblicze Jhandara pociemniało. Mówienie o dalekiej przeszłości było jednym, mówienie o przeszłości niedawnej zupełnie czymś innym. Nie lubił, gdy przypominano mu niepowodzenia i hańbę. Włożył ogromny wysiłek, żeby zapanować nad głosem, lecz mimo to brzmiał on niczym zgrzyt stali o kamień.

- Głupcze! Wasze talenty, jak je nazywasz, niszczą esencję człowieka, o czym wiesz doskonale. Kiedy wy zabijacie, nie pozostaje nic, co mógłbym wezwać. Gdy potrzebne mi będą wasze umiejętności, nie omieszkam was powiadomić. A może pragniesz stanąć w kręgu i sprawdzić się teraz?

Suitai odskoczył szybko od kręgu ziemi.

- Nie, Najwyższy Panie - zapewnił pospiesznie. - Błagam, wybacz mi moją śmiałość.

Obaj zabójcy skłonili się nisko.

Jhandar potrzymał ich w niepewności i dopiero po chwili nakazał:

- Powstańcie. Nadchodzą dni, które zaspokoją waszą żądzę krwi, możecie być pewni. Teraz odejdźcie i czekajcie, póki was nie zawezwę. Czekam na was. Czekam na was.

Gdy oddali mu pokłon i ruszyli do wyjścia, przepędził ich z myśli. Ważniejsze sprawy wymagały całej jego uwagi. Wyjął z fałd szaty kawałek czarnej kredy. Na czterech postumentach, stojących w równej odległości od siebie, nakreślił starożytne khitajskie ideogramy czterech pór roku, mrużąc zakłęcia w języku, którego nawet on nie rozumiał. Następnie wyrysował symbole czterech humorów, potem czterech żywiołów. Został jeden niski, kwadratowy postument. Nakreślił na nim znak życia, a nad nim - symbol śmierci.

Chłód zmroził powietrze i słowa mocy zaczęły dobywać się z jego ust w obłoczkach bieli. Głos nabrał głuchego brzmienia, jak gdyby wołał z bezdennej jamy. Mgła wzburzyła się nad kręgiem ziemi, błękitna i cętkowana srebrem, jak ponad Sadržawką Kresu, lecz blada i przejrzysta. Włosy na

rękach i nogach Jhanadara poruszyły się i podniosły. Wyczuwał przenikającą go Moc, owijającą się pasmami wokół kości.

W jądrze mgły rozbłysło światło, srebrzystolazurowa błyskawica. Panowała grobowa cisza, a jednak powietrze w koronacie zadrżało, jak w czasie uderzenia potężnego gromu. Stożące w kręgu flakony rozpadły się w niezliczone ziarna pyłu i spękana ziemia wypila krew. Rozrzedzone opary zaczęły się jarzyć.

Nie zaprzestając intonowania zaklęć, Jhandar wyszukał rdzeń Mocy, która krążyła w jego żyłach, pochwycił go, nagiął do swojej woli. Każdym włókmem swojego ciała pragnął wezwania, nakazywał wezwanie, wymuszał je.

Opita krwią ziemia porysowała się i rozpękla, a ze szczeliny wysunęła się ręka, sucha i poskręcana, z paznokciami jak szpony, o skórze pokrytej szarozielonymi plamami. Ziemia rozstąpiła się w drugim miejscu i w górę wzniosły się dwie potwornie zniekształcone dłonie. Po chwili pojawiła się następna, i jeszcze jedna. Spod powierzchni dobiegało wyteżone sapanie. Przyciągane zaklęciami Jhanadara przysadziste, zdeformowane stwory ryły sobie drogę z trzewi ziemi. Tylko nieznacznie podobne były do ludzkiego rodzaju, wszystkie bowiem stanowiły materialne odbicie samej istoty zamordowanych. Zjawy mężczyzn i kobiet nie różniły się od siebie, wszystkie były nijakie, z bezwłosą nakrapianą skórą napiętą na wielkich czaszkach, z opalizującymi oczami, które widziały grób od środka. Z ich bezwargich ust dobywało się bezustanne wycie i zawodzenie.

Jhandar przestał recytować zaklęcia i westchnął z żalem, bo poczuł, jak Moc wycieka zeń niczym woda z pękniętego dzbana. Wraz z Mocą zniknęła mgła w obrębie kręgu. Żarłoczne stwory zwróciły się w jego stronę, jakby widząc go po raz pierwszy, a ich krzyki przybrały na sile.

- Cisza! - krzyknął i hałas ucichł jak nożem uciął.

To on ich wezwał; byli jego sługami i musieli słuchać, choć niektórzy popatrywali na niego z szatańską wściekłością. Nieliczni nawet po śmierci pozostali hardzi.

- Słuchajcie mnie uważnie. Każde z was wróci do domu, w którym służyło za życia. - Niski jęk zbudził się na chwilę i natychmiast ucichł. - Tam, w bezcielesnej postaci, będziecie obserwować i słuchać. Gdy wezwę was następnym razem, powtórzycie mi wszystko, co wasi państwo pragną zachować w tajemnicy. I nie róbcie niczego bez mojego rozkazu. - Ostatnie przykazanie było konieczne, jak już wiedział, mimo że niewiele mogli uczynić bez wyraźnego polecenia.

- Słyszemy - zajęczeli przeciągłe - i jesteśmy posłuszni.

- W takim razie na krew i ziemię i potęgę Chaosu, przepadnijcie.

Zjawy zniknęły z cichym szumem wsysanego powietrza.

Jhandar uśmiechnął się po opuszczeniu komnaty. Znał już więcej sekretów Turami niż dziesięciu innych ludzi. Już teraz, szepcząc we właściwe ucho coś, za co właściciel ucha oddałby życie, byle nie wyszło na jaw, wpływał na decyzje na najwyższych szczeblach władzy. Nie, to on podejmował te



decyzje. Wkrótce sam tron nagnie się do jego woli. Nie zażąda, by wszystkim stała się znana jego pozycja rzeczywistego władcy. Świadomość, że ma władzę, całkowicie mu wystarczy. Najpierw Tutan, potem Zamora, a później...

- Najwyższy Panie.

Wyrwany z przyjemnej zadumy, Jhandar ze złością spojrzął na łysego mężczyznę, który zagadnął go na głównym korytarzu jego urządzonych z przepychem kwater. Lampy ze złota i srebra, sporządzone ze stopionych kosztowności dostarczonych przez nowych wyznawców Kultu, rzucały połyskliwe światło ze ścian wyłożonych porfirem i bursztynem.

- Czemu mnie niepokoisz, Zephranie? - zapytał ostro. Nawet Wybranym nie wolno było zbliżać się do niego bez pozwolenia.

- Wybacz mi, Najwyższy Panie. - Zephran skłonił się nisko. - Ale w mieście, przed zapadnięciem zmroku, strapiło mnie pewne spotkanie.

- Co ty pleciesz? Nie mam czasu na głupstwa.

- Jakiś barbarzyńca, Najwyższy Panie, mówił o ofiarach Kultu, o ołtarzu i wykorzystywaniu krwi.

Jhandar zacisnęła w zbiegających palcach fałdy szaty.

- Hyrkańczyk? Czy to był Hyrkańczyk?

- Nie, Najwyższy Panie.

- Na pewno się mylisz.

- Nie, Najwyższy Panie. Miał skórę jasną w miejscach, gdzie nie zbrązowiło jej słońce, a oczy dziwne, bo niebieskie jak morze.

Jhandar musiał wesprzeć się o ścianę. W Hyrkani, po drugiej stronie Morza Vilayet, po raz pierwszy założył Kult, po raz pierwszy stworzył Sadzawkę Chaosu. Chciał stopić rozrzucone hyrkańskie plemiona zawziętych wojowników w jedną siłę posłuszną jego słowu. Chciał wysłać falę konnych, która zmyłaby Turan i Zamorę i wszystkie ziemie na zachód aż do samego oceanu. Chciał...

Ale krnąbrne duchy nie dały się w pełni okiełznać. Udało im się porozumieć z żywymi i powiadomić ich, co dzieje się w siedzibie Kultu, którą budował, i plemiona najechały go, i wycięły w pień jego wyznawców. Uwolniona przez niego Moc przemieniła część hyrkańskich stepów w piekło, a on sam musiał salwować się ucieczką. Hyrkańczycy wierzyli w krwawą zemstę. Gdzieś w głębi tkwiło w nim nasienie strachu, że będą tropić go nawet za morzem. Wiedział, że to śmieszne, a jednak nie mógł się pozbyć tego uczucia.

- Najwyższy Panie - odezwał się nieśmiało Zephran. - Nie pojmuję, dlaczego miałbyś niepokoić się z powodu brudnych Hyrkańczyków. Nieliczni, których widziałem w...

- Nic nie rozumiesz - warknął Jhandar. - Wracając do tego barbarzyńcy, zabiłeś go?

Zephran poruszył się niespokojnie.

- Najwyższy Panie, zgu... zgubiłem go w mroku i w dumie, wśród tawern w pobliżu portu.

- Głupcze! Zerwij swoich kamratów z posłania! Znaleźć mi tego barbarzyńcę! On musi umrzeć!

Nie! Przyprawiajcie go do mnie. Wycisnę z niego, co jeszcze mu wiadomo. No, na co czekasz? Ruszaj, głupcze! Żywo!

Zephran pobiegł, pozostawiając Jhandara zapatrzonego w pustkę. Tylko nie to, myślał czarownik. Nie mogą przegrać. Jeśli będzie trzeba, obrócę w perzynę cały świat, ale nie poniosę klęski.

## VI

Powoli, ostrożnie pokonując stopnie, Conan zszedł do gościnnej izby tawerny Pod Niebieskim Bykiem. Nie do końca wierzył, że głowa mu pęknie, jeśli noga omsknie mu się na schodku, ale nie widział powodu, by ryzykować. Poprzedni wieczór strawił na długiej wędrówce od jednej oberży do drugiej. Pokonał nieskończony rząd kufli i wszystkim, co zyskał za swój trud, był okropny ból głowy.

Zobaczył Sharaka, zapamiętałe grzebiącego łyżką w misce soczewicy, i skrzywił się na widok jego entuzjazmu. Z westchnieniem opadł na ławę przy stole.

- Musisz tak tryskać energią, Sharak? - mruknął. - Wystarczy, żeby wywrócić człowiekowi żołądek na nice.

- Tajemnica tkwi w nie uleganiu pokusom - zarechotał radośnie astrolog. - Żyję przyzwoicie, nie muszę więc martwić się o głowę pękającą od oparów wina. Przynajmniej nieczęsto. I to przynosi mi szczęście. Zeszłej nocy, wypytując o Emilia, odkryłem, że ladacznice w tym mieście wręcz przepadają za zamorańską astrologią. A wiesz, dlaczego?

- Czego dowiedziałeś się o Emiliu, Sharaku?

- Bo jest cudzoziemska. Myślą, że wszystko, co obce, musi być lepsze. Oczywiście, niektóre skłonne są płacić monetą inną niż złota czy srebrna. - Znów zaśmiał się lubieżnie. - Spędziłem noc w ramionach dziewczki o cudownych...

- Sharak, przestań. Co z Emiliem?

Chudy jak szczapa starzec westchnął.

- Gdybyś ty chciał się trochę poprzehwalać, ja bym ci nie przeszkadzał. No, niech ci będzie. Co nie znaczy, że dowiedziałem się dużo. Nikt nie widział go od dwóch wieczorów. Trzy różne osoby - dwie z nich to dziewczki - powiedziały mi, iż Emilio twierdził, że wielka ilość złota wejdzie w jego

posiadanie. Miało się to stać wczoraj. Może ktoś poderzwał mu gardło, żeby przejąć ten majątek.

- Postawiłbym na Emilia przeciwko każdemu w tym mieście - powiedział Conan - w walce na miecze, noże czy gołe ręce. - Ale w jego głosie brakowało przekonania. Był już pewien, że Emilio nie żyje, że zginął, próbując skraść naszyjnik. Pijany jak bela, nie miał zbyt dużych szans. - Powiniennem być z nim isć - mruknął.

- Dokąd? - zapytał Sharak. - Zresztą, nieważne. Niejeden liczył, że Emilio zdobędzie to złoto. Sam słyszałem, jak karciarz Narxes rzucał pod jego adresem takie ohydne pogrozki, że odechciało mi się jeść. - Z apetytem wepchnął do ust następną łyżkę strawy. - Szuka go jeszcze Nafar Stręczyciel i kothyjski lichwiarz imieniem Fentras, a nawet turański żołnierz, sierżant. Jeśli Emilio jeszcze żyje, to już nie ma go w Aghrapurze, i słusznie.

- Emilio zamierzał okraść siedzibę Kultu Przeznaczenia, Sharaku. Myślę, że spróbował przedwczorajszej nocy.

- W takim razie nie żyje - westchnął Sharak. - To miejsce zyskało złą sławę, wśród Bractwa Cieni. Niektórzy złodzieje mówią, że człowiek, który choćby pomyśli o obrobieniu tamtejszego skarbcza, sam podpisuje na siebie wyrok.

- Chciał ukraść naszyjnik z trzynastu rubinów dla kobiety o jasnych włosach. Prosił, żebym mu pomógł.

Stary astrolog cisnął łyżkę do miski.

- Może twój wykres... - zaczął zwolna. - Te oczy są stare, Conanie. Możliwe, że zobaczyłem tylko efekt twojej znajomości z Emiliem.

- I możliwe, że ludzie potrafią latać bez pomocy magii - zaśmiał się niewesoło Conan. - Nie, stary przyjacielu. O ile mi wiadomo, nigdy nie pomyliłeś się przy czytaniu w gwiazdach. Sens był jasny. Muszę zakraść się do tego kompleksu i zwędzić naszyjnik.

Ława głośno zaskrzypiała, gdy obok Conana przysiadł jakiś mężczyzna.

- A ja muszę isć z tobą - powiedział.

Conan odwrócił się w jego stronę. Był to twardooki, czarnoskóry sierżant armii Turami, który wcześniej szukał Emilia.

- Nazywam się Akeba - przedstawił się przybyły.

Wielki Cymmerianin wsparł dłoń na wyświechtanej skórze rękojeści miecza.

- Podśluchiwanie cudzych rozmów jest niegrzecznym nawykiem - zauważył niebezpiecznie cichym głosem.

- Nie obchodzi mnie, jeśli okradniesz to miejsce do ostatniej szpilki - powiedział Akeba. Jego

ręce spoczywały na stole, a oczy jakby nie widziały miecza Conana. - Ludzie gadali, że Emilio nie boi się tam wejść, lecz wy twierdzicie, że już go nie ma wśród żywych. Muszę tam iść i potrzebny mi ktoś do ochrony tyłów, człowiek, który nie boi się czcicieli Kultu. Jeśli wybierasz się do ich siedziby, ja pójdę z tobą.

Sharak odchrząknął.

- Proszę, powiedz nam, czemu sierżant turańskiej armii chce wchodzić potajemnie do tego kompleksu.

- Moja córka, Zorella - ból wykrzywił rysy Akeby - została porwana przez tę przekłętą przez Mitrę sektę. Albo przystąpiła do nich z własnej woli, nie wiem. Nie pozwalają mi z nią rozmawiać, ale raz ją widziałem, z daleka. Już nie jest taka jak kiedyś. Twarz ma oziębłą i wcale się nie uśmiecha. Zorella zawsze się uśmiechała. Muszę ją stamtąd wydostać.

- Twoja córka! - parsknął Conan. - Mam zamiar zakraść się ukradkiem, a im więcej ludzi, tym większy hałas. W dodatku, wleczenie siłą płaczącej dziewczyny...

- Czy ukradniesz coś więcej nad wodę do picia, jeśli wezwę swoich ludzi i każę cię aresztować?  
- zapytał Akeba.

Dłoń Conana zacisnęła się na rękojeści miecza.

- Z grobu nie wezwiesz nikogo - warknął. Akeba sięgnął do szabli i obaj zaczęli się podnosić.

- Nie budźcie głupi! - upomniał ich ostro Sharak. - Ty, Akeba, nigdy nie odzyskasz swojej córki, jeśli on rozłupie ci czaszkę. A ty, Conanie, znasz niebezpieczeństwo, na jakie chcesz się narazić. Czy drugi miecz nie byłby przydatny?

- Czyj? Tego niezdarnego żołdaka? - odparł Conan. Ich oczy zwały się w milczącej walce, niebieskie i czarne, twarde jak żelazo. - Jego stopy nadają się do marszu, nie do cichego skradania.

- Trzy lata - zaczął z dumą Akeba - służyłem jako zwiadowca i podchodziłem plemiona z gór Ibarri, a jednak nadal cieszę się życiem i przyrodzeniem. Miałbym raczej zastrzeżenia co do ciebie. Wnosząc z twoich rozmiarów, zapewne poruszasz się tak cicho jak byk w gęstych chaszczach.

- Byłeś zwiadowcą? - mruknął z zadumą Cymmerianin. A zatem miał do czynienia z człowiekiem znającym sztukę podchodów. Może Sharak dobrze mu radził. To pewne, że przyda się drugie uzbrojone ramię. Poza tym, zabicie żołnierza z pewnością uniemożliwiłoby mu pozostanie w Aghrapurze.

Conan opadł powoli na ławę, Akeba podążył za jego przykładem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, potem, jakby na dany znak, obaj puścili rękojeści mieczy.

- Teraz, gdy wszystko ustalone - podjął Sharak - pozostaje kwestia przysięgi, która zwiąże nas na czas tego przedsięwzięcia.

- Nas? - burknął Akeba i spojrział nań pytająco.

Conan potrząsnął głową.

- Nadal nie wiem, czy ten żołnierz idzie ze mną czy nie, ale wiem, że ty nie idziesz. Znajdź sobie dziewczkę, której poczytasz w gwiazdach. Mogę ci taką polecić, jeśli nie masz nic przeciwko głowie ozdobionej mnóstwem paciorków.

- A kto dopilnuje koni - zapytał Sharak - gdy dwaj śmiałkowie wedrą się na teren kompleksu? Poza tym, Conanie, mówiłem ci, że nigdy nie przeżyłem przygody. W moim wieku to może być ostatnia okazja. I mam to. - Potrząsnął swoją laską. - Może się przydać. Akeba zmarszczył czoło.

- To tylko laska. - Popatrzył na Conana.

- Posiada magiczną moc - wyjaśnił Cymmerianin, dyskretnie mrużąc oko.

Po chwili ciemnoskóry mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Skoro tak mówisz. - Jego twarz spoważniała. - Co do wyprawy, chciałbym, żeby już było po wszystkim.

- Dziś wieczorem - zdecydował Conan. - Ja też chcę mieć to za sobą.

- Przysięga - wtrącił się Sharak. - Nie zapomnijmy o przysiędze.

Trzej mężczyźni przybliżyli głowy.

## VII

Conan i Akeba zostawili Sharaka pod drzewem, żeby miał oko na konie, a sami ruszyli w noc, w stronę alabastrowych murów siedziby Kultu Przeznaczenia. Za murami pięły się wzwyż wieże barwy kości słoniowej, zwieńczone purpurowymi, złożonymi kopułami, które stapiały się z ciemnym ametystowym niebem. Płynące z wiatrem chmury rzucały ruchliwe cienie w poświacie księżyca i niczym więcej jak podobnymi cieniami byli dwaj skradający się mężczyźni. Odległe o tysiąc kroków Morze Vilayet pieniało się, z hukiem tłukąc w skalisty brzeg.

U stóp muru szybko zdjęli z ramion zwoje mocnej liny. W powietrze śmignęły dwie kotwiczki, dokładnie owinięte szmatkami, i z cichym brzękiem zaczepiły o szczyt.

Conan wspiał się po linie ze zwinnością małpy. Zatrzymał się na samej górze, dokładnie obmacując twardą, gładką powierzchnię. Chwilę później obok niego pojawił się Akeba i, nie zatrzymując się ani chwili, przeskoczył na drugą stronę. Conan z wyższością wzruszył ramionami - żołnierz popełnił karygodny błąd, typowy dla początkującego złodzieja. Na szczęście w szczycie muru nie osadzono glinianych skorup ani ostrych kamieni, które mogłyby poszarpać ciało

nieostrożnego nowicjusza.

Conan przewinał się na drugą stronę, zdjął kotwiczkę i, trzymając ją z dala od siebie, puścił się krawędzi muru. Zamortyzował upadek, wykonując przewrót przez ramię, i płynnym ruchem poderwał się na nogi. Znajdował się w ogrodzie pełnym egzotycznych krzewów i drzew, którym ruchliwe cienie nadawały pozór życia. Akeba szybko zwił swoją linę.

- Pamiętaj - powiedział Conan - spotykamy się u stóp najwyższej wieży.

- Pamiętam - mruknął Akeba.

Mieli za sobą burzliwą dyskusję na temat tego, które zadanie ma zostać wykonane jako pierwsze. Akeba obawiał się, że Conan, kradnąc naszyjnik, może postawić strażę na nogi, Conan zaś był pewien, że w trakcie ratowania córki sierżanta nie obejdzie się bez podniesienia alarmu. Mieszkań kobiet zapewne dobrze strzeżono, w przeciwieństwie do naszyjnika, jak twierdził Emilio. W końcu Sharak zaproponował kompromis: Conan pójdzie po naszyjnik, a Akeba zlokalizuje kwatery niewiast. Potem mieli się spotkać i razem popracować nad problemem, jakim było wyprowadzenie Zorelli za mury. Conan przystał na taki układ dużo chętniej niż Akeba. Mimo argumentów Sharaka, Cymmerianin uważał, że raczej nie będzie potrzebować towarzysza podczas tej wyprawy.

Rzuciwszy Turańczykowi ostatnie powątpiewające spojrzenie, Conan oddalił się bezszelestnym, szybkim krokiem polującej pantery i rychło zniknął w cieniach. Dokładnie pamiętał, jak Emilio opisał miejsce, w którym miał czekać naszyjnik: najwyższa komnata w wieży w ogrodzie po wschodniej stronie kompleksu. Pokonali wschodni mur, dzięki czemu do wieży nie było daleko. Na tle nocnego nieba rysowała się wysoka, kanciasta sylwetka. Conan zwolnił; szedł teraz z największą ostrożnością i przystanął w pewnej odległości od celu. Księżyc dostarczał dość światła, by mógł zlustrować otoczenie.

Wieżę otaczał chodnik z ciemnych płyt o szerokości siedmiu czy ośmiu kroków. Budowla z gładkiego, zielonego kamienia nie miała żadnych otworów z wyjątkiem wejścia na poziomie podłoża. Szczyt otaczał wąski balkonik. Ponad nim cebulasta kopuła lśniła w poświacie księżyca jakby była wysadzana szlachetnymi kamieniami.

Cymmerianina zaniepokoiła nieobecność straży. Co prawda wiedział, iż uczniom Kultu wpajano, że bogactwo nie posiada żadnej wartości. Z drugiej jednak strony, w ciągu niemal dwudziestu lat życia ani razu nie spotkał się z nikim, kto będąc przy zdrowych zmysłach zostawiałby skarb nie strzeżony przez oczy i uszy oraz żelazne antaby i zamki.

Ściany wieży były gładkie jak szkło, najmniejsze szczeliny nie dawały oparcia dla palców rąk i nóg, nawet jeśli należały one do człowieka zaznajomionego ze wspinaczką po stromych urwiskach Cymmerii. Popatrzył w dół. Cieniutkie rysy tworzyły na powierzchni chodnika niezwykle wzór. Każda z płyt mogła być zapadnią nad jamą pełną kothyjskich zmij czy jadowitych pajaków z turańskich stepów.

Widował już takie pułapki i coś w tym rodzaju powinno znajdować się przed sklepionym wejściem. Naprzeciwko niego do wieży biegła marmurowa ścieżka, która urywała się przy skraju

chodnika. Conan ukląkł, zbadał miejsce połączenia i uśmiechnął się lekko. Marmurowa płyta wznosiła się nieznacznie nad chodnik, a jej skraj błyszczał, jak gdyby często tarł o kamienie. Patrząc pod kątem, dostrzegł dwie linie, oddalone od siebie na szerokość marmuru, biegnące w kierunku łuku. Tutaj była pułapka - nieważne, jaka - i musiano kłaść coś na tych płytach, żeby członkowie kultu mogli bezpiecznie wejść do wieży. Tyle zachodu, pomyślał drwiąco, dla bezwartościowego skarbu.

Odszedł marmurowym chodnikiem od wieży, uważnie licząc kroki. Przez cały czas nasłuchiwał, czy z jakiejś części kompleksu nie dobiegnie podejrzany hałas. Cisza. Jak na razie Akeba nie spowodował alarmu. Dobre i to. Odwrócił się po zrobieniu czterdziestu kroków. Samą wieżę widział dość wyraźnie, lecz łuk wejścia, do którego zmierzał, jawił się w postaci rozmytej smugi u jej podstawy. Szybko odpiął pas z mieczem i przełożył go przez oba ramiona, w ten sposób, żeby skórzana pochwa zwisała wzdłuż pleców. Dzięki temu zabiegowi zyskał pewność, że długie ostrze nie zacznie plątać mu się między nogami.

Zaczerpnął powietrza i ruszył. Potężne płuca pracowały niczym miechy, gdy starał się rozpędzić do jak największej szybkości. Zobaczył wyraźnie chodnik, potem łuk. Wyczuł pod butem skraj marmurowej płyty i wybił się do lotu przez nocne powietrze. Wylądował z głuchym odgłosem na samym progu. Zachwiał się i mało brakowało, a przewróciłby się na plecy. Rozpaczliwie szukał palcami oparcia i przez chwilę długą jak wieczność był pewien, że zaraz runie na zapadnię. Na szczęście wyciągnięte ręce zacisnęły się na framudze i powoli wciągnął się do środka.

Śmiejąc się cichutko, dobył miecza i ruszył w głąb wieży. Spróbujcie powstrzymać Cymmerianina, pomyślał.

Na najniższym poziomie znajdowało się kilka pomieszczeń, ale wszystkie drzwi zamknięte były na klucz. Nieważne - to, czego potrzebował, znajdowało się u góry, a tam prowadziły spiralne kamienne schody. Z wysuniętym przed siebie mieczem ruszył, ostrożnie pokonując stopień po stopniu. Pierwsza pułapka wcale nie musiała oznaczać, że nie ma innych. Bez przeszkód pokonał schody i dotarł do komnaty na szczycie wieży.

Kute srebro na kopule odbijało i wzmacniało poświatą księżyca, która wsączała się do komnaty. Sześć zakończonych ostrołukami portali, zdobionych filigranowymi płaskorzeźbami, wiodło na wąski balkonik. Na mozaikowej posadzce stały otwarte szafy, rzeźbione w zawijasy i pokryte laką. W nich, na aksamitnych poduszkach, leżały bezcenne klejnoty. Korona wysadzana rubinami i perłami, jakiej nie powstydziłby się największy władca. Szmaragd wielki jak męska pięść. Dwadzieścia długich na palec frywolnych figurynek, wyrzeźbionych z szafirów najczystszej wody. Skarb był tak wielki, że chciwość zapłonęłaby nawet w oczach kapłana - żebraka, który poprzysiągł życie w ubóstwie.

Conan ujrzał naszyjnik z trzynastoma nieskazitelnymi rubinami połyskującymi krwawo w srebrzystym świetle. Ocenił go doświadczonego okiem i schował do sakiewki. Może naprawdę sprawiał, że noszącej go kobiecie nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna, ale z drugiej strony kobiety i tak były przekonane, że podobne właściwości mają wszystkie klejnoty o określonej cenie. W każdym razie, za sto sztuk złota Davinia zrobi dobry interes. Conan jeszcze raz omiół komnatę spojrzeniem. Mieściła ona skarb wart dziesięć tysięcy sztuk złota - ba, dziesięć razy po dziesięć tysięcy. Ferian miał rację - mógłby zabrać stąd dość, by stać się bogaczem.

Z pewnym trudem, choć bez żalu, oderwał się od takich myśli. Skończył z kradzieżami i to, co robił tej nocy, nie czyniło żadnej różnicy. Wiedział, że gdyby złupił tę komnatę i zabrał tyle, ile zdołałby unieść, niełatwo byłoby mu wrócić na uczciwą drogę. Uświadamiał też sobie, że niezależnie od ilości, złoto uzyskane ze sprzedaży łupu nie starczyłoby mu wcale na dłużej niż zyski z wcześniejszych kradzieży. Taki pieniądz zwykle szybko wyciekał z sakiewki.

- Miałem nadzieję, że nie przyjdiesz.

Conan odwrócił się z szybkością błyskawicy, z mieczem w pogotowiu. Opuścił broń i uśmiechnął się szeroko.

- Emilio! Myślałem, człowieku, że już nie żyjesz. Możesz mieć ten przeklęty przez Mitrę naszyjnik i cieszyć się dobrodziejstwami, jakie wynikają z jego posiadania.

Wysoki Koryntczyk pokonał ostatnie stopnie i wszedł do komnatki. Był uzbrojony w miecz i sztylet. - Nie sądzisz, że pilnowanie na wieki tego, co zamierzałem ukraść, jest dość przewrotną karą?

Conanowi włos zjeżył się na karku.

- Zostałeś zaczarowany?

- Nie żyję - odparł Emilio i rzucił się na niego.

Conan zrobił unik i miecz strzaskał wypełnione skarbami półki. Emilio jak wąż pomykał za Conanem, który krążył po komnacie starając się, by szafy stale odgradzały go od goniącego.

- Co ty za głupoty gadasz? - zapytał. - Widzę przed sobą człowieka, nie zjawę.

Śmiech Emilia zabrzmiał głucho.

- Mam rozkaz zabijać wszystkich, którzy nocą wchodzą do wieży, ale nikt nie zakazał mi mówienia. - Poruszał się wolno, śmiertelnie niebezpiecznie; Conan przesuwiał się w drugą stronę, chowając za lakierowanymi szafami. - Zostałem pojmany w tej samej komnacie, z naszyjnikiem w ręce. Aż tyle osiągnąłem. Zadano mi cierpienia i wbito w serce wydrążony sztylet. Patrzyłem, jak serce pompuje moją krew do misy, Cymmerianinie.

- Na Croma - mruknął Conan, zaciskając mocniej rękojeść miecza. Zabicie przyjaciela było złym postępkim, nawet gdy rzucono na niego czar i miał rozkaz mordowania. Jednak żądanie śmierci to coś lepszego niż przyjęcie jej z cudzych rąk.

- Jhandar, zwany Najwyższym Panem, zabrał mi życie - kontynuował Emilio, ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając kroku. - Potem przywrócił jego część do ciała, które niegdyś należało do mnie. - Jego twarz wykrzywił dziwny grymas. - I stworzenie, będące kiedyś Emiliem z Koryntii, stało się posłuszne. Musi... słuchać.

Emilio kopnął lakierowaną szafę odgradzającą go od Conana i rzucił się ku niemu w trzasku



pękającego drewna. Conan odskoczył, a Emilio przypuścił atak, rozgniatając podeszwami kunsztowne precjoza, rozrzucając po komnacie bezcenne klejnoty.

Conan poderwał miecz, krzesząc skry z opadającej głowni przeciwnika. Koryntczyk próbował ugodzić go sztyletem w żebra, lecz nagle jego dłoń znalazła się w żelaznym uścisku. Zwarci pierś w pierś, wytoczyli się na balkon. Conan podniósł kolano, uderzył Emilia w krocze, ale ożywiony trup tylko stęknął i odskoczył. Ostrze Conana przecięło tunikę na piersiach i dawny przyjaciel znowu się cofnął. Uderzył tylną stroną nóg o balustradę i przez chwilę balansował w powietrzu, rozpaczliwie wymachując rękami, próbując odzyskać równowagę. A potem zniknął, bez jednego dźwięku. Z dołu dobiegło głuche plaśnięcie, które przyprawiło Conana o skurcz żołądka.

Conan z trudem przełknął ślinę, zbliżył się do balustrady i popatrzył ku ziemi spowitej w cienie. Nie mógł rozróżnić szczegółów, ale nie sądził, żeby Emilio przeżył upadek - o ile w ogóle był żywy przed upadkiem. Zabicie przyjaciela to zły czyn, niezależnie od okoliczności. Mogło przynieść pecha.

Schował miecz i pognął na dół. Ciało Emilia, leżące tuż przed sklepionym wejściem, uruchomiło pułapkę. Płyty od progu po marmurowy chodnik jeżyły się metalowymi szpikulcami, długimi jak męskie przedramię. Koryntczyk nadział się na cztery z nich.

- Zadmiń teraz w piekielny róg - mruknął Conan.

Czekało go jeszcze spotkanie z Akebą i nie miał czasu na rozpamiętywanie. Szybko przeszedł między szpikulcami i puścił się biegiem do umówionego miejsca spotkania, najwyższej wieży w kompleksie. Jej poślaczana kopuła jasno błyszczała w blasku księżyca.

Nagle noc przeszył kobiecy krzyk. Conan zaklął, wyciągnął miecz i zdwoił tempo. Krótki skowyt dobiegł od strony wieży.

Gdzieś w głębi kompleksu rozdzwonił się mosiężny gong, za nim drugi i trzeci. W oddali podniosła się wrzawa i zapłonęły pochodnie.

Conan śmignął w cieniu u podstawy wieży i stanął jak wryty. Akeba czekał, trzymając szczupłą czarnoskórą piękność w szafranowych szatach. Jedną ręką unieruchomił jej ramiona, drugą zakrywał usta. Wielkie ciemne oczy spojrzały nienawistnie na Cymmerianina znad palców żołnierza.

- To twoja córka? - zapytał Conan.

Akeba pokiwał głową i uśmiechnął się promiennie.

- Zorella. Nie wierzę we własne szczęście. Niosła wodę do kobiecych kwater. Nikt mnie nie widział.

Krzyki stały się głośniejsze, a pochodnie wyroiły się licznie jak gwiazdy.

- W tej chwili to nie ma znaczenia - rzucił oschle Conan. - Wydostanie się stąd nie będzie łatwe, nie wspominając, że dziewczyna chyba nie ma na to ochoty.

- Zabiorę ją z tego miejsca - oświadczył twardo Turańczyk.

- Mam nadzieję. - Sam nie zostawiłby żadnej kobiety na łasce tego, kto unicestwił Emilia. - Ale musimy... sza! - machnął ręką, nakazując milczenie.

Tkwiały w nim głęboko atawistyczny instynkt krzyczał, że obserwują go nieprzyjazne oczy, które z każdą chwilą są coraz bliżej. Ale sam nie dostrzegał niczego prócz podejrzenie poruszających się cieni, Nie. Jeden cień przemienił się w człowieka w czarnym stroju. Nawet gdy zyskał pewność, trudno mu było skupić wzrok na tej mrocznej postaci. Miała w sobie coś, co rozpraszało uwagę. Włos zjeżył mu się na karku. Wyczuwał jakieś czary, wszędzie, w całym kompleksie - paskudne czary, sprzeczne z naturą.

- Na Mitrę! - Akeba oderwał rękę od ust córki. - Ugryzła mnie! Korzystając z chwili przewagi, dziewczyna przeorała mu twarz paznokciami. Akeba znajdował się w niezręcznej sytuacji - nie chciał zrobić krzywdy własnej córce i tylko próbował unieruchomić ją ramionami, unikając wydrapania oczu. W tych okolicznościach była to nierówna walka. W jednej chwili dziewczyna uwolniła się i rzuciła z krzykiem do ucieczki.

- Pomocy! Intruzi! Próbują mnie zabrać! Ratunku!

- Zorella! - zawołał Akeba i pobiegł za nią.

- Na Piekła Zandru! - ryknął Conan, podążając jego śladem.

Znienacka przed dziewczyną pojawiła się postać w czarnych szatach. Zorella sapnęła z przestachu i odskoczyła.

Ręka obcego musnęła jej twarz. Dziewczyna przestała krzyczeć i osunęła się na ziemię, jakby nagle stopiły się jej kości.

- Zorella! - wrzask Akeby wyrażał bezbrzeżną rozpacz. Pierwotny instynkt z rykiem zbudził się w piersiach Conana.

Skoczył szczupakiem, złapał Akebę w pasie i pociągnął go na ziemię. W powietrzu rozbrzmiał szum, jak gdyby na wolność wyrwało się tysiąc szerszeni. Strzały przemknęły nad ich rozpostartymi ciałami w kierunku postaci w czerni. Na oczach zdumionego Conana mężczyzna błyskawicznymi ruchami rąk odbił na bok dwie strzały, pochwycił w locie dwie następne, a potem, jakby prześlizgując się między pozostałymi, rozpląnął się w mroku.

W ślad za strzałami ruszyło dziesięciu Hyrkańczyków, wymachujących w biegu krótkimi kościanymi łukami i zakrzywionymi jataganami. Dwaj skręcili w stronę Conana i Akeby, ale inny krzyknął gardłowo:

- Nie! Zostawcie ich! Przyszliśmy tu po Baalshama!

Oddział Hyrkańczyków pobiegł w noc.

Potrząsając głową, Conan wolno podniósł się na nogi. Nie miał pojęcia, co się wydarzyło i, prawdę mówiąc, nie był pewien, czy chce się dowiedzieć. Lepiej zająć się swoimi sprawami, wszystko inne zostawić tym, którzy już są w to wmieszani. Krzyki w oddali przemieniły się we wrzask przerażenia i rozległ się beładny tupot setek stóp uciekających, przerażonych ludzi. Plama czerwien zabrudziła niebo, gdy jedna z budowli stanęła w płomieniach.

Akeba podczołgał się do córki. Wziął ją w ramiona i kołysał, a łzy strumieniem spływały po jego płaskich policzkach.

- Nie żyje, Cymmerianinie - wyszeptał. - On tylko ją dotknął, a jednak...

- Zabierz swoją córkę - powiedział Conan - i chodźmy stąd. Nie weźmiemy udziału w tym, co rozgrywa się tutaj dzisiejszej nocy.

Turańczyk ułożył Zorellę na ziemi, wyciągnął szablę i obejrzał ostrze.

- Muszę pomścić jej krew, muszę zabić pewnego człowieka. - Głos miał cichy, ale twardy jak skała.

- Zemsta wymaga chłodnej głowy i zimnego serca - odparł Conan. - U ciebie jedno i drugie rozpała gorączka. Zostań, a umrzesz, zapewne nawet nie widząc człowieka, który ją zabił.

Akeba zwrócił ku niemu wykrzywioną twarz i oczy, niczym węgle płonące w czarnej twarzy.

- Chcę krwi, barbarzyńco - rzucił chrapliwie. - Jeśli będzie trzeba, zacznę od twojej.

- Chcesz zatem zostawić Zorellę na pastwę robaków i kruków?

Akeba mocno zacisnął powieki i z sykiem wciągnął powietrze do płuc. Powoli schował broń do pochwy i podniósł córkę. Kiedy się wyprostował, jego twarz i głos pozbawione były wyrazu.

- Opuśćmy to przekłete miejsce, Cymmerianinie.

W ciemności przemknęło parunastu mężczyzn i kobiet w szafranowych szatach. Pędzili na złamanie karku, jak gdyby gnani przerażeniem. Żaden z uciekinierów nawet nie spojrzał na dwóch obcych, z których jeden niósł w ramionach ciało dziewczyny.

Jeszcze dwa razy w drodze do muru napotkali gromadki czcicieli Kultu, biegnących na oślep przed siebie. Za ich plecami pojedyncze okrzyki przerodziły się w bezustanny harmider. Teraz jęzory dwóch pożarów lizały niebo.

Byli już blisko miejsca, gdzie pokonali mur, gdy z kryjówki w krzakach, jak stado spłoszonych kuropatw, wypadła kolejna gromada. Niektórzy uciekali z wrzaskiem, inni próbowali wyminąć dwóch mężczyzn, niemal zbijając ich z nóg.

Conan zepchnął z drogi dwóch ogolonych na łyso czcicieli i zawołał:

- Ruszaj, Akeba! Zabieraj ją! - Rzucił na ziemię następnego mężczyznę, złapał kobietę, żeby pchnąć ją na bok...i skamieniał. To była Yasbet.

- Ty! - krzyknęła. Nie zatrzymując się, Conan zarzucił ją sobie na ramię i ruszył dalej, roztrącając tych nielicznych, którzy próbowali spowolnić jego marsz. Yasbet wymachiwała nogami, bezskutecznie usiłując wymierzyć mu kopniaka, i tłukła drobnymi piąstkami w jego szerokie plecy.

- Puść mnie! - wrzeszczała. - Nie masz prawa! Puszczaj! - Dotarli do muru i tutaj postawił ją na ziemi. Popatrzyła na niego z majestatem królowej-wdowy. - Zapomnę o tym, jeśli natychmiast odejdziesz. A w zamian za uprzejmość, jaką wyświadczyłeś mi wcześniej, nie powiem... - Urwała z piskiem, gdy pochylił się i odciął sztyletem pas materiału z jej szaty. W mgnieniu oka związał jej ręce za plecami i zanim zdołała zaprotestować, dodał knebel i pęta na kostki.

Akeba zajął się kotwiczkami i już dwie liny zwieszały się ze szczytu muru.

- Kim ona jest? - zapytał, wskazując Yasbet ruchem głowy.

- Następną pannicą, która nie powinna tu zostawać - odparł Conan. - Ruszaj na górę. Opaszę sznurem twoją córkę, żebyś mógł wciągnąć ją za sobą.

Turańczyk rzekł po chwili wahania:

- Najpierw ta żywa. Może nie starczyć czasu na obie. - Nie czekając na odpowiedź, wspiał się po linie.

Dziewczyna miotła się, lecz Conan zdołał przeciągnąć koniec sznura pod jej pachami. Po chwili stłumione piski dobiegały już z wysoka. Pospiesznie obwiązał drugą liną ciało Zorelli. Gdy powędrowało w górę, wypatrywał oczy w ciemności i nasłuchiwał - Hyrkańczyków, czcicieli Kultu, czegokolwiek podejrzanego. Zważywszy na szaleństwo tej nocy, spodziewał się wszystkiego najgorszego. Słuchał i czekał. Czekał i słuchał. Akeba musiał zsunąć się po drugiej stronie i odwiązać jedną z dziewczyn, a następnie wrócić na szczyt muru i rzucić mu linę, ale wydawało się, że trwa to niezmiernie długo.

Koniec sznura plasnął w mur przed jego twarzą. Conan nie potrafił powstrzymać westchnienia ulgi. Na górze znalazł się twarzą w twarz z Akeba.

- Przez pewien czas - zaczął - myślałem, że mnie zostawisz.

- Przez pewien czas - odparł bezdźwięcznie Akeba - gdy znalazłem się na dole, z ciałem córki, myślałem o tym samym.

Conan pokiwał głową.

- Uciekajmy, póki można.

Opuścili się na ziemię i zabrali kobiety - Conan Yasbet, a Akeba Zorellę - i pobiegli do Sharaka i koni. Harmider w siedzibie Kultu stawał się coraz głośniejszy.

# VIII

Czerwony blask ognia pełgał po twarzy Jhandara, który patrzył na szalejący żywioł. Po kompleksie niosły się wołania nowicjuszy noszących wodę do walki z pożogą, ale i tak co najmniej jeden budynek był już nie do uratowania.

Odwrócił się od ognia.

- I co?

Che Fan i Suitai wymienili spojrzenia, po czym ten pierwszy odpowiedział:

- To byli Hyrkańscy, Najwyższy Panie.

Trzej mężczyźni stali w przedsionku apartamentów Jhandara. We wnętrzu panowała surowość podobna do tej, jaka cechowała jego szatę. Niskie, proste leżanki stały na podłodze, która, choć marmurowa, była równie goła jak ściany - brakowało tu kobierców, gobelinów czy kotar.

- Wiem, że to Hyrkańscy! - warknął Jhandar. - Słyszałem ich okrzyki, „Śmierć Baalshamowi!” Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś usłyszę to imię.

- Tak, Najwyższy Panie.

- Ilu ich było?

- Dwie dziesiątki, Najwyższy Panie. Może trzy.

- Trzy dziesiątki - wyszeptał Jhandar. - A ilu jeszcze żyje?

- Nie więcej niż garstka, Najwyższy Panie - odparł Che Fan. - Ponad dziesięciu szeszło marnie.

- A zatem prawie dwudziestu przeżyło, ażeby nadal mnie nękać - rzekł z zadumą Jhandar. - Trzeba ich znaleźć. Starczy dla was zajęcia, to pewne.

- Najwyższy Panie - powiedział Suitai - w kompleksie byli też inni. Nie Hyrkańscy. Jeden nosił hełm turańskiego żołnierza. Drugi był wysoki, miał jasną skórę.

- Barbarzyńca? - zapytał ostro Jhandar. - O niebieskich oczach?

- O niebieskich oczach? - powtórzył z niedowierzaniem Suitai. - Było ciemno, Najwyższy Panie, i w walce nie mogłem przybliżyć się na tyle, żeby zobaczyć. Ale obrabowali Wieżę Kontemplacji, zabrali naszyjnik z trzynastoma rubinami i zabili złodzieja, którego postawiłeś na straży. - Zawahał się. - I jedną z nowicjusek, Najwyższy Panie. Dziewczynę o imieniu Zorella.

Czarownik lekceważąco machnął ręką. Wprawdzie upatrzył sobie tę dziewczynę do łoża, ale ani jej życie, ani śmierć nie miały znaczenia. W przeciwieństwie do naszyjnika. Tamten złodziej przyszedł po tę samą sztukę biżuterii. Musiało istnieć jakieś powiązanie między dwoma rabusiami.

- Czekać tutaj - warknął.

Starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył do otoczonej kolumnadą sali, gdzie czekało dziesięciu Wybranych, wśród nich Zephran. Myśleli, że stoją na straży, choć jeden z khitajskich zabójców mógłby bez większego wysiłku zabić ich wszystkich. Skłonili się na widok Jhandara. Skinął na Zephrana, który przybliżył się, gnąc kark w kolejnym ukłonie.

- Idź do Wieży Kontemplacji - rozkazał Jhandar. - Znajdziesz tam ciało tego, któremu kazałem strzec skarbcza. Przynieś je do Komnaty Wezwania.

- Tak jest, Najwyższy Panie. - Ale Zephran nie poruszył się. Pragnął przypodobać się Jhandarowi. - To byli Hyrkańczycy, Najwyższy Panie. Ci, o których mówiłem, nie mam co do tego wątpliwości.

Jhandarowi drgnęła powieka, lecz poza tym jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Wiedziałaś, że Hyrkańczycy przybyli do Aghrapuru? - zapytał cicho.

- Tak, Najwyższy Panie. - Pot zrosił czoło Zephrana. Nagle stracił pewność, czy odezwanie się było dobrym pomysłem. - Ci... ci, o których mówiłem. Zapewne pamiętasz, Najwyższy Panie.

- Przynieś ciało - powtórzył Jhandar.

Zephran uklonił się nisko. Kiedy się wyprostował, czarnoksiężnika już nie było.

W przedsionku Jhandar pomasaował skronie, chwilowo nie zwracając uwagi na Khitajczyków. Ten głupiec wiedział o Hyrkańczykach, a jednak go nie uprzedził! Swoją drogą, nie kazał nikomu ich wypatrywać, nie przykazał żadnemu z Wybranych, aby meldowali o ich obecności. Pilnowanie się przed intruzami oznaczałoby, że spodziewa się ich przybycia, a gdyby się spodziewał, wtedy by przybyli. Tak zwykle bywało. Dowodem był on sam. Nie potrafił zniszczyć własnego przekonania, że oni się pojawią. I tak się stało.

Jhandar zgromadził starannie różne specyfiki i potrzebne instrumenty. Za parę godzin wzejdzie słońce, a w jego promieniach tracił swoje możliwości i niewiele różnił się od pospolitego śmiertelnika. Nie mógł przywołać Mocy, gdy świeciło słońce, choć, oczywiście, wydane rozkazy nie przestawały obowiązywać. Może powinien we - zwać teraz Wybranych, kazać im odszukać Hyrkańczyków. Nie. To, co zamierzał, miało wysączyć zeń mnóstwo siły. Nie był pewien, czy będzie fizycznie zdolny do odprawienia obu rytuałów, dlatego należało zacząć od ważniejszego. Wiedział co nieco o Hyrkańczykach, nic o wysokim barbarzyńcy. Nieznane zagrożenie zawsze było niebezpieczniejsze od znanego.

Ruchem dłoni kazał Khitajczykom podążyć za sobą. Za obracaną płytą w ścianie otwierało się tajemne przejście, mroczne i wąskie, które prowadziło do komory z kręgiem nagłej ziemi. Do Komnaty Wezwania.

Trup został już przyniesiony, jak gdyby Zephran pragnął pośpiechem wymazać swoją przewinę. Khitajczycy pod kierunkiem Jhandara ułożyli zwłoki z rozpostartymi rękami i nogami, na środku kręgu. Gdy Wybrany oddalił się na rozkaz, mag popadł w zadumę nad czekającym go zadaniem. Nigdy wcześniej tego nie czynił i żadne znane rytuały nie mogły służyć mu pomocą. W tym ciele nie było krwi od czasu jego pierwszej śmierci. Związek między duchem a ciałem był nikły, wymuszony jego magią, a druga śmierć, u stóp wieży, zerwała nawet tę wątłą nić. Mimo wszystko musiał spróbować.

Khitajczycy odsunęli się, gdy Jhandar wybrał trzy postumenty, ustawione w równej odległości od siebie wokół kręgu. Na pierwszym wyrysował ideogram śmierci, a nad nim znak życia. Na drugim symbol nieskończoności ponad nicością, a na ostatnim porządek pod chaosem.

Otworzył szeroko ramiona i zaczął śpiewać, a słowa o znaczeniu zatraconym w mgłach czasu odbijały się od murów. Prawie natychmiast wyczuł napływ Mocy, potężny, bliski wyrwania się spod kontroli. Wybrane przez niego symbole utworzyły dysonans i o ile nie ukształtowana w pełni Moc mogła znać furie, to właśnie furia popłynęła przez jego kości.

Błękitna, cętkowana srebrem mgła zaiskrzyła się w kręgu, burząc się, wirując z dala od oznaczonych postumentów. Zapragnął ze wszystkich sił zmienić ten stan rzeczy i poczuł opór wzbierający w szpiku, straszliwe, a zarazem rozkoszne cierpienie. Stanie się zgodnie z jego wolą. Musi. Czerwona mgiełka bólu zasnęła mu oczy, lecz nie zaprzestał śpiewu.

Powoli niebieska mgła przesunęła się w górę, omyła trzy niskie kolumny, potem pomknęła ku niemu. Nagle rozległ się trzask, jak gdyby iskry skaczącej z czubka palca w chłodny poranek, ale dziesięć tysięcy razy głośniejszy, i iglice srebrzystoniebieskiego światła, jasne jak słońce, połączyły kolumny. Chaos został zamknięty w trójkącie, kształcie doskonałym - trzy boki, trzy wierzchołki. Trzy, doskonała liczba nieładu. Skończony nieład siłą został wtłoczony w ramy idealnego ładu. Była to klątwa o wielkiej sile. I z tej klątwy, z tego uporządkowania Chaosu, biła taka Moc, iż Jhandar czuł, że lada moment uniesie się w powietrze. Pot spływał po jego ciele, szafranowe szaty lepiły mu się do pleców i piersi.

- Ty, zwany niegdyś Emiliem z Koryntii - zaintonował. - Wzywam cię do tej gliny, która była tobą. Na ujarzmione moce Chaosu i na moc trzech, wzywam cię. Wzywam cię. Wzywam cię!

Rozbłysnął trójkąt światła i w kręgu kolumn głowa zwłok Emilia przekręciła się na bok. Usta poruszyły się z trudem i wydały przeciągły jęk.

- Neeee!

Jhandar uśmiechnął się triumfalnie.

- Mów, rozkazuję ci! Mów prawdę! Przyszedłeś ukraść rubinowy naszyjnik?

- Tak. - Słowo zabrzmiało jak syk pełen bólu.

- Po co?

- Dla... Da-vi-nii.

- Dla kobiety? Kim ona jest?

- Ko-chan-ką...Mun-da-ry...Kha-na.

Mag zmarszczył czoło. Od pewnego czasu próbował skaptować kogoś ze służby generała Mundara Khana, na razie bez powodzenia. Ten człowiek stał niemal przy samym tronie. Czy zainteresowałby się jego planem, gdyby go wtajemniczył? Mało prawdopodobne.

- Znasz wysokiego barbarzyńcę? - zapytał. - Człowieka o bladej skórze i niebieskich oczach, który też próbował skraść ten naszyjnik?

- Co-nan - padła jękliwa odpowiedź. Głowa trupa znowu się poruszyła.

Jhandar poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie.

- Gdzie mogę znaleźć tego Conana?

- Nieee! - Głowa zmieniła położenie, jedna ręka poderwała się w górę.

- Mów, rozkazuję! - Trójkąt chaotycznego światła pojaśniał, ale żaden dźwięk nie dobiegł od ciała.

- Mów!

Światło pojaśniało.

- Mów!

Stało się jeszcze jaśniejsze.

- Mów! Rozkazuję ci mówić!

Blask był oślepiający.

- Jes-tem... czło-wie-kiem!

Gdy rozległo się wycie, światło wybuchło z trzaskiem błyskawicy i pożaru. Jhandar zachwiał się, wyrzucił ręce w górę, żeby przysłonić oczy. Potem światło zniknęło, a wraz z nim Moc i ciało. Tylko smuga oleistego czarnego dymu płynęła zwolna w kierunku sklepienia.

- Wolnyyy - samotny, cichy jęk rozproszył się wraz z dymem i nic już nie pozostało po Emiliu Koryntczyku.

Zmęczenie wdarło się w kości Jhandara po odejściu mocy. Zgarbił się i niemal upadł. Czuł się



wyczerpany - tej nocy nie mógł już wzywać duchów. To oznaczało, że minie cały dzień, nim zdoła wysłać swe bezcielesne służki na poszukiwanie Hyrkańczyków i barbarzyńcy. Conan. Dziwne imię. I była jeszcze ta kobieta, Davinia. Mogła się przydać do odnalezienia barbarzyńcy i, co więcej, jako kochanka generała Mundary Khana.

Skinął niemal bezwładną ręką na Khitajczyków, żeby odprowadzili go do prywatnych komnat.

## IX

Pałac Mundary Khana zbudowano z szarego marmuru i granitu. Surowość budowli łagodził ogród, w którym wznosiły się wieże z kości słoniowej i porfiru. Ich alabastrowe kopuły odbijały promienie słońca. Wartownicy stojący przy bramach z dobytymi szablami, pełnili funkcję raczej reprezentacyjną. Atak na rezydencję wielkiego generała był bowiem tak samo nieprawdopodobny, jak szturm na jeden z królewskich pałaców Yildiza. Jednak straż okazałaby się zapewne wystarczająco liczna, by spowodować kłopoty, zwłaszcza w sytuacji, gdyby jakiś przystojny młody człowiek oznajmił, że przyszedł zobaczyć się z generalską faworytą.

Z tego względu Conan nie miał najmniejszego zamiaru wchodzić strzeżoną bramą. Znalazł wysokie, rozłożyste drzewo w pobliżu ogrodowego muru i z dala od wzroku wartowników wspiał się po grubych konarach. Jeden, potężny jak jego noga, biegł prosto w stronę ogrodu, ale był schludnie przycięty na pewnej wysokości i odrobinę za krótki. Szczyt muru jeżył się ostrymi jak brzytwa kawałkami obsydianu. W ogrodzie wiły się kamienne chodniki i ścieżki wyłożone czerwoną cegłą, a na środku stał niewielki okrągły pawilon z cytrynowego marmuru, kryty kopułą i otoczony kolumnadą. W oknach i łukowatych portalach kołysały się zasłony cienkie niczym pajęczyna.

Wyciągając ręce w bok dla lepszej równowagi, Conan pobiegł wzdłuż konara, wybił się w powietrze i wylądował lekko w ogrodzie.

Ostrożnie, wypatrując strażników i służ, pospieszył do żółtej budowli. Miała ona dwa piętra, przy czym parter zdobiły arkady obwieszane muślinem. Wewnątrz szklily się białe płytki, zarzucone jedwabnymi poduszkami i kosztownymi azerdzkańskimi kobiercami. Na leżance na środku pokoju, twarzą w dół, spoczywała kobieta. Tylko długie złociste włosy okrywały jej zgrabną figurę. Ponad nią obracało się koło z białych strusich piór, zawieszane na rzemieniu, który zniknął w otworze w suficie.

Conan zaklął pod nosem. Na piętrze musiał siedzieć służący, który kręcił korbką wprawiającą w ruch pióropusz. Mimo to nie zawrócił. Jego twarda, pokryta odciskami dłoń odsunęła na bok delikatne zasłony.

Przez pewien czas stał, napawając oczy widokiem gładkiej jak satyna skóry.

- Nie trwóż się, Davinio - przemówił wreszcie.

Blondynka z okrzykiem zaskoczenia stoczyła się z kanapy, błyskając długimi nogami. Porwała z podłogi prostokąt bładoniebieskiego jedwabiu, który kurczowo przycisnęła do piersi. Niemal przejrzysty jedwab bez większego powodzenia próbował zakryć jej ciało po same kostki.

- Kim jesteś? - zapytała ze złością. Wydatne kości policzkowe nadawały jej twarzy drapieżny wyraz.

- Nazywam się Conan. Przyszedłem zamiast Emilia Koryntczyka.

Wściekłość przerodziła się w konsternację i kobieta z wahaniem zwilżyła pełne usta.

- Nie znam nikogo o takim imieniu. Jeśli przybywasz od Mundary Khana, powiedz mu, że jego podejrzenia są...

- W takim razie o tym też nic nie wiesz. - Conan wyjął z sakiewki rubinowy naszyjnik i zakłócił nim w palcach. Zaśmiał się, gdy jej twarz ponownie zmieniła wyraz. Błękitne oczy rozszerzyły się z wrażenia, a usta otwierały się i zamykały, nie wydając słowa.

- Jak... - wydukała. - Gdzie... - Jej głos opadł do szeptu. - Gdzie jest Emilio?

- Nie żyje - odparł szorstko.

Nie okazała zaskoczenia, ani przestachu.

- Zabiłeś go?

- Nie - powiedział, choć nie było to do końca zgodne z prawdą. Jednak prawdziwa śmierć Emilia miała miejsce przed ich spotkaniem w wieży. - Tak czy owak, on nie żyje, a ja przyniosłem naszyjnik, którego pragnęłaś.

- A czego ty pragniesz w zamian? - Jej głos stał się słodki jak rozgrzany miód, a ręka podtrzymująca pas błękitu opuściła się poniżej różowych sutków, sprawiając wrażenie, jakby gnieździły w jedwabiu. Nie sądził, by zrobiła to nieumyślnie.

Uśmiechając się w myślach, oznajmił:

- Emilio mówił o stu sztukach złota.

- Złoto... - Jej perlisty śmiech oznaczał, że uważa złoto za nieistotny drobiazg. Zaokrąglone biodra poruszyły się, gdy zbliżyła się do Conana. Raptem przywarła mocno do jego piersi. Jakimś sposobem jedwab zniknął. - Dla mężczyzny takiego jak ty istnieje wiele rzeczy bardziej interesujących od złota - wydyszała, wężowym ruchem otaczając ramieniem jego szyję. - Dużo bardziej interesujących.

- Kto obraca te pióra?

- Nie ma języka, by powtórzyć to, co słyszy - wymruczała. - I nikt nie wejdzie bez rozkazu, z wyjątkiem Rendy, mojej zaufanej masażystki.

- A Mundara Khan?

- Od dwóch nocy przebywa daleko od miasta. Potrafisz tylko wypytywać, barbarzyńco?

Próbowała przysunąć głowę Cymmerianina, żeby go pocałować, ale on podniósł kobietę i sam przycisnął wargi do jej ust. Kiedy głęboko w jej gardle narodził się niski jęk, puścił ją.

- Co... - zaczęła, gdy jej pięty zadudniły o podłogę.

Conan obrócił Davinię i twardą dłonią wymierzył klapsa. Z przeszywającym piskiem fiknęła koziołka, wymachując w powietrzu gołymi nogami.

- Najpierw złoto, Davinio - powiedział ze śmiechem.

Poderwała się na kolana i rzuciła w niego poduszką.

- Złoto? - syknęła. - Wezwę strażę i...

- I już nigdy nie ujrysz naszyjnika - dokończył. Niespokojnie ściągnęła brwi. - Albo ucieknę, zabierając go ze sobą, albo strażnicy zaprowadzą mnie wraz z naszyjnikiem przed oblicze Mundary Khana. Będzie zainteresowany, gdy dowie się, że jego kochanka przyjmuje klejnoty od kogoś mojego pokroju. Mówiłaś, że jest podejrzliwy, nieprawdaz?

- Bodaj Erlik wypalił ci ślepie! - W jej oczach płonął błękitny ogień. Ale Conan zachował spokój.

- Złoto, Davinio.

Przeszywała go wzrokiem jeszcze przez chwilę, po czym mrucząc coś pod nosem poczołgała się po poduszkach. Odwróciła się do niego plecami, podniosła płytkę w posadzce i sięgnęła w głąb skrytki. Widok jej wypiętych pośladków sprawiał, że nawet skarbiec króla Yildiza nie nakłoniłby go do oderwania wzroku.

Wreszcie ułożyła płytkę na swoje miejsce i odwróciła się, by rzucić w jego stronę opasłą sakiewkę. Trzos z brzękiem uderzył w podłogę.

- Masz! - warknęła. - Zostaw naszyjnik i odejdz.

I taki będzie koniec. No, może nie całkiem, pomyślał. Dostał złoto - suma nie miała znaczenia - i przepowiednia Sharaka została wypełniona. Ale ta kobieta próbowała go wykorzystać, tak jak próbowała posłużyć się Emiliem. Groziła mu. Teraz powodowała nim duma, jaką mógł znać tylko młody człowiek.

- Policz - zażądał. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz on już otwierał sakiewkę. - Przelicz. Sprawisz ból mnie i sobie jeśli będzie w niej mniej niż obiecałaś.

- Bodaj robaki zżarły ci przyrodzenie - wybuchła, ale podeszła do sakiewki i wysypała jej

zawartość. Złote monety zadźwięczały i zatańczyły na białych płytkach. - Jedna. Dwie. Trzy... - Każdą odliczoną monetę wciskała do woreczka z taką nienawiścią, jakby była ona sztyłem wbijanym w jego serce. Pełne jadu oczy Davinii przywierały do jego twarzy. - ... Sto - oznajmiła na koniec. Zawiązała rzemyki sakiewki i cisnęła nią w niego.

Z łatwością złapał napęczniony złotem mieszek w jedną rękę, a drugą rzucił jej naszyjnik. Przytuliła klejnot do piersi i cofnęła się, nadal na kolanach, czujnie mierząc Conana wzrokiem.

Nie dostrzegł ani śladu magii, gdy dotknęła naszyjnika, ale, na wszystkich bogów, miała ciało, na widok którego mężczyznom zasychało w ustach.

Zważył sakiewkę w ręku.

- I pomyśleć, że nikt by nie podejrzewał, iż pięć monet policzyłaś dwa razy.

- Możliwe... możliwe, że się pomyliłam - wydukała, nadal się cofając. - Jeśli tak, dołożę ci pięć monet. Conan upuścił trzos na posadzkę, rozpiął pas z mieczem i pozwolił mu opaść w ślad za złotem.

- Co robisz? - zapytała niepewnie.

- To wysoka cena dla dziewczki - zaczął - ale jeśli nie chcesz zapłacić tyle, ile było umówione, wezmę resztę w towarze, jakim kupczysz.

Zduszony pisk narósł jej w gardle i Davinia spróbowała uciec. Pochwycił ją bez trudu, zamknął w muskularnych ramionach. Chciała go odepchnąć, ale bez trudu przyciągnął ją do siebie. Pełne piersi przylgnęły do jego szerokiego torsu.

- Myślisz - wysapała - że położę się z tobą po tym, co tu zaszło? Po tym, jak mnie uderzyłeś, jak nazwałeś dziewczką, jak... - Złe słowa zlały się w pełen jadu bełkot.

- Mundara Khan jest stary - rzekł miękko Conan. Przeciągnął palcem wzdłuż jej kręgosłupa do niewielkiego wzgórka, poniżej którego zaczynały się pośladki. - I tłusty. - Podniósł palec, aby pobawić się kosmykiem złotych włosów, który wił się po jej policzku. - Często zostawia cię samą, jak teraz.

Westchnęła i rozluźniła się. Spojrzała w jego niebieskie oczy, a on cicho zapewnił:

- Powiedz słowo, a odejdę. Mam odejść?

W milczeniu pokręciła głową.

Conan z uśmiechem położył ją na kanapie.

Tego samego dnia, kilka godzin później, Conan z uśmiechem na twarzy wmaszerował pod Niebieskiego Byka. Davinii naprawdę dokuczala samotność. Zdawał sobie sprawę, że romansowanie z generalską metresą jest szaleństwem, ale znał również własną słabość do kobiet. Zaczynał mieć nadzieję, że obowiązki wojskowe będą wymagać częstych wyjazdów Munday Khana z Aghrapuru.

W karczmie kłębił się jak zwykle tłumek marynarzy, robotników i rzezimieszków. Sharak i Akeba dzielili stół w jednym kącie, rozmawiając z blisko przysuniętymi głowami, ale Conan zamiast do nich dołączyć, skręcił w stronę szynkwasu.

Feran przywitał go posępnym spojrzeniem i z wyjątkowym zapałem zaczął szorować deski.

- Nic jeszcze dla ciebie nie mam, Cymmerianinie. I życzą sobie, żebyś zabrał stąd tę dziewczkę.

- Nadal siedzi zamknięta w mojej izbie? - zapytał Conan. Po ulokowaniu w nadbrzeżnej tawernie Yasbet nie stała się ani odrobinę bardziej rozsądna.

- Jest tam - rzekł kwaśno oberżysta - ale złożyłbym ofiary we wszystkich świątyniach miasta, gdyby tylko zniknęła. Wrzeszczała jak opętana przez jeden obrót klepsydry. Dzięki niech będą wszystkim bogom, że wreszcie umilkła. To nie jest kobieta lekkich obyczajów ani zawodowa prostytutka, Cymmerianinie. Za przetrzymywanie takich wbrew ich woli ludzie kończą na palu.

- Zajrzę do niej - zapewnił uspokajającym tonem Conan. - A ty miej oczy i uszy otwarte.

Pobiegł na górę, zaniepokojony ciszą, która nagle wydała mu się podejrzana. Pętla ze sznura, służąca tutaj za klamkę, nadal była starannie przywiązana do solidnego kija. Mężczyzna mógłby zerwać sznur i podnieść haczyk od wewnątrz, ale Yasbet z pewnością by sobie z tym nie poradziła. Chyba że udało jej się przecisnąć przez okno. Wprawdzie otwór był zbyt wąski nawet dla niej, ale... Przeklinając pod nosem, Conan rozwiązał sznurek i wpadł do izby.

Gliniany kubek, ciśnięty ręką Yasbet, roztrzaskał się o drzwi obok jego głowy. Conan zrobił unik przed cynową misą, która poszybowała w ślad za kubkiem, i złapał dziewczynę w tali. Było to przyjemne doświadczenie, mimo że jej drobne piąstki bębniły po jego głowie i ramionach. Unieruchomił jej ręce i jedną dłonią przytrzymał je za plecami.

- Co w ciebie wstąpiło, dziewczyno? Czyżby wyznawcy Kultu pomieszali ci w głowie?

- Co takiego?! - Zadygotała z tłumionego gniewu. - Oni myśleli, że jestem coś warta. I traktowali mnie dobrze. Ty przywiozłeś mnie tutaj przerzuconą przez siodło jak worek i uwięziłeś bez słowa wyjaśnienia. A potem poszedłeś spotkać się z jakąś ladacnicą.

- Z ladacnicą? O czym ty mówisz?

- O Davinii - warknęła. - Czy nie tak się nazywa? Ten starzec, Sharak, przyszedł tu i próbował mnie uspokoić. Powiedział, że poszedłeś na spotkanie z tą... kobietą. I masz taką samą zadowoloną minę jak mój ojciec po wyjściu z haremu.

Conan pomyślał o paru dotkliwych nieszczęściach, które powinny spaść na głowę Sharaka. Głośno powiedział:

- Nawet gdybym odwiedził dwadzieścia kobiet, to co ci do tego? Dotychczas dwa razy ocaliłem ci życie, ale nic poza tym nas nie łączy.

- Nic takiego nie mówiłam - rzuciła hardo, jednak ramiona jej opadły. Ostrożnie puścił ramię dziewczyny, a ona, przygnębiona, usiadła na posłaniu składającym się z siennika przykrytego szorstkim kocem. Złożyła ręce na kolanach i mruknęła:

- Raz uratowałeś mi życie. Może. Ale teraz to było tylko porwanie.

- Nie widziałaś w ich siedzibie tego, co ja widziałem, Yasbet. Tam są czary i zło.

- Czary! - spojrzała na niego gniewnie, potem pokręciła głową. - Kłamiesz, żeby powstrzymać mnie od powrotu.

Wymruczał coś do siebie i zapytał:

- Jak do nich trafiłaś? Kiedy uciekłaś ode mnie, myślałem, że wracasz do domu. - Uśmiechnął się mimo woli. - Miałaś wspiać się przez ogrodowy mur.

- Zrobiłam to - mruknęła, nie patrząc mu w oczy. - Fatima przyłapała mnie na samej górze i zamknęła w moim pokoju. - Przesunęła się niespokojnie i nieprzyjemne wspomnienie wyraźnie odmalowało się na jej twarzy.

Conan poszedłby o zakład, że reprimenda i zamknięcie w pokoju nie było jedyną karą, jaką wymierzyła jej opiekunka. Ledwo panując nad śmiechem, powiedział:

- Ale to nie powód, żeby uciekać do tej siedziby zła.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Tam kobiety pracują na równych prawach z mężczyznami i tak jak oni mogą awansować. W Kulcie nie ma ani bogactwa, ani nędzy.

- Sam Kult jest jednak dość bogaty - zauważył sucho. - Widziałem część jego skarbów.

- Bo poszedłeś tam je ukraść!

- I widziałem człowieka zaczarowanego na śmierć.

- Łżesz! - krzyknęła, zakrywając uszy dłońmi. - Nie powstrzymasz mnie od powrotu.

- To już nie moja sprawa. Wrócisz do ojca, a jeśli będzie trzeba, zostawię cię pod jego drzwiami związaną jak barana.

- Nawet nie wiesz, kim on jest - powiedziała, a Conan odniósł wrażenie, że siłą powstrzymała się od pokazania mu języka.

- Dowiem się - odparł zdecydowanie.

Gdy się podniósł, oburącz złapała go za nadgarstek i popatrzyła na niego z błaganiem w wielkich oczach.

- Proszę, Conanie, nie odsyłaj mnie do ojca. On... on powiedział, że mam wyjść za mąż. Znam tego człowieka. Będę żoną, tak, otaczaną czcią i szacunkiem. I zamkniętą w jego haremie z pięćdziesięcioma innymi kobietami.

Współczująco pokręcił głową, ale powiedział tylko:

- Lepsze to niż ci pomyłeńcy, dziewczyno.

Spodziewał się, że po jego wyjściu przypuści szturm na drzwi, jednak spokojnie siedziała na pryczy. Z powrotem zawiązał sznur i wrócił na dół. Akeba i Sharak ledwo zwrócili na niego uwagę, gdy usiadł przy ich stole.

- ...Mówię ci więc - ciągnął Sharak, postukując w stół kościstym palcem dla podkreślenia wagi słów - że jakakolwiek próba bezpośredniej konfrontacji skończy się nieszczęściem.

- O czym rozprawiacie? - zapytał Conan.

- Jak zaatakować Kult Przeznaczenia - poinformował zwięźle Akeba. W jego oczach widniało ponure wspomnienie wczorajszej nocy. - Musi istnieć jakiś sposób pokonania tego Jhandara. - Głęboka niechęć wykrzywiła rysy mężczyzny. - Słyszałem, że zwą go Najwyższym Panem, jakby był królem.

- Jest jeszcze ten Khitajczyk - uzupełnił Sharak. - Ale to Jhandar, przywódca kultu, musiał mu wydać rozkazy. Ludzie jego pokroju nie zabijają dla przyjemności, jak władcy.

Conan poczuł się zdezorientowany.

- Khitajczyk? Ludzie jego pokroju? Wydaje się, że sporo dowiedziałeś się podczas mojej krótkiej nieobecności.

- Nie była wcale taka krótka - Sharak znacząco łypnął okiem. - I co, jaka ona jest? - Widząc minę Conana, chrząknął nerwowo. - Aha, tak. Khitajczyk. Wnosząc z opisu Akeby, człowiek, który... no, więc jestem pewien, że pochodzi z Khitai i jest członkiem niejakego Bractwa Drogi. Ci ludzie są niezrównanymi zabójcami. - Zmarszczył pobrużdżone czoło. - Ale nadal nie potrafię odgadnąć roli Hyrkańczyków.

- Nigdy nie słyszałem o takim Bractwie - powiedział Conan. - Prawdę mówiąc, nie do końca wierzę w istnienie Khitai.

- Mnie też wydaje się to niepojęte - wtrącił Akeba - ale ten starzec upiera się, że taki kraj istnieje. Nieważne, zabiję go, skądkolwiek przybył.

- Och, Khitajczycy istnieją naprawdę - powiedział Sharak. - Nim podwoją się wasze lata nauczycie się, że bywają na świecie rzeczy, których nie potrafilibyście wymyślić w najdziwniejszych wzlotach fantazji ani wyśnić w najbardziej mrocznych koszmarach. Musicie uważać na tego Khitajczyka. Ci z Bractwa Drogi mają doświadczenie w używaniu subtelnych trucizn i potrafią zabijać lekkim dotknięciem ręki.

- W to wierzę - wychrypiał Akeba - widziałem bowiem na własne oczy. - Podniósł kubek do ust i nie odstawił, póki nie wysuszył go do dna.

- Szczególnie ty musisz uważać, Conanie - mówił astrolog. - Dobrze wiem, jak gorącą miewasz głowę, i ta gorączka może cię zabić. Tęp zabójca...

Conan potrząsnął głową.

- To zemsta Akeby, nie moja.

- Bój się Erlika, Conanie! - Sharak aż się zająknął z przejęcia. - Khitajscy zabójcy, zemsta, Hyrkańczycy, i tylko bogowie wiedzą, co jeszcze! Jakże tu odwracać się plecami do takiej przygody?

- Skoro mówisz o zdobywaniu wiedzy - rzekł mu Conan - to musisz się nauczyć, że przygoda oznacza pustki w brzuchu, twarde posłanie i ludzi, którzy tylko czekają, by wrazić ci sztylet między żebra. Ja tam spokojnie obejdę się bez poszukiwania przygód.

- On ma rację - poparł go Akeba, kładąc rękę na ramieniu staruszka. - Rano oddałem swoją córkę Gildii Grabarzy. Mam powody, by szukać pomsty, ale on nie.

- Nadal uważam, że brak powodów to jeszcze nie przyczyna, aby trzymać się z boku - wymamrotał Sharak.

Conan i Akeba wymienili uśmiechy nad głową starego astrologa. Pod wieloma względami Sharak uchodził za sędziwego mędrca, lecz w pewien sposób był dużo młodszy od Cymmerianina.

- Na razie - powiedział Conan - tym, czym powinniśmy się zająć, jest picie. - Nic i nigdy nie miało wymazać wspomnień Akeby, ale można było stępić mu pamięć, dopóki czas nie zablizni zadanych ran. - Ferian! - ryknął potężnie. - Dzban wina! Nie, cały kubek!

Oberżysta obsłużył ich osobiście, niosąc po dwa dzbany ciemnoczerwonego solwańskiego wina w każdej ręce i kubek dla Conana pod pachą.

- Nie mam kubeków - oznajmił cierpko.

- Tyle wystarczy - powiedział Conan, napełniając kubki. - I każ zanieść dziewczynie coś do zjedzenia.

- Za jej strawę musisz zapłacić - zaznaczył oberżysta.

Conan pomyślał o złocie ciężącym mu u pasa i uśmiechnął się szeroko.



- Zapłacę.

Szynkarz odszedł, mrużąc coś do siebie, a Conan odwrócił się do astrologa. - Ty, Sharak - zagadnął ostro.

Sharak zachłysnął się winem.

- Ja? Czego? Nic nie mówiłem.

- Powiedziałaś za dużo. Dlaczego zdradziłaś Yasbet, że idę do Davinii? I co jej powiedziałaś?

- Nic takiego - oburzył się staruszek. - Próbowałem ją uspokoić, bo ryczała jak zarzynany wół. Sam mówiłaś, żeby jej nie kneblować. Pomyślałem, że gdy się dowie, iż jesteś z inną kobietą, nie będzie się bała, że ją zniewolisz. Niech to Erlik, Cymmerianinie, co w tym złego?

- Tylko tyle, że jest zazdrosna. Rozmawiałem z nią ledwie dwa razy i nawet jej nie dotknąłem, ale jest zazdrosna.

- Nawet jej nie tknąłeś? Związałaś ją niczym worek brudów do prania - powiedział Akeba.

- To pewnie przez jego urok - dodał Sharak z niewiarygodnie szczerą miną:

- Może was to bawi - mruknął niewesoło Conan - ale mało brakowało, a miałbym rozłupaną głowę. I to czym, własną miską. Ona...

Gromki śmiech zagłuszył jego słowa, gdy do stołu podbiegł Ferial.

- Uniknęła, Cymmerianinie! - wysapał. - Klnę się na Mitrę i Dagona, nie wierzę, żeby mogła precyzyjnie się przecisnąć przez to okienko, ale nie ma jej.

Conan skoczył na równe nogi.

- Musiała zrobić to niedawno. Akeba, Sharak, pomożecie mi szukać?

Akeba pokiwał głową, ale Sharak wykrzywił się paskudnie.

- Skoro jej nie chcesz, Cymmerianinie, czemu nie zostawisz jej dla kogoś innego?

Nie zwracając sobie głowy odpowiedzią, Conan wypadł z karczmy, a Akeba pognął za nim. Sharak, kuśtykając o lasce, nie dał się zostawić w tyle.

Na ulicy rozdzielili się i szukali przez prawie jeden obrót klepsydry. Conan nie znalazł niczego prócz rozczarowania. Zagadywał handlarzy tanich pachnideł, sprzedawców brązowych spinek do włosów, owoców i glinianych naczyń, uliczników i żebraków - nikt nie widział biegnącej dziewczyny, o, takiej wysokiej, piersiastej i pięknej, ubranej w szafranowe szaty. Odpowiadały mu puste spojrzenia i kręcenie głowami. Parę dziewczek zaproponowało, że u nich może znaleźć to, czego najwyraźniej szuka. Mężczyźni zapewniali, że sami chętnie zatrzymaliby taką dziewczynę, gdyby

wpadła im w ręce. Lodowaty uśmiech Conana gasił lubieżne uśmiechy i sprawiał, że pot występował na czoło żartownisiów.

Gdy wrócił do tawerny, zastał już tam Akebę i Sharaka. Na pytające spojrzenie Sharaka odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

- A zatem po sprawie - powiedział astrolog. - Po tych wszystkich pytaniach muszę schłodzić gardło. Założę się, że Ferian dał nasze solwańskie wino komu innemu.

Dzbanki czekały jednak nienaruszone, ale Conan nie przyłączył się do popijawy. Nie mógł uznać sprawy za zakończoną. Davinia była kobietą, która burzyła krew; Yasbet rozgrzewała jego zmysły nie bardziej, niż każda inna dziewczyna o ładnym buziaku. Ale uratował jej życie, dwa razy, choć ona temu zaprzeczała. W jego przekonaniu to czyniło go za nią odpowiedzialnym. Potrzebowała jego ochrony. Nie był ślepy na wdzięki, które mogły skusić byle łajdaka.

Uświadomił sobie, że do stołu zbliża się jakiś Hyrkańczyk, przygarbiony i krzywonogi, poprzedzany przez zjełczałą woń. Wydawało się to niemal niemożliwe, ale jego szorstkie wełniane spodnie i kurta z baraniej skóry były bardziej brudne niż to zwykle bywa u nomadów. Zatrzymał się dwa kroki przed nimi, krzywiąc długi nos i wbijając czarne oczy w Cymmerianina.

- Mamy twoją kobietę - powiedział gardłowo. Wyprostował się jakby rażony wybuchem gniewu, który zapłonął na twarzy Conana.

Conan dopiero w chwili, gdy stał z na wpół dobytym mieczem, zdał sobie sprawę, że już nie siedzi za stołem.

Akeba przytrzymał go za rękę. Nie tę od miecza; był zbyt doświadczonym wojownikiem.

- Wysłuchaj go, zanim zabijesz - poradził.

- Gadaj! - Głos Conana zabrzmiał niczym zgrzyt stali o kość.

- Tamur chce z tobą mówić - zaczął powoli Hyrkańczyk. Z każdym zdaniem słowa padały coraz szybciej. - Walczyłeś z paroma naszymi i Tamur doszedł do wniosku, że nie zechcesz z nami gadać, więc pojaliśmy twoją kobietę. Puścimy ją, gdy zgodzisz się na rozmowę. Będziesz rozmawiać?

- Będę - warknął Conan. - A jeśli stanie jej się krzywda, będę też zabijać. Zaprowadź mnie do niej.

- Wieczorem.

- Teraz!

- Jeden obrót klepsydry po zachodzie słońca ktoś po ciebie na pewno przyjdzie. - Hyrkańczyk popatrzył na Akebę i Sharaka. - Tylko po ciebie.

Miecz Conana do końca wysunął się z podniszczonej pochwy.

- Nie, Conanie - zmiatygowal go Sharak. - Zabij go, a już nigdy jej nie ujrzysz.

- Przyślą innego - odparł Conan, lecz po chwili namysłu rzucił miecz na stół. - Odejdź, zanim zmienię zdanie - poradził nomadzie. Podniósł dzban wina, odchylił głowę i zaczął pić łąpczywie. Hyrkańczyk popatrzył na niego niepewnie i wyszedł z tawerny.

## XI

Davinia wzdychała z rozkoszy, gdy siwowłosa Renda nacierała wonnymi olejkami gładkie mięśnie jej pleców. Blondynka potrzebowała magii tkwiącej w pulchnych dłoniach masażystki. Wielki barbarzyńca okazał się lepszy niż oczekiwała. I dał do zrozumienia, że powróci. Nie określił kiedy, ale ponowne odwiedziny były pewne. Potrafiła przejrzyć mężczyzn. Od jego odejścia upłynęło ledwie parę obrotów klepsydry, a już przebiegało ją drżenie na myśl o kolejnych godzinach spędzonych w jego silnych ramionach. Zastanawiała się, którym bogom powinna złożyć ofiary, żeby powstrzymali Mundarę Khana od powrotu do miasta.

Ręce Renty oderwały się od ramion Davinii, gdy rozległo się pukanie do drzwi obwieszonych gobelinami komnaty. Smukła blondynka z rozdrażnieniem czekała na powrót masażystki.

- Pani - powiedziała cicho Renda - jakiś człowiek pragnie cię widzieć.

Davinia usiadła, nawet nie próbując przysłonić nagości.

- Barbarzyńca? - Zwierzała się ze wszystkiego swojej służącej. No, prawie ze wszystkiego. Z pewnością Conan nie ośmieliłby się wchodzić przez bramę i kazać się anonsować, jednakże myśl o takim ryzyku podnieciła ją bardziej niż mogła się spodziewać.

- Nie, pani. To Jhandar, Najwyższy Pan Kultu Przeznaczenia.

Davinia zamrugnęła ze zdziwienia. Wiedziała co nieco o istnieniu Kultu, choć nigdy przesadnie nie zwracała sobie głowy sprawami religii. Po co miałby przychodzić do niej sam przywódca? Może okaże się zabawny.

- Szata, Rendo - rozkazała.

- Pani, jeśli wolno mi...

- Nie wolno. Szata.

Wyciągnęła ręce, gdy Renda ubierała ją w czerwony jedwabny strój. Nieprzejrzysty, zauważyła. Renda zawsze dbała o jej reputację - i tym samym, bezpieczeństwo - bardziej niż ona sama.

Davinia ruszyła do komnaty, w której czekał Jhandar. Niewolnicy otworzyli przed nią wysokie, bogato rzeźbione drzwi. Gdy zamknęły się za jej plecami, zamarła na chwilę w wystudiowanej pozie,

z jedną stopą odsuniętą do tyłu, z lekko ugiętym kolanem, z wyprostowanymi ramionami. Przybysz spoczywał niedbałe na kanapie między kolumnami. Davinia ruszyła dalej, na pozór nie poświęcając gościowi większej uwagi, a w rzeczywistości przypatrując mu się uważnie. On wyprostował się i przesunął na brzeg kanapy.

- Jesteś... inna, niż się spodziewałem - powiedział chrapliwie.

Pozwoliła sobie na przelotny uśmiech, nadal nie zaszczycając go spojrzeniem. Osiągnęła dokładnie taki efekt, jaki zamierzała.

Nie jest brzydki ten Jhandar, pomyślała. Jednakże wygolona głowa psuła wrażenie. A uszy nadawały jego obliczu nieprzyjemny zwierzęcy wyraz.

Po raz pierwszy odwróciła głowę prosto w jego stronę, powoli zwilżyła usta językiem i obrzuciła gościa wzrokiem. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, gdy zauważyła jego przyspieszony oddech. Jakże łatwo jest manipulować mężczyznami! Z wyjątkiem, może, owego barbarzyńcy. W pośpiechu odsunęła od siebie tę nieproszoną myśl.

- Pragniesz mnie widzieć... Jhandarze? - zapytała niskim, namiętym tonem.

- Tak - odrzekł wolno. Oddychał jeszcze szybciej, ale oczy zdradzały opanowanie. Do pewnego stopnia. - Nacieszyłaś się naszymi, Davinio?

- Naszymi?

- Rubinowym naszymi. Ukradzionym mi ledwie zeszłej nocy.

Jego ton był taki lekki, taki beztroski, że dopiero po chwili uchwyciła znaczenie słów. Aż nią wstrząsnęło. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie wytrzeszczyła oczu. Jak mogła być tak głupia, żeby nie domyślić się przyczyny przybycia Jhandara? To przez tego przeklętego barbarzyńcę. Nie potrafiła skupić się na niczym innym, jak na myślach o nim.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała i sama była zdumiona spokojnym brzmieniem własnego głosu. Wewnętrznie trzęsła się jak galareta.

- Ciekaw jestem, co powie Mundara Khan, kiedy się dowie, że masz kradziony nasz. Może zechce siłą dochodzić, kto dał taki klejnot jego kochance.

- Kupiłam... - ugryzła się w język. Dała się podejść. A wyobrażała to sobie zupełnie inaczej. To ona zawsze zbijała mężczyzn z tropu.

- Wiem, że Emilio był twoim kochankiem - powiedział cicho. - Czy Conan zajął jego miejsce?

- Czego chcesz? - wyszeptowała. Rozpaczliwie błagała o cud, który zabrałby go z tego pałacu.

- Informacji. Gdzie mogę znaleźć barbarzyńcę zwanego Conanem?

- Nie wiem - skłamała odruchowo. Już wyznała prawdę o jeden raz za dużo.

- Szkoda - powiedział takim tonem, że przeniknęło ją drżenie. - Wielka szkoda.

Davinia rozpaczliwie poszukiwała tematu, który odwróciłby jego uwagę, lecz w jej głowie nieskończonym echem tłukły się te same słowa: „wielka szkoda”.

- Możesz zatrzymać naszyjnik - oświadczył niespodzianie.

Wbiła w niego zdumione oczy. Zobaczyła, że Jhandar nie do końca nad sobą panuje. Stale oblizywał suche usta i wpatrywał się w nią tak zachłannie, jak człowiek na pustyni w źródlaną wodę.

- Dziękuję. Ja...

- Załóż go dla mnie.

- Oczywiście.

Nadal istniała więc szansa.

Opuściła komnatę w taki sam wielkopański sposób, w jaki do niej weszła, ale gdy znalazła się za progiem, jeszcze zanim niewolnicy zamknęli drzwi, puściła się biegiem, choć opieszałość była jedną z cech utrzymania świadomej własnej wartości.

Renda, poprawiała właśnie poduszki na łożu. Podskoczyła, gdy jej pani wpadła do komnaty.

- Mów, co wiesz o Jhandarze - wysapała Davinia, padając na kolana i przerzucając zawartość szkatuły z klejnotami. - Szybko. Piorunem!

- Niewiele mi wiadomo, pani - zaczęła z wahaniem masażystka. - Kult uprawia...

- Nie obchodzi mnie kult, Rendo! - Rozrzucając klejnoty na prawo i lewo, poderwała się z ukradzionym naszyjnikiem w garści. Mimowolnie odetchnęła z ulgą. - Mitrze niech będą dzięki. Powtórz mi, co jest wiadome sługom i niewolnikom, a czego ich panowie nie będą wiedzieć nawet za pół roku. Mów!

- Pani, on... - Urwała, speszona spojrzeniem Davinii. - Jhandar jest potężnym człowiekiem w Turanie, pani. Takie plotki chodzą wśród służących. Mówią też, że z dnia na dzień jego władza staje się coraz większa. Niektórzy twierdzą, iż rozbudowa armii to jego zasługa, bo przekonał pewnych ludzi, a oni z kolei króla, że to konieczne. Oczywiście, doskonale wiadomo, że król Yildiz od dawna marzy o cesarstwie. Nie trzeba było długo go przekonywać.

- Świadczy to jednak o potędze tego człowieka - mruknęła Davinia. Mundara Khan nigdy nie wpływał na decyzje króla, mimo więzów krwi łączących go z tronem. - Jak to osiągnął?

- Wszyscy ludzie mają swoje tajemnice, pani. Jhandar postawił sobie za cel ich poznanie. Aby sekrety nie wyszły na jaw, większość ludzi zgadza się na jego żądania. - Zamilkła na chwilę. - Wielu

wierzy, że Jhandar jest czarnoksiężnikiem. I że Kult posiada nieprzebrane bogactwa.

- To znaczył

- Tak wielkie, że mogą rywalizować ze skarbcem króla Yildiza.

Davinia, kobieta nad wyraz praktyczna, popadła w głęboką zadumę. Sytuacja, która wydawała się groźna, mogła obrócić się jeszcze na jej korzyść.

- Przynieś mi płaszcz - poleciła. - Szybko.

Kiedy wróciła do Jhandara, na jego twarzy odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Płaszcz z delikatnej szkarłatnej wełny spowijał ją od szyi po stopy.

- Nie rozumiem - zaczął z narastającym gniewem. - Gdzie jest naszyjnik?.

- Założyłam go dla ciebie. - Rozchyliła płaszcz, odsłaniając rubiny pieścące jej piersi. Smukłe ciało Davinii było nagie, ozdobił je tylko naszyjnik.

Po chwili szczelnie zacisnęła poły płaszcza, ale potem wzniosła się na palcach stóp i zawirowała, aż biodra błysnęły bielą pod wybrzuszonym szkarłatem. Tańczyła wokół komnaty, podsycając jego pragnienie, ale ani razu nie odsłoniła się tak jak na początku.

Zakończyła taniec przed nim, na kolanach, z płaszczem zsuniętym z białych ramion. Rubiny załśniły w mokrym od potu zagłębieniu między piersiami. Starannie maskując triumf, spojrzała mu w oczy. Jego twarz płonęła z pożądania. Nadeszła chwila na zadanie dodatkowego ciosu.

- Ten Conan - zaczęła - powiedział mi, że mieszka w tawernie Pod Niebieskim Bykiem przy ulicy Lotosowych Marzycieli, blisko portu.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, najwyraźniej nie pojmując. Potem zerwał się z otomany.

- Mam go - wymruczał z podnieceniem. - Jeśli znajdą się ci Hyrkańczycy... - Jego twarz przypominała maskę, gdy obrócił się w jej stronę. - Mężczyźni nie mają żadnego pożytku z nałożnic, które kłamią.

Uśmiechnęła się kusząco.

- Kochanka winna jest swojemu panu prawdę i absolutne posłuszeństwo. - A przynajmniej pomyślała, musi sprawiać, żeby w to wierzył. - Ty jednak nie jesteś moim panem. Jeszcze nie.

- Zabiorę cię z sobą - wymamrotał niewyraźnie, ale ona potrząsnęła głową.

- Strażnicy mnie nie wypuszczą. Jest stara furtka na tyłach pałacu, nie używana i nie strzeżona. Będę tam z wierną służką jedną klepsydrę po zapadnięciu nocy.

- Dziś wieczór. Wyślę po ciebie ludzi.

Nagle poderwał ją na nogi i rozgniółł jej usta w brutalnym pocałunku.

Nie całuje tak dobrze jak Conan, pomyślała po jego wyjściu. Szkoda, że barbarzyńcę czekała śmierć. Nie miała wątpliwości, że właśnie do tego zmierzał Jhandar. Ale Jhandar był krokiem w przyszłość; Conan należał do przeszłości. I, jak postępowała ze wszystkim, co przebrzmiało, wyrzuciła go z pamięci jak gdyby nigdy nie istniał.

## XII

Pod Niebieskim Bykiem robiło się coraz tłoczniej, gdy zbliżała się umówiona godzina. W wielkiej izbie rozbrzmiewał śmiech dziewczek i pijanych żeglarzy. Conan ani się nie śmiał, ani nie pił, tylko wraz z przyjaciółmi obserwował drzwi.

- Kiedy on przyjdzie? - utyskiwał Sharak. - Już musiała minąć godzina. Odpowiedziało mu milczenie. Conan i Akeba nie spuszczała oka z drzwi. Dłoń Cymmerianina zaciskała się na rękojeści, z chwili na chwilę coraz mocniej, aż w końcu coś strzeliło mu w palcach.

Stary astrolog wzdrygnął się, słysząc ten dźwięk.

- Też mi przygoda, siedzieć i czekać Mitra wie jak długo, gdy...

- Jest - oznajmił cicho Akeba, ale Conan już podrywał się z ławy. Długonosy Hyrkańczyk stał w drzwiach i ruchem ręki wzywał Conana. Oglądał się za siebie, rzucając w noc niespokojne spojrzenia.

- Niech szczęście ci sprzyja, Cymmerianinie - rzucił cicho Akeba.

- I tobie - odparł Conan.

Gdy szedł przez karczmę, usłyszał gderliwy głos astrologa:

- I po co to gadanie o szczęściu? Umiecie tylko gadać...

Nie słyszał odpowiedzi Akeby, o ile takowa padła. Niejeden człowiek, który wybierał się na nocne spotkanie, już nigdy z niego nie wracał.

- Prowadź - przykazał i nomada ruszył, obrzuciwszy ulicę jeszcze jednym podejrzliwym spojrzeniem.

Ostatnie promienie słońca już dawno zgasły i nad miastem zalegała głęboka noc. Błady księżyc wisiał jak srebrna moneta nisko nad horyzontem. Muzyka i śmiechy dobiegały z dziesiątków tawern, gdy brodzili w żółtawych kałużach światła wylewającego się z drzwi. Od czasu do czasu słyszeli odgłosy bijatyki o kobietę czy też grę w kości.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytał Conan. Hyrkańczyk nie odpowiedział. Wybierał uliczki jakby na chybił trafił i zawsze czujnie oglądał się za siebie.

- Moi przyjaciele nie będą nas śledzić - powiedział Conan. - Przecież zgodziłem się pójść sam.

- Nie twoich przyjaciół się obawiam - mruknął Hyrkańczyk, potem zacisnął szczęki i spojrzał ostro na muskularnego młodzieńca. I więcej się nie odezwał.

Conan zastanawiał się przez chwilę, kogo lub też czego obawia się ten człowiek, ale miał inne sprawy na głowie. Dzielił uwagę między wypatrywanie zasadzki a zapamiętanie krętej trasy, jaką go prowadzono. Kiedy mężczyzna w futrzanej czapie wprowadził go w mroczną bramę i w górę po drewnianych schodach, Conan ze zdumieniem stwierdził, że mimo okrężnej drogi znajduje się nie dalej, jak dwie ulice na północ od Niebieskiego Byka. Dobrze jest orientować się w terenie na wypadek, gdyby mimo wszystko doszło do walki.

- Ty pierwszy - powiedział. Nomada posłuchał go z obojętnym wyrazem twarzy. Poluzowane stopnie zaskrzypiały ostrzegawczo pod jego stopami. Conan sprawdził, czy miecz nie zacina się w pochwie, i ruszył za nim.

Drzwi u szczytu schodów prowadziły do izby oświetlonej przez dwie wysokie, kopcące lampy ustawione na rozchybotanym stole. W powietrzu wisiał zapach zjełczałego tłuszczu. Prócz przewodnika było tutaj dziesięciu Hyrkańczyków w owczych skórkach. Wszyscy przypatrywali mu się czujnie, choć żaden nie położył ręki na broni. Jednego Conan poznał - mężczyznę z blizną na policzku, na którego głowie Emilio rozbił dzban z winem.

- Nazywam się Tamur - przedstawił się ten z blizną. - Ty jesteś Conan? - Imię to wypowiedział z gardłowym akcentem.

- Jestem Conan - przyznał krótko Cymmerianin. - Gdzie kobieta?

Tamur dał znak i dwaj nomadowie otworzyli wielką skrzynię stojącą pod ścianą. Podnieśli Yasbet, związaną jak gęś i zakneblowaną kawałkiem szmaty. Szafranowe szaty miała ubłocone i podarte, a zaschnięte ślady łez rysowały się kurzu na jej policzkach.

- Ostrzegalem - warknął Conan. - Jeśli stała jej się krzywda, to...

- Nie, nie - przerwał mu Tamur. - Jej suknia była już brudna i podarta, gdy ją pojaliśmy za gospodą, w której sypiasz. Gdybyśmy zgwałcili twoją kobietę, to czy pokazalibyśmy ci ją w takim stanie i spodziewali się, że zechcesz z nami gadać?

To brzmiało rozsądnie. Conan przypomniał sobie, że dziewczyna musiała przeciskać się przez bardzo wąskie okienko.

- Rozwiążcie jej nogi.

Jeden z nomadów wyjął krótki, zakrzywiony nóż i przeciął sznur krępujący kostki Yasbet. Dziewczyna próbowała stanąć o własnych siłach i z jękiem stłumionym przez knebel usiadła na



wieku skrzyni, w której była więziona. Hyrkańczyk spojrzawszy pytająco na Conana i wskazał nożem związane ręce i knebel, ale muskularny młodzieniec przecząco pokręcił głową. Mając w pamięci wcześniejsze doświadczenia, wołał nie ryzykować. Niepodobna było przewidzieć, co dziewczyna powie lub zrobi po uwolnieniu. Yasbet rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie, ale, co dziwne, zachowała spokój.

- Zostałeś rozpoznany w siedzibie Baalshama - oznajmił Tamur.

- Baalshama? - zapytał Conan. - A kto to taki?

- Znasz go pod imieniem Jhandar. Któż może wiedzieć, jak brzmi jego prawdziwe imię? - westchnął Tamur. - Łatwiej będzie, gdy zacznę od początku.

Szybko wydał rozkazy. Na stole pojawił się dzban taniego wina i dwa toporne gliniane kubki. Tamur zajął miejsce z jednej strony, Conan z drugiej. Cymmerianin zauważył, że pozostali nomadowie pilnowali się, by nie stanąć za jego plecami i ostentacyjnie trzymali ręce z daleka od mieczy. To było zagadkowe. Hyrkańczycy cieszyli się opinią dumnych i drażliwych wojowników, którzy nie unikają kłopotów nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach.

Przyjął kubek wina od Tamura, lecz gdy nomada zaczął snuć opowieść, zapomniał o jego zawartości.

- Pięć lat temu pojawił się wśród nas człowiek, którego zwiemy Baalshamem. On i dwaj dziwni ludzie o żółtej skórze. Wykonał parę drobnych sztuczek magicznych, żeby uznali go plemienni szamani, i zaczął głosić nam kazania, tak jak tutaj, o chaosie i nieuchronnym przeznaczeniu. Jego nauki znajdowały posłuch wśród młodych, nazywał bowiem złymi zachodnie narody i pawił, że przeznaczeniem Hyrkańczyków jest ponowne najechanie ziem leżących na zachód od Morza Vilayet. I tym razem wymiecenie ich do czysta.

- Ambitny człowiek - mruknął Conan. - Ale, jak się wydaje, były to próżne ambicje.

- Mało brakowało, aby się spełniły. Nie tylko zgromadził wokół siebie młodych wojowników, których liczba szła w tysiące, ale zaczął też wywierać dziwny wpływ na Rady Starszych. Potem zaczęto w nocy widywać stworzenia - podobne demonom lub powykręcanyim ludziom - i dowiedzieliśmy się od nich, że są duchami naszych pomordowanych krewnych i przyjaciół, zaczarowanymi przez Baalshama i zmuszonymi do posłuszeństwa. Szpiegowali dla niego i za sprawą ich przespiewów mag mógł rządzić starszyzną.

Yasbet wybełkotała coś niezrozumiale i zawzięcie potrząsnęła głową, ale mężczyźni nie poświęcili jej większej uwagi.

- Widziałem jego czary - przyznał Conan - czarne i śmierdzące. Jak zdołaliście go wypędzić? Domyślałem się, że nie odszedł po dobroci.

- Pewnej nocy dziesięć plemion podniosło się przeciwko niemu. Te same duchy, które nas ostrzegły, walczyły z nami spętane jego wolą, podobnie jak młodzi wojownicy, którzy stali się jego

wyznawcami. - Podniósł rękę do blizny na policzku. - Tę zadał mi rodzony brat. Młodzi wojownicy - nasi bracia, synowie, kuzynowie - zginęli co do jednego, i nawet dziewczęta walczyły do ostatniego tchnienia. Byliśmy liczniejsi i wreszcie szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę. Baalsham uciekł, a wówczas duchy zniknęły nam z oczu. Aby uniknąć rzezi wśród plemion, rady zdecydowały, że nikt nie może dochodzić prawa krwi za śmierć tego, kto był wyznawcą Baalshama. Ich imiona miały zostać zapomniane, jakby odstępcy nigdy nie istnieli. Ale część z nas nie mogła zapomnieć, że zostaliśmy zmuszeni do rozlewu własnej krwi. Kiedy kupcy przynieśli pogłoski o człowieku zwanym Jhandarem i o Kulcie Przeznaczenia, poznaliśmy Baalshama i jego robotę. Trzy dziesiątki ludzi przepравиły się przez morze, aby szukać zemsty. Zeszłej nocy nie udało nam się, a teraz zostało nas tylko dziewiętnastu.

Conan zmarszczył brwi.

- Interesująca historia, ale po co mi ją opowiedziałeś?

Niechęć wykrzywiła twarz nomady.

- Bo potrzebujemy twojej pomocy - oznajmił po długiej chwili.

- Mojej pomocy?! - zawołał Conan.

Tamur mówił dalej:

- Kiedy został zdobyty pałac wznoszony przez Baalshama; rozpętały się moce przekraczające ludzkie wyobrażenia. Ziemia stopiła się i płynęła niczym woda. To miejsce teraz nazywa się Przeklętym. Przez trzy dni i trzy noce szamani trudzili się nad okiełznaniem tego zła. Kiedy zbudowali magiczne bariery, wyznaczone zostały granice Ziem Przeklętych i położono tabu. W ruinach pałacu muszą być jakieś magiczne przybory, które można by obrócić przeciwko Baalshamowi. Nie mógł wszystkich zabrać, kiedy uciekał. Ale żaden Hyrkańczyk nie może po nie pójść. Nikt z naszej krwi nie może przekroczyć tych granic i przeżyć. Nikt z Hyrkańczyków. - Popatrzył znacząco na potężnego Cymmerianina.

- Skończyłem z Jhandarem.

- A jeśli on skończy z tobą, Conanie? Wrogość Baalshama nie maleje z czasem.

Conan parsknął.

- A co mnie obchodzi jego wrogość? Nie wie ani kim jestem, ani gdzie mnie szukać. Niech ta wrogość gryzie go jak osy, mnie nic do tego.

- Nie znasz go - powiedział z naciskiem Tamur. - On...

Z głośnym trzaskiem podłoga przy bucie Conana rozstała się i poskręcana, szarozielona ręka sięgnęła do jego kostki. - Duchy wróciły! - wrzasnął jeden z nomadów, wytrzeszczając oczy z przerażenia.

Yasbet zaczęła krztusić się ze strachu. Inni wyciągnęli broń, krzycząc coś niezrozumiale.

Conan zerwał się, próbując uwolnić nogę, ale błoniaste pazury trzymały go z nadprzyrodzoną siłą. Gdy druga zniekształcona dłoń przedarła się przez deski, miecz Conana opuścił pochwę i opadł zamaszystym łukiem. Jedna ręka potoczyła się po rozdartych deskach; druga nadal go trzymała. I tak dobrze, pomyślał, że stał je przecina.

Czubkiem miecza podważył palce i uwolnił kostkę. Gdy odrąbał drugą dłoń, w gradzie drzazg podłogę przebiła głowa stworzenia ze spiczastymi uszami i nawiedzonymi oczami ponad bezwargą szczeliną ust. Ramiona wyciągnęły się do dłoni leżących na podłodze. Ciało koloru pleśni jakby popłynęło i w jednej chwili dłonie znów połączyły się z ramionami. Stworzenie jęło wdzierać się do izby, rozrywając solidne deski z taką łatwością, jakby przeżarło je próchno.

Nagle następna para rąk przebiła się przez ścianę, chwytając wrzeszczącego Hyrkańczyka i rozdzierając jego ciało. Conan odrąbał głowę pierwszemu stworowi, który mimo to dalej wdzierał się do izby. Trzeci potwór przebił podłogę i wyciągnął rękę ku Yasbet. Dziewczyna wrzasnęła i zemdląła.

Conan porwał ją w ramiona i szybkim ruchem miecza uwolnił od stwora, który już trzymał ją za nogę. W tej izbie nie czekało ich nic prócz śmierci.

- Uciekać! - krzyknął. - Ratuj się, kto może!

Zarzucił Yasbet na ramię jak worek zboża i wyskoczył przez okno.

Hyrkańczycy próbowali pójść w jego ślady i przy oknie zapanowało zamieszanie. Wrzaski przerodziły się w piekielny harmider, który ścigał wielkiego Cymmerianina biegnącego co tchu ze swoim brzemieniem. Hałas ucichł równie nagle, jak się rozpoczął. Conan rzucił okiem przez ramię, lecz w ciemności niczego nie mógł dojrzeć.

Yasbet jęknęła cichutko i poruszyła się na jego ramieniu. Pamiętając siłę ręki, która go pochwyciła, położył dziewczynę na ziemi i przyklęknął, żeby obmacać jej nogę. Wyczuł błoniastą skórę i ścięgna, kurczące się pod jego dotknięciem. Zaklął siarczyście, oderwał śliskie strzępy i cisnął je w ciemność.

Yasbet jęknęła i otworzyła oczy.

- Śniłam... Śniłam koszmar - wyszeptała.

- To nie był sen - mruknął. Obejrzał się, wypatrując pościgu. - Ale już po wszystkim - dodał z nadzieją.

- Te demony... chcesz powiedzieć, że były prawdziwe? - W jej piersiach wezbrał szloch. - Skąd się wzięły? Dlaczego? Och, Mitro, miej nas w swojej opiece - zawodziła.

Położył rękę na jej ustach i warknął:

- Ucisz się, dziewczyno. Gdybym miał się zakładać, postawiłbym na imię Jhandara, A jeśli dalej będziesz skrzeczeć jak przekupka, jego sługi rychło nas odnajdą. Drugi raz ucieczka może nie pójść tak łatwo.

Powoli odsunął rękę. Yasbet podniosła się i popatrzyła na niego.

- Nie wierzę ci. Ani tym cuchnącym Hyrkańczykom. - Ale już nie podnosiła głosu.

- Jest zło w tym człowieka - rzekł cicho. - Widziałem próbkę jego czarów i nie wątpię, że stać go na wiele więcej.

- Niemożliwe. Kult...

- Cicho!

Tupot wielu stóp poniósł się ulicą. Conan wciągnął Yasbet głębiej w cień i czekał z ostrzem w pogotowiu. Od strony nawiedzonego domu nadciągały niewyraźne postacie. Conana poczuł w nozdrzach zapach starego tłuszczu.

- Tamur? - zawołał cicho.

Usłyszał zaskoczone pomruki i naga stał błysnęła w ciemności. Potem jedna z postaci przybliżyła się ostrożnie.

- Conan?

- Tak. Ilu uszło z życiem?

- Trzynastu - westchnął Tamur. - Reszta została rozdarta na strzępy. Musisz pójść z nami, natychmiast. To były twory Baalshama. I tak kiedyś cię znajdzie, a wtedy...

Conan poczuł drżenie Yasbet.

- Nie może mnie znaleźć. Nawet nie wie, kogo szukać.

- Ogień. Na północy - odezwał się inny Hyrkańczyk. - Wielki ogień.

Conan zerknął we wskazanym kierunku i śmiertelny chłód przeniknął go do szpiku. Pożar rzeczywiście był wielki i, o ile nie stracił orientacji, szalał wokół karczmy Pod Niebieskim Bykiem. Pobiegł, ciągnąc za sobą Yasbet. Słyszał za sobą tupot, ale nie obchodziło go, czy nomadowie podążą za nim, czy też go zostawią.

Na ulicy Lotosowych Marzycieli kłębił się tłum. Purpurowe błyski pełgały po zatrwożonych i zaniepokojonych twarzach. Cztery budynki stały w płomieniach, które smagały ciemność jak bicze. W najgorszym stanie znajdowała się karczma. Ktoś kazał gapiom chwycić kubły i utworzyć łańcuch do najbliższego zbiornika, ale wyglądało na to, że płomienie strawią dużą część dzielnicy. Pożar można było opanować tylko w jeden sposób: zburzyć stojące wokół budynki i pozwolić mu się wypalić.

Gdy Conan przepychał się przez tłum, dobiegły go słowa:

- Uderzyłem laską i to coś zniknęło w kłębach czarnego dymu. Mówiłem ci, że laska ma magiczną moc.

Uśmiechając się po raz pierwszy od wielu dni, Conan precyzyjnie skierował się w kierunku głosu. Znalazł Akebę i Sharaka, z usmolonymi twarzami, siedzących pod sklepem garncarza.

- Wróciłeś - powiedział Sharak na widok wielkiego Cymmerianina. - I to z dziewczyną. A pomyśleć, iż byliśmy przekonani, że tej nocy to ty znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Zabiłem jednego z tych demonów.

- Demonów? - zapytał ostro Conan.

Akeba pokiwał głową.

- Na takie wyglądali. Przedarli się przez ściany, a nawet przez podłogi, i rozrywali na sztuki każdego, kto im się nawinął. - Zawahał się. - Chyba szukali kogoś, kogo tam nie było.

- Mnie - przyznał posępnie Conan.

Yasbet sapnęła.

- Niemożliwe.

Mężczyźni nawet na nią nie spojrzeli.

- Mówiłem, że cię znajdzie - powiedział Tamur, przystając u boku Conana. - Nie masz innego wyboru, jak jechać do Hyrkanii.

- Do Hyrkanii! - zawołał Sharak.

Conan niechętnie pokiwał głową. Został przekonany. Musi zniszczyć Jhandara, inaczej czeka go śmierć.

## XIII

Wstawał szary dzień. Conan szedł kamiennym nabrzeżem, na którym majtkowie już uwijali się wśród stosów towarów. Zmierzał w stronę opisanego mu statku. „Tancerka fal” wydawała się nie na miejscu wśród ciężkich, pękatych kadłubów i wielkich dromondów. Długa na nie więcej niż dwadzieścia kroków, miała tylko jeden żagiel na skośnej rei i miejsca na piętnaście wiosł z każdej burty. Stewa na rufie zakrzywiała się wdzięcznie pod takim samym kątem, co wąska dziobnica, nadając jej pozór wyjątkowej zwrotności. Widywał podobne statki wcześniej, w Sultanapurze - były przeznaczone do lądowania tam, gdzie nie mogli dotrzeć królewscy celnicy. Uchodziły za statki

rybackie, co do jednego, i nad pokładem „Tancerki”, jak nad każdym szanującym się przemytnikiem, wisiał smród zepsutych ryb i zastarzała woń pokładowego kambuza.

Conan wszedł po trapie mając się na baczności, bowiem załogi takich stateczków zwykle cechowała głęboko zakorzeniona niechęć do obcych. Dwaj spaleni słońcem majtkowie wbili w niego ciemne, nieruchome oczy, gdy stanął na pokładzie.

- Gdzie wasz kapitan?

Ledwo skończył pytanie, ukradkowy ruch za plecami zmusił go do obrotu.

Poderwał rękę, by unieruchomić zbrojne w sztylet ramię, i spój - rzał w długonose oblicze pod brudną, pasiastą chustką. Rozpoznał Iranistańczyka, którego towarzyszy zmuszony był zabić pierwszego dnia w Aghrapurze. I jeśli ten był członkiem załogi, to tamci również mogli pochodzić z tego statku. Iranistańczyk otworzył usta, ale Conan na wszelki wypadek nie czekał, by usłyszeć, co ma do powiedzenia. - Wolną ręką złapał go za pas i wyrzucił za burtę. Mężczyzna wrzasnął i z głośnym pluskiem wpadł do zaśmieconej wody. Szybko odpłynął od statku, wściekle tłukąc wodę rękami i nie oglądając się za siebie.

Spod pokładu wyłonił się człowiek o byczym karku, ze skąpym wianuszkiem czarnych włosów otaczającym opaloną łysinę. Miał rozłożystą brodę, która jak smoła spływała na jego szeroki tors.

- Na Kamienie Hannumana! - ryknął, wlepiając w Conana paciorkowate oczy. - To ty jesteś przyczyną wszystkich tych wrzasków?

- Czy rozmawiam z kapitanem? - zapytał Conan.

- Tak. Nazywam się Muktar. Teraz gadaj, w imię Tronu Erlika, o co tu chodzi?

- Przyszedłem, żeby wynająć ten statek - rzekł spokojnie Conan - a człowiek z twojej załogi próbował wbić mi nóż w plecy. Wrzuciłem go do zatoki.

- Wrzuciłeś go do... - ryk ucichł nieco i kapitan podjął cichszym, acz bardziej podejrzliwym tonem: - Chcesz wynająć „Tancerkę fal”? A niby po co?

- Na wyprawę handlową do Hyrkanii.

- Jesteś kupcem? - Muktar ryknął śmiechem, klepiąc się radośnie po grubych udach.

Conan zagryzł zęby, czekając, aż kapitan się uspokoi. Wieczorem razem z Akebą i Tamurem wymyślili tę historyjkę, Hyrkańczycy, nigdy nie ufający obcym, stali się jeszcze mniej tolerancyjni od czasów Jhandara, ale nadal przyjmowali kupców. Conan pomyślał z goryczą o złocie otrzymanym od Davinii. Kiedy koszty poniesione na zakup towarów koniecznych jako przykrywka, dodane zostaną do ceny wynajęcia statku, w sakiewce nie zostanie więcej, jak na jedną noc porządnej hulanki.

Wreszcie atak Wesołości dobiegł końca. Brzuch Muktara zatrzęsł się po raz ostami, a chciwość rozbłysła w jego oczach.

- Cóż, ostatnio połowy były bardzo dobre. Niesądzę, żeby opłacało się przerywać tę passę za mniej niż, powiedzmy, pięćdziesiąt sztuk złota.

- Dwadzieścia - skontrolował Conan.

- Nie ma mowy. Już przez ciebie straciłem majtkę. Nie utonął, mam nadzieję? Jeśli utonął, władze wyciągną go z wody i każą mi płacić za pochówek. Czterdzieści sztuk złota, a i to uważam za rozbój.

Conan westchnął. Niewiele było czasu do stracenia. Jeśli Tamur miał rację, muszą opuścić Aghrapur przed zapadnięciem zmroku.

- Podzielę się z tobą różnicą - zaproponował. - Trzydzieści sztuk złota, i to moje ostatnie słowo. Jeśli ci się nie podoba, znajdę sobie inny statek.

- Nie ma w porcie takiego, który mógłby wysadzić cię na hyrkańskiej plaży - rzucił drwiąco kapitan.

- Znajdzie się, jak nie jutro albo pojutrze, to trochę później. - Conan beztrąsko wzruszył ramionami.

- Zgoda - mruknął kwaśno Muktar. - Trzydzieści sztuk złota.

- Zatem załatwione - powiedział Conan, podchodząc do burty. - Wyplniemy, gdy tylko towar znajdzie się na pokładzie. Taki płytki statek nie musi zważać na przyływ.

- Myślałem, że nie ma pośpiechu - zauważył brodac.

- Bo nie ma - przyznał gładko Conan. - Ale po co tracić czas? - Zastanawiał się, czy wszystko zdążyli załatwić. Naprawdę nie było czasu.

\* \* \*

- Mów - rozkazał Jhandar, krążąc po nagiej marmurowej posadzce przedsionka.

- Tak, Najwyższy Panie - powiedział młodzieniec, kłaniając się nisko. - W jednej z portowych tawern znaleziono człowieka, Iranistańczyka. Twierdzi on, że walczył z niejakim Conanem. Iranistańczyk zamustrował się na statku przemytników o nazwie „Tancerka fal”. Statek ten wypłynął ledwie parę godzin temu, zabierając wielu Hyrkańczyków, wielkiego niebieskookiego barbarzyńcę i dziewczynę pasującą z opisu do nowicjuszeki, która zniknęła w noc ataku nomadów. - Urwał, spodziewając się pochwały za szybkie zdobycie informacji.

- Miejsce przeznaczenia, głupcze - warknął Jhandar. - Dokąd popłynął ten statek?

- Mówią, że do Hyrkunii, Najwyższy Panie.

Jhandar mocno zacisnął powieki i pomasażował skronie palcami.

- Nie sądzisz, że to dość ważna wiadomość, by przekazać mi ją bez pytania?

- Ale, Najwyższy Panie... - zająknął się uczeń - skoro uciekli... to...

- Mów mi o wszystkim, czego się dowiesz - przykazał ostro czarownik. - Nie ty decydujesz, co jest ważne, a co nie ma znaczenia. Jest jeszcze coś, co pominąłeś?

- Nie, Najwyższy Panie. Nic.

- Zatem odejdź!

Łysy młodzieniec wycofał się tyłem sprzed oblicza maga, który już zdążył zapomnieć o jego istnieniu. Jhandar podszedł do okna. Z tego miejsca widział Davinię odpoczywającą w cieniu drzewa i niewolnika chłodzącego ją wachlarzem ze strusich piór. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety podobnej do niej. Była niepokojąca. I fascynująca.

- Słyszałem tylko pokątne plotki, Najwyższy Panie - odezwał się Che Fan za jego plecami. - Podnoszą się głosy, że ona jest traktowana inaczej niż reszta.

Jhandar zapanował nad mimowolnym drgnieniem i zerknął przez ramię na dwóch Khitajczyków. Towarzyszyli mu od lat, jednak nie potrafił przywyknąć do ich bezszelestnego poruszania się.

- Skoro nie można powstrzymać mielących ozorów - warknął - zadbam, żeby nie było czym mleć.

Che Fan skłonił się nisko.

- Wybacz mi, Najwyższy Panie, jeśli odezwałem się nie pytany.

- Są ważniejsze sprawy - rzekł Jhandar. - Ten barbarzyńca pożegłował do Hyrkanii. Nie musiałby tego robić, gdyby po prostu chciał uciec. Musi zatem czegoś szukać, jakiejś broni, aby posłużyć się nią przeciw mnie.

- Przecież tam nic nie ma, Najwyższy Panie - zauważył Suitai. - Wszystko zostało zniszczone.

- Jesteś tego pewien? - zapytał drwiąco Jhandar. - Na tyle pewien, aby wystawiać na ryzyko moje plany? Ja nie. Wynajmę najszybszą galerę w Aghrapurze i obaj wyruszycie z następnym przypływem. Zabijcie tego Conana i przynieście mi to, czego szuka.

- Jak każesz, Najwyższy Panie - wymruczeli Khitajczycy.

Wszystko będzie dobrze, zapewnił się w myślach ten, którego niegdyś zwano Baalshamem. Zaszedłem zbyt daleko i osiągnąłem zbyt wiele, aby ponieść klęskę. Zbyt daleko i zbyt wiele.



## XIV

Szare fale przewalały się wokół zadartego dziobu „Tancerki”, a wiatr przynosił nad pokładem delikatną mgiełkę słonej wody. Trójkątny żagiel napinał się na tle nieba, gdzie bladożółte słońce wisiało w połowie drogi między zenitem a zachodnim horyzontem: Sternik na rufie, niższy, lecz szerszy w ramionach od Conana, napierał całym ciężarem ciała na wiosło. Reszta załogi wylegiwała się beczynn timerów beli towaru.

Conan bez trudu zachowywał równowagę, lekko przytrzymując się ręką dziobnicy. Nie był żeglarzem, ale czas spędzony wśród przemytników z Sultanapuru uodpornił jego żołądek na stałe kołysanie statku.

Akeba nie miał takiego szczęścia. Oderwał się od relingu - a zwisał na nim często od wyruszenia z Aghrapuru - i wybełkotał:

- Koń tak się nie porusza. Czy to chybotanie nigdy nie ustaje?

- Nigdy - Conan nawet nie próbował podnieść go na duchu, ale gdy usłyszał jęk rozpacz, serce mu zmiękło. - Czasami mniej kołysze, a poza tym i tak przywykniesz. Popatrz na Hyrkańczyków. Odbyli tylko jedną podróż, a jednak nie widać po nich choroby.

Tamur i pozostali nomadowie kucali w pewnej odległości przed masztem, a ich ciche pomruki stapiały się z poskrzypywaniem poszycia i takielunku. Przekazywali z rak do rąk gliniane dzbany z winem i gomółki dojrzalego białego sera, przerywając pogawędkę tylko po to, by napchać sobie usta.

- Nie chcę na nich patrzeć. - powiedział Akeba, zmagając się z każdym słowem. - Przysięgam przed Mitrą, że nie wiem, który smród jest gorszy: przegniłych ryb czy tego sera z kobyłego mleka.

Na śródokręciu kilku marynarzy przysłuchiwało się Sharakowi:

- ...I wtedy uderzyłem swoją laską mocy - mówił, wymachując zawzięcie kosturem - kładąc trupem trzy z tych demonów Pod Niebieskim Bykiem. Lamentowały i błagały o łaskę, ale nie miałem miłosierdzia dla takich wrednych poczwier. Przemieniłbym w nieszkodliwy dym, który rozwiałyby się w podmuchu, o wiele więcej tych kreatur, ale uciekały przede mną do swych piekielnych czeluści. Ciskały ogniste kule, aby powstrzymać mój pościg, gdy...

- Naprawdę udało mu się poskromić jednego z tych stworów? - zapytał Conan Akebę. - Od lat przechwala się swoją laską, ale nigdy nie widziałem, by używał jej do czegoś więcej, jak do podpierania zmęczonego grzbietu.

- Nie wiem - odparł Akeba. Podejmował widoczne wysiłki, aby nie ulec żądaniom żołądka, ale jego ciemna twarz przybrała zielonkawy odcień. - Na początku widziałem, jak wymachuje swoim kosturem i podryguje niczym farthyjska tancerka na rozżarzonych węglach, a potem spotkałem go dopiero na ulicy. Wiem za to, skąd Wziął się ogień. Ferian rzucił lampą w jednego demona, nie

wyrządzając mu zresztą najmniejszej szkody. Płonący olej obryzgał całą ścianę.

- I w ten sposób spalił własną tawernę - podsumował ze śmiechem Conan. - Odbudowa przysporzy mu kłopotów, choć myślę, że starczyłoby mu złota na dziesięć następnych.

Muktar, w drodze na rufę z wygodki - deski zamocowanej na ramie na dziobie - zatrzymał się przy Conanie. Jego paciorkowate oczka omiotły niebo, następnie spoczęły na twarzy Cymmerianina.

- Mgła - powiedział i przez chwilę przetrawiał tę myśl - o zachodzie słońca. Vilayet jest zdradliwym morzem. - Zaciskając usta tak stanowczo, jakby powiedział więcej niż zamierzał, ruszył na rufę rozkołysanym krokiem, który na lądzie wyglądałby niezdarnie, lecz tutaj doskonale niwelował ruch pokładu.

Conan ponuro wpatrywał się w jego plecy.

- Im dalej jesteśmy od Aghrapuru, tym mniej mówi i tym mniej mu ufam.

- Marzy mu się ta połowa złota, którą zatrzymałeś. Ale nie ma powodów do zmartwienia, z Hyrkańczykami jest nas więcej niż członków załogi.

Wzmianka o nocy była niezbyt fortunna. Po zapłaceniu kapitanowi w sakiewce Conana zostało osiem sztuk złota. Kiedy indziej uważałby się za majątnego szczęśliwca, ale nie teraz, gdy tak niedawno miał ich sto. Zaczął spekulować, że może uda mu się zarobić na sprzedaży towarów, a jednak myśli o zyskach i handlu przyprawiły go o taki niesmak w ustach, jakby spróbował dojrzałego hyrkańskiego sera.

- Może - mruknął kwaśno. - Gdyby tylko mógł, przy pierwszej okazji nakarmiłby nami ryby i wrócił do przemytu. On... O co chodzi, człowieku?

Z wytrzeszczonymi oczami, Akeba szybko i z niejakim trudem przełknął ślinę.

- Nakarmiłby nami... - Z jękiem zgiął się we dwoje i zawisł na relingu, wstrząsany atakiem wymiotów. W jego żołądku nie zostało już nic, co mógłby oddać morzu.

Z rufy przybiegła Yasbet, klucząc między zwojami lin i wiklinowymi koszami zjedzeniem. Rzuciła na boki gniewne spojrzenia.

- Nie podoba mi się ten kapitan Muktar - oznajmiła Conanowi. - Łypie na mnie tak, jakby widział mnie nagą na targu niewolników.

Wcześniej Conan uznał, że jej szafranowa szata niezbyt nadaje się do morskiej podróży i dziewczyna pozbyła się tego symbolu kultu bez śladu niechęci. Teraz nosiła szarą wełnianą tunikę, spodnie z tego samego materiału, krótki skórzany kaftan, sznurowany od pasa do połowy piersi, i wysokie do kolan czerwone buty. Był to męski strój, ale szorstka wełna układała się w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości, że okrywa kobietę.

- Nie musisz się obawiać - powiedział stanowczo Conan. Może powinien porozmawiać z

Muktarem na osobności. Z pomocą pięści. Kapitan nie był jedynym. Czujne oczy Conana wychwyciły pożądlive spojrzenia tuzina innych marynarzy.

- Nie boję się niczego, dopóki jesteś ze mną - powiedziała i niewinnie przytuliła pełne piersi do jego ramienia. Przynajmniej on uznał ten ruch za niewinny. - Co się dzieje z Akebą Conanie? - Nawet najbardziej wzburzone morze nie wywierało widocznego wpływu na samopoczucie Yasbet.

- Jest chory.

- Tak mi go szkoda. Może przynieść mu trochę zupy?

- Niech Erlik weźmie tę babę - wyjęczał cichutko Akeba.

- Lepiej nie przynoś - roześmiał się Conan. Wziął Yasbet pod rękę, odprowadził ją od relingu i usadził na ustawionej na sztorc baryłce. Jego twarz spoważniała.

- Czemu masz taką ponurą miną, Conanie? - zapytała.

- Jeśli zaczną się jakieś kłopoty - zaczął cicho - tutaj albo na brzegu, trzymaj się blisko mnie lub Akeby. Chory czy nie, potrafi cię obronić. Gdyby doszło do najgorszego, Sharak pomoże ci uciec. Nie jest wojownikiem, ale nikt nie dożyłby jego wieku nie wiedząc, jak wykaraskać się z tarapatów.

Drobna zmarszczka przecięła gładkie czoło dziewczyny. Kiedy Conan skończył, zawołała:

- Dlaczego mówisz tak, jakby miało cię nie być?

- Nikt nie wie, co nastąpi, dziewczyno, chciałbym mieć pewność, że będziesz bezpieczna.

- Tak myślałam - powiedziała głosem przepojonym ciepłem i zadowoleniem. Conan nie bardzo rozumiał, dlaczego. - Chciałam, żeby tak było.

- W ostateczności zaufaj Tamurowi, ale tylko wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia. - Uznał, że ten nomada, najlepszy z całej zgrai, ostatni zdradziłby pokładane w nim zaufanie, ale lepiej byłoby nie wystawiać go na taką próbę. Jak mówiło starożytne przysłowie, ten, kto uznał Hyrkańczyka za przyjaciela, kopał sobie grób. - Ale reszcie nie ufaj, nawet gdybyś musiała zdać się wyłącznie na siebie.

- Przecież będziesz tu, żeby mnie chronić - uśmiechnęła się promiennie, pewna swego.

Conan warknął, nie wiedząc, co począć, żeby wreszcie go wysłuchała. Zabierając Yasbet z sobą dla jej własnego dobra naraził ją na niebezpieczeństwo równie wielkie, co groźba ze strony Jhandara, choć odmiennego rodzaju. Jak jej to uświadomić? Gdyby tylko była zdolna do własnej obrony...

Sięgnął do bel z towarami i wygrzebał nemedyjski mieczyk o krótkim, tępym ostrzu. Hyrkańscy nomadowie lubili, gdy miecze trafiały do nich prosto z kuźni i sami ostrzyli zakupioną broń.

Wyrzucił krótki miecz w powietrze, złapał go za głównię i wysunął rękojeść w stronę Yasbet. Ona spojrzała ze zdziwieniem na broń.

- Weź to - przynaglił.

Z wahaniem ujęła owiniętą skórą rękojeść. On puścił stal, a Yasbet aż sapnęła, niemal upuszczając miecz.

- Ciężki - powiedziała z niepewnym uśmiechem.

- Z pewnością nosiłaś ciosze naszyjniki, dziewczyno. Przywykniesz do jego wagi, zanim dotrzemy do Hyrkanii.

- Przywyknę...?

Jej okrzyk pełen zmieszania wywołał rechot i pohukiwania ze strony trzech najbliższych siedzących żeglarzy. Hyrkańczycy poderwali głowy, nie przerywając jedzenia; Tamur szeroko wyszczerzył zęby.

Conan starał się nie zwracać na nich uwagi, zdecydowanie odsuwając na bok myśl o strzeleniu jednego czy drugiego w zęby, aby dać im nauczkę.

- Duży miecz jest za ciężki - powiedział, patrząc gniewnie na dziewczynę. - Szabla i jatagan są lżejsze, ale nie ma czasu, żeby nauczyć cię nimi władać przed dobieciem do brzegu.

W milczeniu spojrzała na niego wielkimi, wilgotnymi oczami, oburącz przyciskając mieczyk do piersi.

Ochryply śmiech przetoczył się po pokładzie. Muktar zbliżył się rechocząc wesoło.

- Kobieta! Zamierzasz nauczyć babę władania mieczem? Conan zmełł w ustach soczyste przekleństwo i zadowolił się gniewnym warknięciem:

- Każdy może osiąść tę sztukę.

- Później będziesz uczyć dzieci? Ten facet - zapał z radości - chce nauczyć jagnię podboju świata!

Załoga ryknęła śmiechem i sypnęła niewybrednymi uwagami.

Conan zgrzytnął zębami i jego gniew osiągnął temperaturę ostrza w kowalskim palenisku. Ta tłusta, lubieżna mała śmie mienić się człowiekiem?

- Stawiam sztukę złota, że za nim usypie się dziesiąta część piasku w klepsydrze, nauczę ją, jak pokonać każdego z twoich bezmyślnych kozłów!

Muktar skubnął brodę, a uśmiech, który wykrzywił jego usta, wyrażał chciwość i nienawiść.

- Sztuka złota? - powtórzył drwiąco. - Ja postawiłbym pięć na pokładowego kuchcę.

- Pięć - uciął Conan. - Zgoda!

- Pogadaj z nią, barbarzyńco. - Głos kapitana stał się podejrzanie łagodny. - Pogadaj z dziewczką, a zobaczymy, czy dorasta do twoich przechwałek.

Conan już pragnął cofnąć wypowiedziane słowa, ale bogowie, jak zwykle w takich przypadkach, nie wysłuchali jego prośby. Odciął Yasbet na bok i zacisnął jej dłoń na rękojeści miecza.

- Trzymaj w ten sposób. - Jej ręka nie stawiała oporu i trzymała rękojeść z taką siłą, jak kromkę chleba. Yasbet nie odrywała oczu od jego twarzy. - Bodaj Mitra wygarbował ci skórą, dziewczyno - warknął. - Złap rękojeść jak rękę.

- Naprawdę wierzysz, że potrafię. - Jej głos i twarz zdradzały zdumienie. - Wierzysz, że potrafią nauczyć się władania mieczem. I że pokonam mężczyznę.

- W przeciwnym razie nie postawiłbym na ciebie - wymruczał i westchnął ciężko. - Znałem kobiety, które władały mieczem równie dobrze, jak pierwszy lepszy mężczyzna, i lepiej niż większość innych. To nie jest broń wymagająca brutalnej siły, jak topór. Tutaj wystarczy wytrzymałość, zwinność i szybkość. A tylko głupiec odmawia kobiecie zwinności i szybkości.

- Ale... pokonać mężczyznę? - wydyszała. - Nigdy w życiu nawet nie trzymałam miecza. - Popatrzyła z wyrzutem na ostrze. - Ten niczego nie przetnie, a miecze mają ciąć. Nawet ja to wiem.

Conan odmówił cichą modlitwę.

- Właśnie dlatego go wybrałem, dla nauki, i tak przysłuży ci się lepiej niż każdy inny. Czubek może puścić krew, ale nie odbierze życia temu majtkowi, nie będę więc musiał zabijać Muklara.

- Rozumiem - powiedziała, z zadowoleniem potrząsając głową. Nagle twarz jej stężała. Ruszyła z miejsca, ale Conan przytrzymał ją za ramię.

- Nie tak szybko, dziewczyno - zaśmiał się cicho. - Najpierw posłuchaj. Ci przemytnicy są mistrzami w walce na noże, zwłaszcza w ciemności, ale w blasku dnia marni z nich wojownicy. - Odczekał chwilę, żeby jego słowa dobrze zapadły jej w pamięć. - Gdyby to była prawdziwa walka, z pewnością zabiłby cię w czasie potrzebnym na złapanie trzech oddechów.

Na jej twarzy odbiła się konsternacja.

- W takim razie jak...

- Pamiętaj, że możesz uciec. Sprowokuj go, żeby zaczął cię lekceważyć, i wykorzystaj uzyskaną przewagę.

- Nie ma mowy - sprzeciwiła się zapalczywie. - Mam tyle samo dumy co mężczyźni, łącznie z tobą.

- Ale na razie brakuje ci wprawy. Musisz wygrać podstępem i przez zaskoczenie. Umiejętności zdobędziesz z czasem. Uderzaj wtedy, gdy będzie wytrącony z równowagi. W innych przypadkach uciekaj. Rzucaj wszystkim, co wpadnie ci pod rękę, i celuj w głowę albo w nogi, ale nigdy w miecz. Niech myśli, że przerażenie odbiera ci rozum. Wrzeszcz, jeśli masz ochotę, jednak nie dopuść, żeby porwał cię własny krzyk.

- Nie mam zamiaru wrzeszczeć - oświadczyła ponuro.

Zdusił uśmiech.

- To pomogłoby ci go zwyciężyć, bowiem widziałby w tobie tylko kobietę, nie godnego przeciwnika.

- Ale miecz. Co mam zrobić z mieczem?

- Pobić go nim - powiedział i roześmiał się, widząc, że Yasbet kompletnie nie pojmuje. - Myśl o mieczu jak o kiju, dziewczyno.

Zrozumienie rozpromieniło jej rysy; podniosła mieczyk oburącz jak maczugę.

- I nie zapomnij dźgać - dodał. - Tacy jak on zwykle myślą o rąbaniu, zapominając, że miecz ma czubek. Pamiętaj o tym, a wygrasz.

- Jak długo jeszcze będziesz z nią gadać? - krzyknął Muktar. - Czas minął. Jak przeciągniesz gadanie dość długo, może Bayan zestarzeje się i nawet twoja dziewczka zdoła go pokonać.

Obok brodatego kapitana stał żyłasty człowiek średniego wzrostu, rozebrany do pasa, z pociemniałym od słońca tułowiem. Ukazując żółte zęby w złośliwym uśmiechu, kreślił błyszczące kręgi stalową szablą.

Conanowi serce zamarło w piersiach. Miał nadzieję, że Muktar wybierze swojego grubego kucharza albo jednego z roślejszych majtków, żeby zastraszyć Yasbet samą wielkością przeciwnika. Wtedy lekkość zapewniłaby dziewczynie przewagę. Nawet gdyby miało to oznaczać odszczekanie własnych słów, nie pozwoli jej skrzywdzić. Czując gorycz na języku, otworzył usta, żeby położyć kres temu przedstawieniu.

Yasbet ruszyła na spotkanie żeglarza zanim zdążył się odezwać. Ściskając miecz w drobnych dłoniach, popatrzyła wyzywająco na przeciwnika.

- Nazywasz się Bayan? - rzuciła drwiąco. - Sądząc z wyglądu, powinieneś zwać się Baya, bo na sto kroków czuje się w tobie kobietę.

Conan zastygł z rozdziawionymi ustami i patrzył na nią bez słowa. Czyżby odjęło jej rozum?

Ciemne oczy Bayana omal nie wyskoczyły z orbit.

- Będziesz błagać, żebym na tobie udowodnił swoją męskość - warknął.

- Muktar! - wrzasnął Conan. Yasbet spojrzała na niego z błaganiem w oczach i wbrew sobie powiedział nie to, co zamierzał. - To tylko zabawa, Muktar. Nic więcej. Jeśli Bayan zrobi jej krzywdę, umrzesz jedno uderzenie serca po nim.

Brodacz niechętnie pokiwał głową. Pochylił się do Bayana i zaczął szeptać mu do ucha, ale żyłasty marynarz nie chciał słuchać. Podnosząc wysoko zakrzywioną szablę, z paskudnym grymasem i okropnym przeciągłym okrzykiem skoczył w kierunku Yasbet.

Conan położył rękę na mieczu.

Bayan wyhamował tuż przed dziewczyną. Nie zadał ciosu, i natychmiast stało się jasne, że zamierzał ją przestraszyć i zmusić do poddania się bez walki. Grymas na jego twarzy przemienił się w lubieżny uśmiech.

Yasbet zbladła, wrzasnęła i wbiła miecz w brzuch żeglarza. Tępe ostrze nie mogło wniknąć głęboko, lecz czubek był dość ostry, by puścić strumyczek krwi, a siła ciosu niemal wysadziła Bayanowi oczy z orbit.

Zakrztusił się i zachwiał, lecz ona jeszcze nie skończyła. Niezdarnie, ale szybko wzniosła miecz jak pałkę i opuściła tępe ostrze na jego prawe ramię. Tym razem wrzask Bayana nie był zamierzony. Miecz wypadł z jego odrętwiałej ręki. Zanim uderzył o deski pokładu, Yasbet trzasnęła majtką w bok głowy, rozcinając mu skórę do kości. Bayan z jękiem osunął się na kolana.

Conan przyglądał się ze zdziwieniem, jak żyłasty majtek rozpaczliwie próbuje odczołgać się jak najdalej. Yasbet szła za nim, bez przerwy tłukąc go po ramionach i grzbiecie tępą stalą. Bayan znalazł się przy relingu i nie miał już dokąd uciekać. Skulił się i drapał pokład paznokciami, jakby chciał wygrzebać sobie kryjówkę.

- Poddaj się! - zażądała Yasbet, stojąc nad nim niczym wcielenie furii. Nagłoco dźgnęła go w zadek. Marynarz zawył, a na jego brudnych, niegdyś białych spodniach pojawiła się plama czerwieni.

Z ręką na sztylcie, z głuchym warkotem w gardle, Muktar ruszył w jej stronę. Drogę zagroził mu długi, błyszczący miecz Conana.

- Wygrała, prawda? - zapytał łagodnie Cymmerianin. - A ty jesteś mi winien pięć sztuk złota. A może mam skrócić ci brodę przy samych ramionach?

Bayan znowu wrzasnął: czerwona plama wykwitła na drugim pośladku.

- Wygrała - mruknął Muktar. Wzdrygnął się, gdy Conan popieścił mieczem jego brodę, po czym zawołał na całe gardło: - Dziewczyna wygrała!

- Dopilnuj, żeby na tym był koniec - rzucił ostrzegawczo Conan. Odpowiedziało mu niechętnie skinienie. Kiedy wyciągnął dłoń, otrzymał pięć złotych monet, odliczonych z jeszcze większą niechęcią.

- Wygrałam! - wykrzyknęła Yasbet. Wymachując krótkim mieczem, hasała radośnie po pokładzie.

- Wygrałam!

Conan schował miecz, porwał ją w ramiona i obrócił w powietrzu.

- Nie mówiłem, że wygrasz?

- Mówiłeś! - roześmiała się. - Och, mówiłeś! Daję słowo, od tej chwili uwierzę we wszystko, co mi powiesz. We wszystko.

Chciał postawić ją na pokładzie, lecz jej ręce oplótły się wokół jego szyi i stało się jakoś tak, że musiał ją pocałować. Przyjemny ciężar, pomyślał. Miękkie krągłe piersi przytulały się do jego torsu.

Nagle odsunął ją od siebie i zdecydowanym ruchem postawił na pokładzie.

- Ćwiczenia, dziewczyno. Mnóstwo ćwiczeń, zanim wyostrzę ci miecz. I nie walczyłaś tak, jak ci kazałem. Zasłużyłaś na baty. Mogłaś zostać ranna.

Mina jej zrzędła.

- Ależ, Conanie...

- Stań w ten sposób - powiedział, dając przykład - dla równowagi. No już, dziewczyno!

Posłuchała go potulnie, a on zaczął demonstrować jej sztychy i cięcia. Z obroną dziewczyn, rozmyślał ponuro, wiąże się pewien problem. Prędzej czy później człowiek odkrywa, że sam musi się przed nimi bronić.

## XV

Conan przykucnął i poddając się kołysaniu statku, który napierał dziobem na długie fale, obserwował Yasbet. Dziewczyna zawzięcie wymachiwała tępyim mieczem, walcząc z owiniętą w skóry belą kaftanów i płaszczy. Choć dmuchała łagodna, odświeżająca bryza, pot spływał ciurkiem po jej twarzy. Dzisiejsze ćwiczenia trwały już dziesięć razy dłużej niż pierwszego dnia. Nadal nosiła męski przyodziewek, ale zrzuciła wełnianą tunikę, ze skargą, że drapie ją szorstka tkanina. Jej pełne piersi wyglądały ponad wycięciem kaftana i groziły przy każdym ćwiczeniu zerwaniem rzemiennych troczków.

Opuściła zmęczonym ruchem rękę z mieczem i popatrzyła na niego z błaganiem w oczach.

- Proszę, Conanie, pozwól mi wrócić do namiotu. - Namiot, nic więcej, jak płachta oblepionego brudem płótna, był jego pomysłem. Osłaniał ją nie tylko przed słonymi kroplami niesionymi przez szkwały, ale i przed pożądlivym wzrokiem załogi. - Proszę, obetrę sobie skórę.

- Mamy tu mnóstwo maści - odburknął.



- Śmierdzi. I klei się. Poza tym, nie mogę wetrzeć jej sobie w plecy. Może gdybyś...
- Wystarczy tego odpoczynku - oznajmił, ruchem ręki nakazując jej powrót do beli.
- Poganiacz niewolników - mruknęła, ale podjęła okładanie skóry.

Mieli za sobą ponad połowę drogi. Wybrzeże Hyrkanii rysowało się ciemną linią na wschodnim horyzoncie, musieli jednak popłynąć jeszcze kawałek na północ. Codziennie od czasu pojedynku z Bayanem Conan wciskał miecz w ręce Yasbet i zmuszał ją do ćwiczeń od szarego świtu po purpurowy zmierzch. Zrywał ją z posłania, wylewał kubły wody na głowę, kiedy zaczynała narzekać w skwarze południa, i groził przeciąganiem pod kilem, kiedy błagała o odpoczynek. Opatrywał pęcherze na jej drobnych dłoniach i z zaskoczeniem stwierdzał, że obrażenia te wprawiają ją w dumę i są dla niej bodźcem.

Akeba usiadł ciężko obok niego i popatrzył z szacunkiem na Yasbet.

- Uczy się. Jesteś dobrym nauczycielem, radzisz sobie nawet z kobietą. Mógłbyś szkolić w naszej armii rekrutów, jakich ostatnio wielu przyjmujemy.
- Ona nie ma żadnego pojęcia o szermierce, nie trzeba więc jej niczego oduczać. Poza tym, robi dokładnie to, co każe.
- Dokładnie? - Akeba roześmiał się, podnosząc brew. Na widok miny Conana nadał swemu obliczu wyraz przesadnej obojętności.
- Żołądek nadal ci doskwiera? - zapytał z nadzieją młody Cymmerianin.
- Mojej głowie i nogom już nie przeszkadza kołysanie - odparł Akeba z niewzruszonym uśmiechem.

Conan obrzucił go spojrzeniem pełnym powątpiewania.

- W takim razie może masz ochotę na parę dojrzałych małży? Muktar ma beczułkę dorodnych.
- Nie, dziękuję, Conan - zawołał spiesznie Turańczyk, czując, jak skurcz ściska mięśnie jego szczęki. Chciał jak najszybciej zmienić temat, dodał więc: - Nie widziałem dzisiaj Bayana. Chyba nie wyrzuciłeś go za burtę?

Cymmerianin zacisnął zęby i syknął:

- Podśledzałem, jak snuł plany co do Yasbet, i porozmawiałem z nim na ten temat.
- Po przyjacielsku, mam nadzieję. To ty powtarzasz, że te morskie szczury przy pierwszej nadarzącej się okazji z przyjemnością poderznąłyby nam gardła.
- Po przyjacielsku - przyznał Conan. - Dzisiaj leży w kocach i liże siniaki.

- I dobrze - mruknął ponuro Turańczyk. - Ona jest w wieku Zorelli.

- Smakowity z niej kasek - wtrącił Sharak, sadowiąc się po drugiej stronie Conana. - Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy, odbiłbym ci ją, Cymmerianinie.

Miecz Yasbet zadzwieczał na deskach pokładu, co przyciągnęło uwagę rozmawiających. Popatrzyła na nich ze złością.

- Nie jestem tresowaną małpą ani tańczącym niedźwiedziem! Siedzicie jak wiejskie gamonie, a ja mam was zabawiać?

Odeszła dumnym krokiem, ale wróciła po miecz - jej oczy mówiły: niech tylko któryś spróbuje się odezwać - i pomaszzerowała do swojego namiociku przed masztem.

- Twojej dziewczynie wyrabia się charakter, Conanie - powiedział Sharak i spojrzał w ślad za nią. - Może popełniasz błąd, ucząc ją posługiwania się bronią.

Akeba pokiwał głową z udawaną powagą.

- Dzięki tobie, Cymmerianinie, nie jest już płochą i skromną panienką. Oczywiście cnotliwą też już nie jest, również dzięki tobie. Ale przynajmniej mógłbyś ją ułagodzić, zanim zaczniesz wyzywać nas po kolei na pojedynki do ostatniej krwi.

- Jak możesz tak mówić? - zapytał Conan. - Ledwie przed chwilą przyrównywałeś ją do własnej córki.

- Masz rację - przyznał Akeba z już nieudawaną powagą. - Leżała mi na sercu cnota Zorelli, to prawda. Teraz, po jej śmierci, widzę te sprawy inaczej. Mam nadzieję, że zaznała wszystkich radości, jakie niesie życie.

- Nie tknąłem Yasbet - przyznał bez większego zapału Conan i gniewnie poderwał głowę, widząc ich niedowierzające spojrzenia. - Uratowałem jej życie. Jest niewinna i samotna, i prócz mnie nie ma nikogo, kto by ją obronił. Na miłosierdzie Mitry! Cóż to za myśliwy, który zagania gazelę do zagrody i tam morduje ją dla rozrywki?

Sharak wybuchnął śmiechem.

- Tygrys i gazela. Ale które z was jest czym? Kto jest myśliwym, kto ofiarą? Ta dziewczyna zagięła na ciebie parol, Cymmerianinie.

- To prawda - poparł go Akeba. Zdobył się na lekki uśmiech. - Wszyscy na pokładzie tego statku uważają ją za twoją dziewczkę. Na Dziewięć Piekieł Zandru, masz zamiar zostać świętym?

- A może tak obaj przepłyniecie resztę drogi o własnych siłach? - warknął Conan. - Powiem wam... - urwał, gdy stanął przed nimi Muktar.

Kapitan tarmosił brodę, rozłożoną na piersiach na kształt wachlarza, i z namysłem popatrywał na

Conana.

- Jesteśmy śledzeni - oznajmił na koniec. - Przez galerę.

Conan podniósł się wolno i przeszedł na rufę. Akeba i Sharak pociągnęli za nim. Muktar dostojnym krokiem zamykał pochód.

- Widzę tylko wodę - poskarżył się turański sierżant, oceniając oczy dłonią. Sharak, zmrużył oczy przed słońcem i wymamrotał coś na znak, że się z nim zgadza.

Conan jednak dostrzegł tropicieli - drobny punkcik na wodzie w oddali, z niewyraźnymi cieniami po bokach, co sugerowało obecność długich, szybko poruszających się wiosł.

- Piraci? - zapytał. Na Morzu Vilayet było ich mnóstwo, lecz nie sądził, by ci tropiciele zaliczali się do zbójców morskich.

Muktar wzruszył ramionami.

- Może. - On też jakby w to nie wierzył.

- A któż inny mógłby to być? - zapytał Akeba.

Muktar zerknął zezem na Conana, ale zmilczał.

- Dalej nic nie widzę - wtrącił Sharak.

- Kiedy nas dogonią? - zapytał Conan.

- Blisko zmroku - odparł Muktar. Popatrzył na szarozieloną wodę, na długie grzywacze przewalające się na wietrze, potem zerknął w niebo, gdzie siwe chmury układały się warstwami na tle popołudniowego błękitu. - Choć może prędzej rozpęta się sztorm. Vilayet to zdrażliwa suka.

Cymmerianin wbił oczy w zbliżający się statek. Postukując wielką pięścią w reling, pograżył się w ponurej zadumie. Jak rozegrać nieuniknioną bitwę, żeby zwyciężyć? Jak?

- Jeśli nadejdzie sztorm - powiedział stary astrolog - wtedy się w nim schowamy.

- Jeśli nadejdzie - powtórzył Conan z powątpiewaniem.

- Policzyłem pociągnięcia wiosłami - przerwał im Muktar. - Wykończą niewolników, jeśli nie zmniejszą tempa. Ale nie sądzę, żeby zmniejszyli. To ciekawe. Nikt nie dba na tyle o Hyrkańczyków, żeby ścigać ich z takim wigorem. A „Tancerka fal” jest małym statkiem, nie dromondem po same nadburcia wyładowanym kością słoniową i korzeniami. Musi im chodzić o was trzech albo o tę dziewczynę. Macie może w tych belach schowaną koronę Turami? Czyżby ta twoja dziewczka była księżniczką uprowadzoną z pałacu ojca? Czemu nas gonią?

- Jesteśmy kupcami - powiedział spokojnie Conan. - I zapłaciliśmy ci za przewiezienie nas do

Hyrkanii i odstawienie z powrotem do Turami.

- Nie dostałem złamanego miedziaka za to drugie.

- Dostaniesz złoto. Chyba że pozwolisz piratom przejąć nasze towary. I swój statek. Wtedy otrzymasz tylko niewolnicze kajdany, o ile przeżyjesz.

Kiwając ręką na swoich towarzyszy, wielki Cymmerianin zostawił Muklara, który mruczał coś w gąszcz brody i patrzył na statek za rufą.

Na śródokręciu Conan stanął przy relingu, skąd także mógł obserwować galerę. Teraz wydawała się większa. Przyłączył się do nich Tamur.

- Płyną za nami - rzekł cicho Conan.

- Baalsham - warknął Hyrkańczyk w tej samej chwili, w której Akeba, kiwając głową, powiedział:

- Jhandar.

Sharak z zaskakującą zajadłością pomachał laską w stronę galery.

- A niech przysyła tu swoje demony. Ja jestem przygotowany.

Ciemne oczy Tamura rozbliły.

- Tym razem pokroimy go na plasterki jak kawał wołowiny, nawet jeśli ma tysiąc demonów.

Conan napotkał spojrzenie Akeby. Bardziej prawdopodobne, że to ci na „Tancerce” staną się mięsem na roźnie.

- Ilu ludzi może pomieścić się na statku? - zapytał Turańczyk. - Niewiele znam się na morskich sprawach.

Źródłem żeglarskiej wiedzy Conana był tylko krótki okres spędzony z przemytnikami w Sultanapurze, ale ścigały go już takie okręty.

- Są tam dwa rzędny wiosła po obu burtach, jednak wiosłarze nigdy nie biorą udziału w walce. Statek tej wielkości może zabrać na pokład dziesięć dziesiątków ludzi, oprócz załogi.

Zapadła cisza, przerywana jedynie śpiewem olinowania na wzmagającym się wietrze. Po pewnym czasie Sharak wydukał:

- Aż tyłu? Ta przygoda jest chyba źle skrojona jak na moją miarę.

- Na Ojca Jedynego, umrę szczęśliwy - powiedział Tamur - jeśli będę wiedział, że Baalsham wraz ze mną wyruszy w tę długą noc.

Akeba ponuro potrząsnął głową.

- Z pewnością nie ma go na tym statku. Tacy jak on wysyłają innych, by brudzili sobie ręce. Ale przynajmniej wytoczymy dość krwi, żeby zapłacić naszemu przewoźnikowi, co, Cymmerianinie?

- To będzie walka godna śmierci - zgodził się Tamur.

- Jeszcze nie mam zamiaru umierać - wymruczał posępnie Conan.

- Burza - wtrącił Sharak z tłumionym podnieceniem. - Burza nas ukryje.

Chmury gęstniały i ciemniały, przysłaniając zachodzące słońce.

- Niewykluczone - powiedział Conan. - Ale nie możemy liczyć wyłącznie na nią.

Bogiem lodowych turni i urwisk omiatanych przez wichry, bogiem ojczystej Cymmerii Conana był Grom, mroczny Pan Góry, który dawał swoim dzieciom życie i wolę, ale nic więcej. Los człowieka zależał od jego własnych rąk, serca i głowy.

Conan przeszedł na rufę do Muktara, nadal patrzącego na galerę. Widać już było brązowe błyski tarami rozcinającego szare fale.

- Dojdą nas przed nocą? - zapytał kapitana. - Czy wcześniej rozpęta się burza?

- Sztormu może wcale nie być - mruknął Muktar. - Zdarza się, że na Vilayecie błyskawica uderza z nieba, na którym przed chwilą świeciło słońce. Zdarza się też, że chmury na wiele dni zasnuwają niebo, a potem podnoszą się bez uronienia kropli deszczu. Jeśli stracę przez ciebie swój statek, Cymmerianinie, to mamy twój los.

- Właśnie dobrze statku miałbym na uwadze, gdybym był kapitanem - dopiekl mu Conan - a nie starą babą, która ma w głowie tylko zabawy z wnukami. - Zaczekał, aż Muktarowi kark nabrzmieje z gniewu, a twarz obleje purpura, po czym podjął: - Słuchaj. Możemy wszyscy się uratować. Jak długo się da, musimy przed nimi uciekać. Potem...

Ciemny kolor powoli ustępował z twarzy Muktara. W pewnym momencie kapitan pobladł i spróbował powstrzymać potok słów, ale Conan nie zwrócił uwagi na jego protesty. Później zaczął słuchać ze wzmożonym zainteresowaniem, a na koniec pokiwał głową.

- Może się udać - oznajmił. - Na Złoty Ogon Dagona, może się udać! Dopilnuj swoich nomadów, Cymmerianinie. - Obracając się z lekkością, o jaką nikt nie mógłby go posądzać, gruby kapitan ryknął: - Do mnie, sucze syny! Do mnie, i słuchać, jak po raz kolejny uratuję wasze wyleniałe skóry!

- Na Mitrę, o co chodzi? - zapytał Akeba, kiedy Conan wrócił do relingu.

Gdy głos Muktara wznosił się i opadał ponad głowami skupionej na rufie załogi, Conan wyjawiał swoim towarzyszom, co zaplanował.

Marszcząc chytrze chudą twarz, Sharak wykonał krótki taniec.

- Damy im do wiwatu! Nie mają szans. To ci dopiero przygoda!

Tamur wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

- Nieważne, uciekniemy czy polegniemy, ludzie będą mieli co opowiadać przy obozowych ogniskach. Chodź, Turańczyku, pokaż nam, czy zostały w tobie resztki hyrkańskiej krwi.

Akeba potrząsnął głową i odszedł z Tamurem do pozostałych nomadów.

Załatwione, pomyślał Conan. Nie pozostało nic oprócz... Yasbet. W chwili, gdy to imię wpadło mu do głowy, dziewczyna stanęła przed nim. Jej łagodne, duże oczy pieściły twarz Cymmerianina.

- Słyszałam - wyznała. - Gdzie będzie moje miejsce?

- Wymoszczę ci je wśród bel towaru - odparł - tam będziesz bezpieczna. Przynajmniej przed łucznikami i procarzami.

- Nie zamierzam się chować. - Uprzednia łagodność zniknęła. Teraz w jej oczach płonął ogień. - Nauczyłeś mnie dużo, ale nie tego, jak być tchórzem!

- Ukryjesz się, nawet gdybym musiał związać ci ręce i nogi. Ale jeśli do tego dojdzie, obiecuję, że przez dziesięć dni nie będziesz mogła usiąść bez krzywienia buzi. Daj mi swój miecz.

- Mój miecz? Nie!

Zacisnęła ręce na mieczu, ale on wyrwał go i ruszył do masztu. Szła za nim w milczeniu, zraniona, że łzami w oczach tak zognioniałych, że zdawały się zajmować całą twarz.

Przed masztem stał toczak, na którym załoga ostrzyła miecze i topory. Naciskając nogą na pedał, Conan przyłożył tępy skraj ostrza do obracającego się kamienia. Gdy skry strzeliły z metalu, wolną ręką sięgnął do glinianego dzbana i spryskał koło oliwą. Nie wolno było dopuścić do przegrzania stali, inaczej ostrze straciłoby wytrzymałość.

Yasbet przetarła ręką mokry od łez policzek. - Myślałam, że chcesz...że...

- Nie jesteś wojowniczką - burknął. - Nie po tych paru dniach. Ale być może przyjdzie ci się bronić, jeśli dojdzie do najgorszego.

- A zatem zależy ci... - zaczęła, lecz on uciszył ją lodowatym spojrzeniem.

Wezbrał w nim bitewny zapach, zalewający tę odrobinę delikatności, którą nosił w sercu. Kiedy nadchodził czas wydobywania broni z zacisza pochwy, nawet szczypta łagodności mogła zabić wojownika.

Conan pochylił się nad kamieniem. Snopy iskier sypały się ze stali, równie twardej jak ten, kto ją

ostrzył.

## XVI

Ludzie biegali po pokładzie „Tancerki fal”, przygotowując się do wypełnienia poszczególnych części planu Conana. Chmury na niebie pociemniały i zmrok miał zapaść na dwa obroty klepsydry przed czasem, a wiatr grał na olinowaniu jak na lutni, jednakże ani jedna kropla wody nie zmoczyła pokładu za wyjątkiem tych znoszonych z fal rozbijających się o dziób.

Galera nieprzerwanie zmniejszała odległość dzielącą ją od „Tancerki”. Sunęła po wodzie chyżo niczym śmiertelnie groźna stonoga o brązowym żądle, na pozór wcale nie wstrzymywana przez coraz wyższe fale, z którymi drugi statek zmagał się z wyraźnym trudem. Przewalając się ciężko na burty, „Tancerka” sprawiała wrażenie niemrawego wodnego żuka, który czeka na pewną śmierć.

- Przygotowują łuki! - ryknął Muktar.

Conan zawiązał węzeł na linie, która otaczała talię Yasbet. Dziewczyna leżała między spiętrzonymi belami przywiązanymi mocno do pokładu.

- Teraz nie ma obawy, że zmyje cię za burtę - oznajmił - nieważne, jak wielki będzie sztorm.

- Mają katapultę! - wrzasnął Muktar.

Conan już się odwracał, gdy Yasbet złapała go za rękę i przycisnęła usta do wnętrza twardej dłoni.

- Będę na ciebie czekać - wymruczała - kiedy bitwa dobiegnie końca. - Pociągnęła niżej rękę i Conan stwierdził, że jego palce wsuwają się pod skórzany kaftan, sięgają pełnej piersi.

Zaklął i uwolnił rękę, choć nie bez niechęci.

- Nie ma na to czasu - rzucił szorstko. Zastanawiał się, czy ona nie zdaje sobie sprawy, jak diabelsko trudna jest ochrona dziewczyny, którą pragnie się posiąść?

- Przygotowują się do strzału! - krzyknął Muktar i Conan od razu zapomniał o Yasbet.

- Teraz! - zawołał. - Tnijcie!

Muktar pobiegł na rufę, bezceremonialnie odepchnął krzepkiego sternika i złapał oburącz grube drzewce sterującego wiosła. Na dziobie dwaj przemytnicy wyciągnęli zakrzywione noże i cięli. Liny pękły z głośnym trzaskiem i dodatkowe żagle, które Conan kazał wywiesić na rei, wydeły się na wietrze. Smukły stateczek ruszył szybko do przodu, niemal przeskakując z grzbietu jednej fali na drugą.

Kamień wystrzelony z katapulty, ciężki kawał granitu, wzbil fontannę wody tuż za rufą, mocząc Muktara do suchej nitki.

- Teraz, Muktar! - krzyknął Conan. Chwycił w biegu worek z nieprzemakalnego płótna i popędził na rufę. - Teraz, mówię! Reszta uważać na garnki!

Pokład był zastawiony dziesiątkami zakrytych glinianych dzbanków, wyciągniętych ze wszystkich zakamarków statku. Niektóre syczały, gdy omywała je spieniona woda wdzierająca się na pokład.

Klnąc co sił w płucach, Muktar napał na wiosło, które wygięło się pod podwójnym naporem mięśni i wody. „Tancerka” posłuchała, powoli obracając się dokoła. Majtkowie skoczyli do długich wiosł, młócąc wodę w desperackiej próbie przyspieszenia zwrotu.

Kiedy wcześniej Conan snuł swoje plany i omawiał ten właśnie manewr, rumiana twarz kapitana zbielelała jak płótno. Ustawiony bokiem do fali statek kładł się na burty, coraz głębiej i głębiej, aż reling dotknął powierzchni wody. Z wykrzywionymi ze strachu twarzami przemytnicy w gorączkowym zapamiętaniu pociągali za wiosła. Akeba, Sharak i Hyrkańczycy czołgali się po pokładzie, aby chronić gliniane naczynia przed przewróceniem albo zmyciem za burtę. Spieniona góra szarej wody przewaliła się nad nadburciem i wydawało się, że ludzie brodzą po płyciźnie.

Wśród trzaskających się mężczyzn oczy Conana wypatrzyły Yasbet, uwolnioną z więzów, zajęętą ustawianiem dzbanków. Wicher porwał jego próżne przekleństwa; nie było czasu, żeby cokolwiek z nią zrobić.

Leniwie, ale zdecydowanie dziób „Tancerki” ustawił się wreszcie pod wiatr i stawił czoło fali. Statkowi brakowało wcześniejszej lekkości - pod pokładem musiało zebrać się dość wody, by unieść szalupę - ale wspiał się na pierwszą falę i skoczył do przodu. W stronę galery. Na drugim statku ramię katapulty kierowało się w niebo. Jeśli wystrzelono następny kamień, huk fal zagłuszył jego upadek. Członkowie załogi, poruszeni widokiem zawracającej w ich stronę przyszej ofiary, uwijali się jak mrówki w zniszczonym mrowisku. Nie było ich tak wielu, jak Conan się obawiał, chyba że inni kryli się pod pokładem. Większość z tych, których widział, nosiła jednolite marynarskie stroje.

- Straciliśmy połowę dzbanów! - zameldował Akeba, przekrzykując wyjący wicher. - Wpadły do morza!

- Przygotujcie te, co zostały! - ryknął w odpowiedzi Conan. - Szybko!

Hyrkańczycy podnieśli nieprzemakalne worki.

Załoga drugiego statku, najwyraźniej przekonana, że ich ofiara dąży do abordażu, pochwyciła broń. Miecze, włócznie i siekiery najeżyły burtę galery. Na dziobie obsługa ścigała ramię katapulty do następnego strzału, ale Conan wiedział, że jest za późno; „Tancerka” podeszła już zbyt blisko.

Conan rozwiązał rzemienie worka i wyjął nie zamoczoną zawartość: pęk strzał ze szmatkami zawiązanymi za grotem i krótki, podwójnie wygięty łuk. U jego boku Hyrkańczyk, już przygotowany, zrzucił kopniakiem przykrywkę z glinianego dzbanka. Wewnątrz ćmiły się węgle, sycząc w



kropelkach, które wpadały do środka. Conan rozdmuchał żar do trzaskającego płomienia i wsunął w niego strzałę. Przywiązana do niej tkanina zajęła się ogniem.

W jednym płynnym ruchu Cymmerianin odwrócił się, napiął łuk i zwolnił cięciwę. Ognista strzała poszybowała prosto ku galerze i ugrzęzła w maszcie. Był to sygnał. Galerę zasypał grad ognistych pocisków.

Conan słał strzałę za strzałą, gdy dwa statki zbliżały się do siebie. Galera próbowała odpłynąć, lecz teraz „Tancerka” rozpoczęła pościg. Majtkowie na galerze biegali z kubłami, sypiąc piasek na rozszerzające się zarzewia pożaru, ale dwa nowe rozkwiwały w miejsce jednego zgaszonego. Macki ognia wity się wężowo po nasmołowanych linach i nagle wielki prostokątny żagiel stanął w płomieniach roznoszonych przez zawodzący wicher.

- Bliżej! - zawołał Conan do Muktara. - Bliżej pod rufę!

Brodacz o byczym karku warknął, ale wykonał polecenie. „Tancerka” odsunęła się od swojej ofiary i przecięła jej kilwater o krótki rzut włócznią od rufy.

Conan spiesznie zakrył naczynie z węglami i ostrożnie, z respektem dla parzącej zawartości, wepchnął je do nieprzemakalnego worka. Zakręcił workiem nad głową, raz i drugi, i posłał go łukiem ku galerze. Pocisk upadł na pokład nie zauważony przez ludzi, którzy w szaleńczym pośpiechu odcinali płonący żagiel.

- Oliwa! - krzyknął Conan w chwili, gdy worek dotknął pokładu. Złapał następny dzbanek, ten z pokrywką uszczelnioną smołą, i posłał go w ślad za workiem. Naczynie rozbiło się na deskach pokładu. - Szybko, zanim odległość się zwiększy!

Następne dzbany poszybowały ku drugiemu statkowi. Połowa wpadła do wody, ale reszta roztrzaskała się na rufie galery. Statki rozeszły się, gdy płonący żagiel galery był już za burtą. Po opanowaniu pożaru załoga na powrót kierowała się ku „Tancerce”.

Conan walnął pięścią w reling.

- Co jest? - mruczał. - Czemu nie...

Płomienie buchnęły na rufie galery, gdy rozlewający się olej wreszcie dotarł do węgli, które przepaliły worek. Nad galerą wzbił się wrzask przerażenia, na „Tancerce” dzikie okrzyki radości.

W tej chwili zaczęła się ulewa i solidna ściana wody odgradziła od siebie statki.

Wicher zawył niczym wściekła bestia i okręt Muktara obrócił się pod naporem fał, piętrzących się ponad masztem.

- Płyn na północ! - zawołał Conan. Musiał przysunąć usta do ucha Muktara, żeby kapitan go usłyszał.

Zmagając się z wiosłem, brodacz pokręcił głową.

- Nie żeglujcie się w sztormie po Vilayecie! - ryknął. - Sztuka polega na przetrwaniu!

Wichura przybrała na sile; rwała słowa wykrzykiwane wprost do ucha i uniemożliwiała rozmowę.

Ani wiatr, ani wściekłe fale nie dawały im chwili wytchnienia. Szare góry wody, ze szczytami w pianie, waliły się na „Tancerkę fal”, jakby rozzłoszczeni nazwą statku bogowie chcieli udowodnić, że nie potrafi tańczyć bez ich aprobaty. Tym, którzy na tej łupinie ośmielili się rzucić wyzwanie nieokiełznanej potędze Vilayetu, nie pozostało nic innego, jak trzymać się burt i czekać.

Po nieskończeniu długim czasie ulewa zaczęła słabnąć i w końcu przestało padać. Wiatr, który ubijał fale na pianę, przemienił się w bryzę i rozpędził chmury, odsłaniając księżyc zawieszony na czarnym, aksamitnym niebie. Jasna poświata przegnała mrok. Po galerze nie zostało ani śladu.

- Ogień ją strawił - emocjonował się Sharak. - Albo pochłonęła burza.

- Może - mruknął z powątpiewaniem Conan. Jeśli pożar nie zdążył rozgorzeć na dobre, ulewa mogła go ugasić. A skoro „Tancerka” zdołała przetrwać burzę, zatem galera, mądrze pokierowana, również mogła wyjść z opresji bez większego szwanku. Do Muktara, który przekazał wiosło sternikowi, powiedział: - Znajdź brzeg. Musimy się dowiedzieć, jak daleko nas zniosło.

- O brzasku - oznajmił brodacz tonem nie znoszącym sprzeciwu. Zachowywał się tak, jakby sam wygrał morską bitwę; zwycięstwo sprawiło, że zachowywał się jeszcze bardziej wyzywająco.

Yasbet podeszła i położyła rękę na ramieniu Conana.

- Muszę z tobą porozmawiać - rzekła cicho.

- A ja z tobą - warknął gniewnie. - Na Mitrę, co ty sobie...

Odeszła, wzywając go ruchem ręki i stąpając ostrożnie między niewyraźnymi postaciami: wyczerpani mężczyźni ułożyli się do snu w miejscach, gdzie zastał ich koniec burzy. Mrucząc po cichu okropne przekleństwa, Conan ruszył za nią. Zniknęła w bladym cieniu przekrzywionego przez sztorm namiotu. Wściekłym ruchem odsunął klapę, wczuł się do środka i ukląkł, gdyż przemoczone płótno zwisało tuż nad głową.

- Dlaczego opuściłaś kryjówkę? - zapytał ostro. - I jakim sposobem? Węzeł zaciśnięty był zbyt mocno, by zdołały rozsuptać go twoje palce. Mogłaś zginąć, dziewczyno! Powiedziałaś, że nie ruszysz się z miejsca. Obiecałaś!

Odważnie stawiała czoło jego gniewowi - może była trochę zaniepokojona, ale nawet nie drgnęła.

- Rzeczywiście mocno zaciśnięty węzeł, ale miecz, który mi dałeś, przeciął go z łatwością. Dlaczego to zrobiłam? Nauczyłeś mnie, jak się bronić. Jak mogłabym leżeć niczym toból brudów do prania? I niczego ci nie obiecałam. Powiedziałam, że będę czekać na ciebie po zakończonej bitwie. Czyż nie zrobiłam czegoś lepszego? Poszłam cię szukać.

- Pamiętam obietnicę! - zagrział. - I że ją złamałaś!

Uśmiechnęła się i cicho powiedziała:

- Masz przemoczony płaszcz. - Jej delikatne palce rozpięły brązową agrafkę, która spinała poły. Delikatne ręce otoczyły szyję Conana, gdy zsuwała płaszcz z jego ramion. Zmysłowe usta musnęły policzek i ucho Cymmerianina.

- Przestań - warknął, odsuwając ją od siebie. - Nie zdołasz mnie omotać. Gdybym miał różgę pod ręką, mogłabyś pomyśleć, że jesteś u swojej piastunki.

Z westchnieniem irytacji oparła się na ręce i popatrzyła na niego gniewnie.

- Nie masz różgi. - Gdy wlepił w nią oczy, poluzowała rzemyki kaftana i zdjęła go przez głowę. Pełne, krągłe piersi zakołysały się swobodnie, a na widok lśnienia satynowej skóry zaschło mu w gardle. - Ale - mówiła - rękę masz twardą, a ramię silne. Nie wątpię, że zastąpiłoby różgę. - Buty i spodnie poszybowały za kaftanem w kąt namiotu. Yasbet przekreśliła się na kolanach tyłem do niego i przycisnęła policzek do desek pokładu.

Conan z trudem przełknął ślinę. Na widok tych jędrnych pośladków o barwie miodowej kości słoniowej pot zrosiłby nawet oblicze kamiennego posągu. W tej chwili aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że jest mężczyzną z krwi i kości.

- Okryj się, dziewczyno - wychrypiał - i skończ tę zabawę. To niebezpieczne, nie jestem bowiem dziewczęcą zabawką.

- A ja się nie bawię - odparła, klękając przodem do niego. Nawet nie spojrzała na ubranie. - Wiem, że wszyscy na tym statku myślą, że jestem twoją... twoją kochanką. - Policzki jej poróżowiały; to bardziej niż nagość sprawiło, że jęknął i szczelnie zacisnął powieki. Przez jej twarz przemknął uśmiech triumfu. - Czy nie skarżyłam ci się wcześniej - rzuciła zapalczywie - na pilnowanie mnie, gdy nie chcę być chroniona?

Otworzył zaciśnięte w pięść dłonie i przygarnął ją do siebie; sapnęła, czując jego twarde tors.

- Zabawa skończona, dziewczyno - warknął. - Każ odejść, a odejdę. Ale jeśli nie... - Pociągnął ją na pokład, a gdy legła pod nim niczym miękka poduszka, skierował na nią oczy niebieskie jak agaty.

- Nie jestem dziewczyną - wydyszała - tylko kobietą. Zostań, - Teraz uśmiechała się z jawnym triumfem.

Conan pomyślał, że ten uśmiech jest dziwny, ale Yasbet naprawdę była kobietą i przestał zawracać sobie głowę uśmiechami.

Ze skalistego przylądka porośniętego poskręcanyimi, kolczastymi krzakami Conan spoglądał w głąb lądu, wypatrując powrotu Tamura. Nomada oświadczył, że przyprowadzi im konie za trzy lub cztery obroty klepsydry, ale odszedł o świcie, a teraz słońce zbliżało się do zachodniego horyzontu.

Nieco na północ od przylądka, na niewielkim spłachetku błotnistego piasku, „Tancerka” kołysała się lekko na stępcie. Wyniesiona na brzeg kotwica leżała na wydmach wśród wysokiej, brązowej trawy; długi łańcuch chronił statek przed uniesieniem przez fale, które szarpały za rufę. Na piasku między statkiem a wydmami płonęły ognie, a przy nich warzono strawę. Namiot Yasbet stał daleko od derek Hyrkańczyków i posłań marynarzy, rozrzuconych wśród stert pozbieranego na brzegu drewna.

Gdy Conan podjął obserwację, jego uwagę przyciągnął obłoczek kurzu na południu. Czy to Tamur z końmi, czy... kto? Żałował, że tak mało wie o tych ziemiach. Wartownik ustawiony na najwyższej wydmię też powinien zobaczyć tuman pyłu. Zerknął w tamtym kierunku i zaklął. Wartownik zniknął! Kurzawa była coraz bliżej - wzbijały ją kopyta koni. Tamur? A może ktoś inny?

Na pozór niedbałym krokiem przesunął się do miejsca, gdzie ku plaży schodziło strome zbocze porośnięte karłowatymi drzewami. Ich poskręcane korzenie ledwo trzymały się kamienistej gleby. Na poły zsunął się po zboczu, nadal starając się nie okazywać pośpiechu.

Przy ognisku pochylił się nad Akebą, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i ostrzył miecz.

- Nadciągają konni - powiadomił go szeptem. - Nie wiem, czy to Tamur, czy obcy. I nigdzie nie widać wartownika.

Turańczyk zeszywniał. Po chwili schował osełkę do sakiewki, a zakrzywioną broń do pochwy. Zdjął charakterystyczny kaftan i spiczasty hełm, bowiem po tej stronie Vilayetu turańska armia nie budziła przyjaznych uczuć.

- Przespaceruję się po wydmach. Możesz mieć oko na obóz? Gdy Conan pokiwał głową, Akeba zabrał łopatkę, jakby nagliła go potrzeba, i odszedł ku wydmom.

- Yasbet! - zawołał Conan. Dziewczyna pokazała się w wejściu namiotu; przyzwał ją ruchem dłoni.

Zanim ruszyła ku niemu przez piasek, odegrała istne przedstawienie z zapinaniem pasa i poprawianiem miecza na biodrze. Gdy tylko znalazła się w zasięgu jego ręki, złapał ją za ramiona i posadził pod osłoną pnia przyniesionego przez morze.

- Zostań tutaj - przykazał, kiedy spróbowała się podnieść. Odwrócił się do pozostałych, rozproszonych między ogniskami, i jak najciszej, ale żeby zostać zrozumianym, powiedział: - Nie ruszać się.

Paru zwróciło ku niemu zaciekawione twarze, a Muktar skoczył na nogi.

- Mówiłem, nie ruszać się! - warknął Conan. Jego głos zabrzmiał tak ostro, że brodaty kapitan posłuchał bez słowa. Conan szybko mówił dalej: - Lada chwila będą tu konni. Nie wiem, kto.

Spokój!

Jeden z Hyrkańczyków cofnął rękę wyciągniętą po hak, a majtek, który z miną zdradzającą chęć ucieczki podnosił się sprzed ognia, zamarł jak sparaliżowany.

- Poza tym zniknął wartownik. Wybierzcie sobie kryjówki, a kiedy dam znak - jeszcze nie! - chwytajcie broń i bądźcie w pogotowiu. Teraz!

W jednej chwili plaża opustoszała, gdy ludzie wturlali się za stosy drewna. Conan złapał łuk i kołczan i skoczył za pień, który skrywał Yasbet. Wychylił się ostrożnie, żeby omieść wzrokiem wydmy.

- Dlaczego najpierw zadbałeś o moje bezpieczeństwo? - zapytała go z wyrzutem. - Przez całe życie traktowano mnie jak dziecko. Mam dość niańczenia.

Czyżby słyszał tętent kopyt? Na Dziewięć Piekieł Zandru, gdzie podziewał się Akeba?

- Jesteś zatem bohaterem z sagi, co? Zadrwił. - Odpornym na stal i strzały?

- Bohaterką - poprawiła. - Zostanę bohaterką, nie bohaterem.

Conan parsknął.

- Sagi są świetne, gdy słucha się ich przy ogniu w zimną noc albo zabawia nimi dzieci, ale my jesteśmy zwykłymi ludźmi z krwi i kości. Stal może wytoczyć krew, a strzała przeszyć ciało na wylot. Jeśli kiedy zobaczę, że próbujesz być bohaterem - albo bohaterką - to zamienię twój zadek w bęben. A teraz cicho.

Nie odrywając oczu od wydm, wyszukał strzałę w kołczanie i sprawdził lotki.

- Czy w takim razie przyjdzie nam umrzeć, Conanie, na tej żalösnej plaży? - zapytała.

- Oczywiście, że nie - zapewnił pospiesznie. - Zabiorę cię z powrotem do Aghrapuru i założę ci sznur pereł na szyję, o ile wcześniej nie oddam w ręce Fatimy za krnąbrność.

Dudnienie kopyt galopujących koni brzmiało wyraźnie coraz bliżej. Przez długą chwilę rozważała jego słowa. Potem nagle krzyknęła:

- Conan z Cymmerii jest moim kochankiem, a ja należę do niego! Z rozkoszą dzielę z nim łożę!

Conan wytrzeszczył oczy.

- Na Croma, dziewczyno! Mówiłem, że masz być cicho!

- Skoro mogę umrzeć, chcę, żeby cały świat wiedział, co nas łączy.

Conan już otworzył usta, gdy dudnienie przerodziło się w grzmot i dziesiątki koni wyskoczyły zza

wydm. Bijąc kopytami mokry piach, słoczyły się w wielkim kręgu na plaży. Conan założył strzałę na cięciwę, ale zawahał się, gdy zobaczył, że wiele koni nie ma jeźdźców. Z ruchliwej masy wyłonił się Tamur.

- Nie strzelać! - zawołał Conan, wychodząc na spotkanie Hyrkańczyka, który na jego widok zsunął się z siodła. - Niech cię Erlik, Tamurze! Mało brakowało, a miałbyś w grzbiecie więcej piór niż gęs.

- Andar nie powiedział ci, kto jedzie? - Hyrkańczyk groźnie zmarszczył czoło. - Widziałem, że postawiłeś go na warcie.

- Musiał sobie ulżyć - wyjaśnił pogardliwym tonem Akeba, który do nich dołączył - i nie zatroszczył się o zastępstwo.

Za nim stanął nomada o wąskiej szczęce, z długimi natłuszczonymi wusami.

Gdy Tamur przeszył go wzrokiem, mężczyzna wzruszył ramionami.

- A niby kogo miałem wypatrywać, Tamurze? Tych padlinożernych gnojarzy? - Ruchem głowy wskazał jeźdźców, którzy na niskich kudłatych koniach otaczali kręgiem przyprowadzony tabun.

- Nie stałeś na czatach, jak ci przykazano - wysyczał Tamur. Odwrócił się do innych Hyrkańczyków i zawołał: - Czy ktoś bierze jego stronę?

Nikt się nie zgłosił.

Andar, krzywiąc się z trwogi, sięgnął po jatagan. Tamur odwrócił się ku niemu. Szabla wyskoczyła z pochwy niczym błyskawica i zadała śmiertelny cios. Andar upadł z na wpół wyciągniętym mieczem, a z jego szyi trysnęła fontanna krwi.

Tamur kopnął wstrząsane skurczami ciało.

- Zabierzcie na wydmy tego, który splugawił łono własnej matki, i zostawcie go z łajnem, bo uznał je za ważniejsze od pełnienia warty.

Dwaj koczownicy złapali trupa za nogi i powlekli go na wydmy. Innym nawet powieki nie drgnęły. Conan słyszał, jak Yasbet wymiotuje za jego plecami.

- Dobrze, że przyprowadziłeś konie - powiedział.

- Bardziej wyglądają mi na owce - mruknął Akeba.

Tamur obrzucił go zasmuconym spojrzeniem.

- Możliwe, ale to najlepsze wierzchowce na tym wybrzeżu. Słuchaj teraz uważnie, Conanie, ci handlarze powiedzieli mi, że widzieli obcych. Daj im, ile będą chcieli za konie, a powiedzą ci wszystko, co wiedzą.

- Ile będą chcieli - powtórzył przeciągle Conan. - Czyżby byli twoimi krewniakami, Tamurze?

Hyrkańczyk zrobił zdumioną minę.

- Jesteś cudzoziemcem, Cymmerianinie, i brakuje ci wiedzy, dlatego cię nie zabiję. Ci padlinożercy i gnojjarze, jak nazwał ich Andar, żywią się wygrzebanymi z ziemi korzeniami i jajami skradzionymi z gniazd morskich ptaków. Od czasu do czasu łupią statek wyrzucony na brzeg przez sztorm. - Wbił klingę w piasek, żeby oczyścić ją z krwi Andara. - Są nie lepsi od dzikusów. Chodź, zaprowadzę cię do przywódcy.

Ludzie na kudłatych konikach byli ubrani w baranie kożuchy nadgryzione przez mole i wyświechtane pasiaste kaftany, brudniejsze nawet niż wtedy, gdy należały do majtków z obrabowanych statków.

Ich przywódca, smagły chudzielec, miał jedno podejrzliwe, rozbiegane oko i zapadnięty oczodół w miejscu drugiego. Nosił naszyjnik z ametystów w mosiężnych oprawach, z których starła się prawie cała pozłota. Wyglądało na to, że jednym z tych statków podróżowała ladacznica.

- To Baotan - Tamur przedstawił jednookiego. - Baotanie, to Conan, kupiec znany w dalekich krajach i wojownik budzący powszechną grozę.

Baotan chrząknął i przesunął oko na Conana.

- Chcesz moje konie, kupcze? Pięć koców, miecz i siekiera oraz nóż, płaszcz i pięć sztuk srebra za każdego.

- Za dużo - powiedział Conan.

Tamur jęknął.

- Nie targuj się, Cymmerianinie - wyszeptał Conanowi do ucha. - Przecież zależy nam wyłącznie na zdobyciu środków do zniszczenia Baalshama. Conan zignorował jego radę. Biedni kupcy nie cieszyli się szacunkiem, a brak szacunku oznaczał, że nie mogli liczyć na zdobycie informacji - o ile w ogóle nie łgano im w żywe oczy.

- Za każde dwa konie jeden koc i jeden miecz.

Baotan pokazał w uśmiechu pieńki pożółkłych zębów i zeskoczył z konia.

- Pogadamy.

Przykucnęli przy ognisku i wdali się w rozmowę. Jej powolne tempo niewymownie drażniło Cymmerianina, musiał jednak dbać o zachowanie pozorów. Tamur przyniósł gliniane dzbany z kwaśnym hyrkańskim piwem i gomółki sera z kobyłego mleka. Baotan pojaśniał na widok piwa, ale nie kwapił się do ustąpienia pola i często przerywał targowanie, aby pogawędzić o pogodzie albo o jakimś wydarzeniu w swoim obozie.

Niebo zaczynało ciemnieć i ludzie przywlekli więcej drewna do podsycania ognia, nim wreszcie dobili targu. Za jucznego konia Baotan miał otrzymać jeden miecz i jeden koc. Za wierzchowca - jeden topór i jeden koc. Plus nóż dla każdego jeźdźca i dwie sztuki złota dla jednookiego przywódcy.

- Zatem stoi - powiedział Conan.

- Baotan pokiwał głową i zaczął wyjmować z za pazuchy różne drobiazgi. Woreczek. Szczypczyki. Coś, co wyglądało jak niewielki byczy róg i było ulepione z gliny. Conan przyglądał się ze zdziwieniem, jak Baotan upycha zioła z woreczka w glinianym rożku, a potem z pomocą szczypczyków wyjmuje zręcznie węgielek z ogniska i używa go do podpalenia ziół. Szczeka mu opadła, gdy chudzielec wsunął do ust czubek rożka, pociągnął, odchylił głowę i wydmuchnął w niebo długi strumień cuchnącego dymu, po czym wyciągnął tajemniczy rożek w jego stronę.

Tamur pochylił się do jego ucha.

- W taki sposób przypieczętowują targ. Musisz zrobić to samo. Mówiłem ci, że to dzikusy.

Conan był skłonny uwierzyć w to bez zastrzeżeń. Z powątpiewaniem ujął gliniany rożek. Tłące się zioła cuchnęły jak płonąca sterta odpadków. Przyłożył przedmiocik do ust i wciągnął dym, z trudem zachowując obojętny wyraz twarzy. Dym smakował jeszcze gorzej niż śmierdział i był dość gorący, aby oparzyć język. Walcząc z mdłościami, Conan wydmuchnął smuzkę w niebo.

- Mieszają z ziołami sproszkowane łajno - wyjaśnił Tamur radośnie szczerząc zęby - żeby się równo paliło.

Po drugiej stronie ogniska Akeba wybuchnął śmiechem.

- Nie masz ochoty na parę dojrzałych małży, Cymmerianinie? - ryknął, niemal tarzając się po piasku.

Conan zagryzł zęby i oddał rożek Baotanowi, który wetknął go w usta i zaczął wydmuchiwać niewielkie obłoczki dymu. Cymmerianin potrząsnął głową. Od czasu opuszczenia rodzinnych gór Cymmerii widział wiele dziwnych obyczajów, ale ten z pewnością był najbardziej osobliwy.

Kiedy z jego ust zniknął wyraz obrzydzenia - choć smak jeszcze pozostał - zapytał:

- Widziałeś jakich obcych na wybrzeżu? Rozumiesz, inni kupcy pomniejszyliby mi zyski.

- Obcych - powiedział Faotan przez zęby zaciśnięte na rożku - ale nie kupców. - Każdemu słowu towarzyszył obłoczek dymu. - Też kupili konie. Nie za towary. Zapłacili srebrem. - Uśmiechnął się szeroko. - O wiele za dużo.

- Nie kupcy - powtórzył Conan, udając zadumę. - Dziwne, naprawdę dziwne.

- Obcy to obcy. Ich łódź była osmalona od tyłu, a paru miało rany od poparzeń.

Galera. Przetrwała i pożar, i sztorm.



- Niewykluczone, że moglibyśmy im pomóc - rzekł Conan. - Jak daleko są i z której strony?

Baotan machnął ręką w kierunku południa.

- Pół dnia. Może dzień.

Dość daleko, aby nie wiedzieli, że „Tancerka” też ocalała. Ale jeśli tak, to po co kupowali konie? Może rzeczywiście było tutaj coś, czego obawiał się Jhandar. Conan poczuł narastające podniecenie

- Zapraszamy do naszych ognisk - powiedział do Baotana. - Akeba, Tamur, wyruszamy o brzasku.

Yasbet wyłoniła się z ciemności i wsparła biodrem o jego ramię.

- Robi się zimno. Ogrzejesz mnie?

Mężczyźni wybuchnęli rubasznym śmiechem, ale, co dziwne, ucichli, gdy spiorunowała ich wzrokiem.

- Z przyjemnością - odparł Conan. Wstał i zarzucił ją sobie na ramię.

Jej piski przerodziły się w śmiech, nim dotarł do namiotu.

- Puść mnie, Conanie. To nie przystoi.

Nagle włos zjeżył mu się na karku i gwałtownie się odwrócił, przesywając wzrokiem ciemność od strony lądu. - Chcesz, żeby zakręciło mi się w głowie? - zawołała ze śmiechem. - Co ty wyprawiasz?

To tylko wyobraźnia, powiedział sobie w myślach. Nic, tylko wyobraźnia. Galera leżała daleko na południu, a ich prześladowcy byli przekonani, że „Tancerka” i jej załoga zginęli w sztormie.

- Nic takiego, dziewczyno - mruknął. Pisnęła, gdy zanurkował z nią do namiotu.

\* \* \*

Che Fan wynurzył się powoli z cienia, w którym czatował, i zerknął ze szczytu wzniesienia na plażę usianą ogniskami. Niczego więcej już nie mógł się dowiedzieć. Barbarzyńca poszedł spać. Zawrócił w głąb lądu i z lekkością nocnej zjawy zsunął się po kamienistym zboczu.

Suitai czekał przy małym ognisku - dobrze ukrytym za kępą krzaków - wraz z sześcioma innymi wyznaczonymi do udziału w tej wyprawie. Żeglarze kulili się w milczeniu po drugiej stronie ognia. Podczas tej podróży widzieli dość, aby domyślać się, że odziani w czerń Khitajczycy są groźniejsi od wszystkich innych ludzi.

Suitai popijał parujący wywar z ziół.

- Co widziałeś? - zapytał.

Che Fan kucnął przy ogniu, napełnił kubek tą samą gorzką miksturą i przemówił:

- Są tam. I kupili konie od tego brudnego Baotana.

- Zatem chodźmy i zabijmy ich zanim odjadą - zaproponował Suitai. - Jeśli tego nie zrobimy, trzeba będzie znowu ich szukać.

Sześciu innych uczestników ekspedycji zaczęło wiercić się niespokojnie, ale Khitajczycy jakby tego nie zauważyli.

- Nie, dopóki nie dowiemy się, czego szukają - odparł Che Fan. - Najwyższego Pana nie zadowolą, jeśli powrócimy jedynie z wieścią o ich śmierci. - Umilkł na chwilę. - Musimy uważać na tego barbarzyńcę zwanego Conanem.

- To tylko człowiek, i odebranie mu życia będzie równie łatwe, jak w przypadku każdego innego.

Che Fan powoli pokiwał głową, niezbyt pewien, co nakłoniło go do wyrzeczenia tych słów. A jednak... Już w chłopięcych latach opanował sztukę zyskiwania pozornej niewidzialności, ukrywania się w cieniu liścia i stapiania z nocą, lecz wzrok muskularnego barbarzyńcy zdawał się przenikać wszelkie te fortele. To bzdura, pomyślał. Należał do Bractwa Drogi, a ten Conan to tylko człowiek. Zadanie mu śmierci będzie równie łatwe, jak każdemu innemu. Jednakże wątpliwości nie chciały go opuścić.

## XVIII

Otulając się płaszczem przed ostrym wiatrem, Conan obrócił się w siodle z owczych skór. Obejrzał się po raz setny od świtu. Na falistej równinie, porośniętej niską trawą i gdzieniegdzie karłowatymi drzewami, nie zobaczył śladu pościgu. Bładożółte słońce, dające niewiele ciepła w zimnym powietrzu, wędrowało przed nimi w kierunku zenitu. Minęły dwie noce od czasu wyruszenia z Vilayetu. Conan był niezadowolony. Nieważne, co mówiły mu oczy - instynkt podpowiadał, że ktoś ich śledzi. A instynkt wiele razy ratował mu życie w przypadkach, gdy zawodziły inne zmysły.

Oddział jechał w skupieniu. Ci z Hyrkańczyków, którzy prowadzili rzędy powiązanych juczych koni, klęli jak najęci. Drobne zwierzęta, niedużo większe od koszy i tłumoków na grzbietach, uparcie ustawiały się zadami do wiatru ilekroć postronki u ich pysków przestawały się napinać. Ludzie nie obarczeni obowiązkiem ich poganiania trzymali ręce blisko broni, a oczami omiatali horyzont. Ataki na podróżnych nie były na równinach Hyrkani niczym wyjątkowym. Co prawda kupcy cieszyli się względną nietykalnością, lecz mimo to niejedni pożegnał się z życiem.

Tamur wjechał galopem między kudłate wierzchowce Conana i Akeby.

- Niedługo dotrzemy do Ziemi Przeklętych.

- Powtarzasz to od czasu, gdy ruszyliśmy znad morza - burknął Conan. Nastroju nie poprawiał mu fakt, że jego stopy zwieszały się nisko po bokach karłowatego rumaka.

- Jeszcze tylko parę wzgórz, Cymmerianinie. Tylko parę. I musisz być gotów na udawanie kupca. Z pewnością w pobliżu obozuje jedno z plemion. Wszystkie po kolei pełnią straż przy Przeklętych Ziemiach.

- To też już mówiłeś.

- Mam nadzieję, że szybko znajdziemy wioskę - wysyczała Yasbet przez zaciśnięte zęby. Niemal stała w strzemionach, ale na widok rozbawienia, które przemknęło przez twarze mężczyzn, szybko usiadła w siodle.

Conanowi udało się zachować powagę.

- W jukach jest maść - zaproponował, nie po raz pierwszy.

- Nie - odparła szorstko i stanowczo, jak wcześniej. - Nie dam się rozpieszczać.

- To nie rozpieszczanie - warknął z rozdrażnieniem. - Każdy może nakładać maść na otartą... skórę.

- Pozwól mu się natrzeć - wyrechotał Sharak. Sam jechał niezdarnie i wyglądał jak kukła z patyków posadzona dla żartu przez dzieci na grzbiecie kucyka. - A jak nie jemu, to mnie.

- Lepiej trzymaj język za zębami, staruszkule - mruknął Akeba. - Widzę, że sam radzisz sobie niewiele lepiej, a mnie błąka się po głowie myśl, iżby wysmarować cię tak, żebyś przez resztę drogi jechał daleko przed nami.

- Doskonale sobie radzisz, kobieto - odezwał się Tamur. Jego pochwała wszystkich zaskoczyła. - Myślałem, że jeszcze przed południem trzeba będzie przywiązać cię w poprzek siodła, ale jesteś twarda jak Hyrkańczyk.

- Dziękuję - powiedziała, śląc gniewne spojrzenie Cymmerianinowi. - Nie było mi wolno... to znaczy, nigdy wcześniej nie jeździłam konno. Chodziłam albo noszono mnie w lektyce. - Opuściła się na siodło i zakłęta pod nosem. Sharak rechotał, dopóki nie dorwał go atak kaszlu. - Tej nocy wysmaruję się maścią - oznajmiła niechętnie - choć nie jestem pewna, czy kuracja nie okaże się gorsza od choroby.

- Dobrze - powiedział Conan. - Inaczej jutro nie będziesz w stanie chodzić, nie mówiąc o... - urwał, gdy znaleźli się na grzbiecie wzgórza. Przed nimi rozpościerało się wielkie półkole jurt. Równinę porastało ponad tysiąc kopulastych filcowych budowli, z dala wyglądały jak szare grzyby. - Oto obóz, o którym mówiłeś, Tamurze. Przypuszczam, że nadszedł czas, aby wcielić się w rolę kupców.

- Czekaj. Może być niebezpiecznie - odparł koczownik. - Są tutaj ze cztery plemiona, nie jedno. Wśród nich może znaleźć się ktoś, kto pamięta, że wbrew zakazowi poprzysięgliśmy Baalshamowi

krwawą zemstę. Jeśli domyśla się, że przywiedliśmy cię, abys złamał tabu Przeklętych Ziem..

Inni Hyrkańczycy skwitowali jego słowa ponurym mrużeniem. Od namiotów w ich stronę pędziło czterdziestu konnych w futrzanych czapach. Groty ich lanc migotały w promieniach słońca.

- Za późno, żeby zawrócić. - Conan trącił piętami boki wierzchowca. - Za mną, i pamiętajcie, że jesteśmy kupcami.

- Za pogwałcenie tabu - mówił Tamur, podążając za Cymmerianinem - żywcem odziera się człeka ze skóry, a później przez wiele dni usuwa się inne organy i członki. W żywe ciało wbija się płonące drzazgi...

- Ze skóry? - wydukał Sharak. - Członki? Płonące drzazgi? Może mimo wszystko powinniśmy zawrócić?

A jednak jechał dalej, podobnie jak wszyscy inni. Yasbet, wyprostowana w siodle, trzymała rękę na mieczu. Akeba niby nieumyślnie garbił się nad łukiem przytroczonym do siodła. Hyrkańczycy jechali wolniej, pomrukując, ale jechali.

Gdy zbliżyli się do jeźdźców, Tamur wzniosł na powitanie prawicę - bez wątpienia również by pokazać, że nie ma zamiaru wyciągać broni.

- Witajcie. Zwę się Tamur i wracam do swoich z za morza. Prowadzę z sobą kupca, Conana.

- Witajcie - powiedział dowódca oddziału, również podnosząc prawą rękę. Krępy i ciemnolicy, miał długie, ociekające tłuszczem wąsy. Podejrzliwie zerknął na Conana spod futrzanej czapy naciągniętej nisko na krzaczaste brwi. - Jestem Zutan. Późna pora na handel.

Conan uśmiechnął się przyjaźnie.

- Dzięki temu nie będę miał konkurencji.

Zutan przez długą chwilę patrzył na niego bez wyrazu, po czym zawrócił konia i ruchem ręki kazał im jechać za sobą.

Przybysze z obozu utworzyli szeregi po obu stronach Conana i jego towarzyszy, prowadząc ich między jurtami na otwartą przestrzeń w środku półksiężyca. Wokół gromadzili się mężczyźni w futrzanych czapach i grubych baranich kożuchach, kobiety w długich wełnianych sukniach, ufarbowanych w kolory tęczy, pod futrzanymi płaszczami z kapturem. Wszystkich mężczyzn otaczał smród zjełczanego tłuszczu i nie dawało się odróżnić podrostka od starca - słońce, mróz i wiatr wygarbowały im skórę na twarzach do tego stopnia, że wiek stał się nieodgadniony. Kobiety prezentowały się zupełnie inaczej. Znajdowały się wśród nich bezzębne staruchy i pomarszczone wiedzmy, ale wszystkie, co do jednej, wydawały się czyste. Wiele z młodszych było na tyle ładnych, że nie przyniosłyby wstydu żadnemu haremu. Ich płynnym krokom towarzyszyło brzęczenie dzwoneczków, uwiązanych wokół kostek pod długimi spódnicami. Niejedna para ciemnych oczu zerkała spod przyczernionych powiek na młodego Cymmerianina.

Conan surowo zabronił sobie patrzenia na uśmiechnięte kobiety. Przybył tu zniszczyć Jhandara, nie zabawiać się z dziewczętami nomadów. Konieczność zabicia ojca, brata, męża czy kochanka też by mu nie pomogła. Ani kłopoty z Yasbet.

Zeskoczył z kudłatego wierzchowca i przysunął się do Tamura.

- Czemu kobiety nie wcierają tłuszczu we włosy?

Tamur wyglądał na wstrząśniętego.

- To męski przywilej, Cymmerianinie. - Potrząsnął głową. - Słuchaj uważnie. Od pewnego czasu chciałem ci coś powiedzieć. Wielu kupców, kiedy znajdują się wśród nas, przyjmuje ten obyczaj. Gdybyś postąpił podobnie, to uwiarygodniłoby twoje kupieckie przebranie. Może też zapuściłbyś wąsy? A mycie, przy którym tak obstajesz, to babski wymysł. Mężczyźni odbiera siłę.

- Pomyślę nad tym. - Conan zauważył, że Akeba przygląda mu się znad siodła z kpiącym uśmiechem na ciemnej twarzy.

- Długie wąsy - powiedział Turańczyk. - I może brodę, jak Muktar.

Conan warknął, ale nim zdążył odpowiedzieć, Yasbet krzyknęła i zaczęła zsuwać się z siodła. Przyskoczył do niej i uratował ją przed upadkiem.

- Co ci doskwiera, dziewczyno?

- Moje nogi, Conanie - jęknęła. - Nie chcą mnie utrzymać. I otarłam sobie... otarłam sobie... - twarz jej pokraśniała - ...skórę - dokończyła szeptem.

- Maść - powiedział, co wywołało kolejny jęk. W otaczającym ich tłumie zapanowało poruszenie. Szybko postawił Yasbet na nogi i położył jej ręce na siodle. - Złap się tego. Musisz przetrzymać.

Dziewczyna z tłumionym szlochem, wplotła palce w gęste runo, a on natychmiast zajął się pilniejszymi sprawami.

Za Zutanem przybliżali się czterej krępi, krzywonodzy starcy. Pomruki tłumu ucichły.

- Przedstawiam wam - wykrzyknął Zutan - kupca imieniem Conan. Wiedz, Conan, że stoisz przed naczelnikami czterech zgromadzonych tu plemion, przed Olotanem, przed Arenzarem, przed Zoanem, przed Sibuyanem. Wiedz, że wszyscy ci ludzie winni są posłuch tylko Wielkiemu Królowi. Wiedz o tym i drżj.

Wśród tych plemion określenie wieku mężczyzny, który przekroczył dwudziesty piąty rok życia, stawało się prawie niemożliwe, ale ci tutaj musieli mieć co najmniej trzy, jeśli nie cztery razy tyle. Ich twarze były nie tyle pomarszczone, ile poryte bruzdami, a skóra kolorem i wyglądem przypominała cholewę buta, prażącego się przez dziesięć lat w pustynnym słońcu. Wysuwające się spod brudnych czap kosmyki włosów i rzadkie wąsy podobne były do wyblakłego pergaminu. Jeden nie miał ani jednego zęba i mamrotał, pokazując dziąsła, a usta pozostałej trójki szpeciły poczerwiałe

pniaki. Jednak ich czarne oczy były twarde i niezmacone wiekiem, i najmniejsze drzenie nie wstrząsało kościstymi rakami wspartymi lekko na jataganach.

Conan wznosił prawą rękę w geście powitania, jak wcześniej Tamur. Zastanawiał się, co przy takich okazjach mówią kupcy. Nie miał pojęcia, ale lepiej nie zwlekać. Zutan zaczął niecierpliwie szarpać wąsy.

- Witajcie. Jestem zaszczycony, mogąc was poznać. Uczciwie będę handlować z waszym ludem.

Starcy patrzyli na niego bez zmrużenia oka. Zutan skubał wąsy z coraz większym podnieceniem.

Co powinienem im powiedzieć? - myślał Conan. Albo co zrobić? Nagle odwrócił się plecami do naczelników i popędził między juczne konie. Zgromadzeni jęli pomrukiwać, a Hyrkańczycy, którzy trzymali postronki juczych zwierząt, popatrzyli na niego wilkiem. W pośpiechu rozwiązał wiklinowy kosz i wyjął cztery szable z rękojeściami z kości słoniowej i hebanu. W ostrza te zmyślny rzemieślnik włożył dużo pracy: najpierw powlekł je pszczelim woskiem, na którym wyrysował konnych myśliwych z łukami, potem zanurzył je w kwasie, a następnie wklepał w powstałe żłobienia srebro, które świeciło w słońcu. Conan zrobił awanturę, kiedy natknął się na te cacka wśród innych towarów - podejrzewał, że Tamur przeznaczył je dla siebie i swoich przyjaciół - ale już i tak zostały zapłacone. Teraz był z nich zadowolony.

Gdy Cymmerianin wrócił z dwiema szablami w każdej ręce, Tamur jęknął:

- Nie te, człowieku z Północy. Wszystkie inne, byle nie te.

Conan stanął przed naczelnikami i lekko się skłonił.

- Raczcie przyjąć te, hmm... skromne dary, jako wyraz, hmm... mojego podziwu.

Chciwość rozbłysła w ciemnych oczach i starcy pochwycili prezenty tak skwapliwie, jakby bali się, że zostaną im odebrane. Przez pewien czas pieścili dłońmi zdobioną stal, nie zwracając uwagi na Conana. Wreszcie naczelnik stojący najbliżej - Conan pomyślał, że to chyba Sibuyan - podniósł głowę.

- Możesz tutaj handlować - oznajmił. Wszyscy razem odwrócili się i odeszli bez jednego słowa, oglądając swoje nowe szable.

Akeba położył rękę na ramieniu Conana.

- Chodź, Cymmerianinie. Kupcy powinni pokazać swoje towary.

- No to je pokaż. Ja muszę iść do Yasbet.

Tłum zacieśnił się wokół koszy, z których wyjmowano dzbany i noże, miecze i płaszcze. Wielu nawet nie obejrzało dobrze futer, kości słoniowej czy złota, a już wykrzykiwali cenę, jaką gotowi byli zapłacić. Ludzie Tamura zaczęli gromadzić konie.

Yasbet, podpierając się rękami, klęczała na twardej ziemi obok swojego wierzchowca. Z przekleństwem na ustach, Conan zerwał płaszcz i rozpostarł go na ziemi. Ułożył dziewczynę twarzą w dół, zdjął owczą skórę z końskiego grzbietu i wsunął jej pod głowę.

- Jak się czujesz? - zapytał. - Nie możesz stać?

- Nie trzeba mi twojej troski - wysyczała z trudem przez zaciśnięte zęby.

- Na Kamienie Hannumana, dziewczyno! Nie o to chodzi. Musisz być zdolna do jazdy, kiedy będzie trzeba ruszyć.

Westchnęła, nie patrząc na niego.

- Nie mogę ani stać, ani jechać konno. Nie mogę nawet siedzieć. - Roześmiała się niewesoło.

- Być może będziemy musieli odjeżdżać w pośpiechu - rzekł powoli. - Mamy wtedy przywiązać cię do siodła? I wcale nie zamierzam z ciebie szydzić.

- Wiem - przyznała cicho. Złapała jego rękę i przytuliła ją do ust. - Należy do ciebie nie tylko moje ciało - wymruczała - ale także serce i dusza. Kocham cię, Conanie z Cymmerii.

Szorstko wyszarpnął rękę i podniósł się pośpiesznie.

- Muszę zajrzeć do innych - mruknął. - Wygodnie ci? Może minąć trochę czasu, zanim postawimy twój namiot.

- Nie mogę narzekać.

Jej słowa były tak ciche, że ledwo je usłyszał. Lekko skinął głową i odszedł do miejsca, gdzie rozłożono towary. Dlaczego kobiety zawsze mówią o miłości, zastanawiał się po drodze. Odrobiną poufałości, a robią to nawet najbardziej zatwardziałe ladacznice; innym wystarcza jeszcze mniej. Potem spodziewają się, że mężczyzna będzie przebierać nogami jak podrostek z mlekiem pod nosem. Albo, co gorsza, wzdychać jak jakiś wierszokleta czy bard.

Obejrzał się na Yasbet. Twarz miała schowaną w owczej skórze, a jej ramiona trzęsły się, jakby wstrząsane szlochem. Bez wątpienia doskwierał jej zadek. Pomrukując gniewnie, przyłączył się do swoich towarzyszy. Sharak skakał od jednej osoby do drugiej, bez przerwy wymachując rękami. Tu wychwalał grudy wosku pszczelego, tam cynowe kubki z Khauranu, ówdzie szyldekretowe grzebienie z Zambouli albo sztuki vendhiańskiego jedwabiu. Akeba z większą powściągliwością pokazywał broń: szable ze znakami Królewskiego Arsenалу w Turanie, sztylety z dalekiej Aquilonii, a nawet szerokie topory bojowe ze Stygii. Tamur i jego ludzie kucali z boku, przekazując sobie gliniane dzbany z piwem, jakie dostali od koczujących tu ludzi.

Conan przechadzał się między towarami, przystając od czasu do czasu, aby posłuchać Akeby czy Sharaka. Kiwał głową, jakby pochwalając wszystko, co się tu działo. Po kupcu, który miał dwóch ludzi do pomocy, nikt nie mógł spodziewać się niczego więcej.

Targowano się z ożywieniem, ale Conan zaczął już wypadać z roli kupca. Coraz częściej myślał o ugaszeniu pragnienia. To wtedy zauważył kobietę.

W średnim wieku, a jednak nadal piękna i postawna, miała strzeliste piersi, ogromne ciemne oczy i pełne czerwone usta. Jej niebieski płaszcz z futrzaną lamówką utkany został z delikatnej wełny, a zieloną spódnicę przystrajały romby błękitnego jedwabiu. Nosila naszyjnik ze złotych ogniwek, nie z połączonego mosiądzu; broszkę, która spinała płaszcz, ozdobił wielki szmaragd; bransolety na rękach składały się z ametystów. Nie patrzyła ani na pachnidła, ani na złocone świece zachwalane przez Sharaka. Jej spojrzenie pełne zainteresowania nawet na chwilę nie opuszczało muskularnego Cymmerianina. Spojrzenie.

Conan osądził, że nieznajoma musi być kobietą kogoś zamożnego, może nawet naczelnika. Z tego względu zaliczała się do grupy, której tutaj powinien unikać bardziej od innych. Przybrał poważny wyraz twarzy, żeby jakiegoś przypadkowego uśmiechu nie odebrała jajco zachęty, i z wielkim przejęciem ją oglądać dobra rozłożone na pobliskim kocu.

Za jego plecami rozbrzmiał niski kobiecy głos.

- Jesteś młody jak na kupca.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z nieznajomą.

- Jestem dość stary - odparł bezbarwnym tonem. Był drażliwy na punkcie wieku, zwłaszcza gdy uwagę zwracała mu kobieta.

W jej uśmiechu ujrzał odrobinę drwiny, ale także coś innego.

- Ale mimo wszystko jesteś młody.

- Wiek męski musi się kiedyś zaczynać. Chcesz coś kupić?

- Myślałam, że będziesz pokazywać miecze i włócznie mężczyznom, młodzieńcze. - Jej oczy pieszczotliwie przesunęły się po jego szerokich ramionach, niczym palce przebiegły po kaftanie napinającym się na potężnej klatce piersiowej.

- Może proszek do czernienia powiek? - Chwycił z koca błękitny dzbanuszek i wyciągnął w jej stronę. Przeszukiwał wzrokiem tłum, wypatrując mężczyzny, który w nieprzyjazny sposób zainteresuje się ich rozmową. Ta kobieta nawet gdy zostanie babką będzie mieć swojego stróża.

- Podziwiany miecz na twoim biodrze. Nie wyglądasz mi na kupca, tylko... - jakby z namysłem podniosła palec do ust - na wojownika.

- Jestem kupcem - zaznaczył z naciskiem. - Jeśli nie proszek, to może pachnidło?

- Nic mi nie trzeba - odparła z rozbawieniem w oczach. Przynajmniej na razie. Później będę chciała coś od ciebie, kupcze. - Odwróciła się i jeszcze raz zerknęła przez ramię. Jej śmiech, niski i melodyjny, nadal rozbrzmiewał w powietrzu, gdy zniknęła w tłumie.



Dzbanuszek pękł z ostrym trzaskiem w dłoni Conana.

- Bodaj Erlik porwał wszystkie kobiety - wymruczał i otrzepał z ręki pokryte glazurą skorupy. Na zapach jaśminu, który otoczył go jak chmura, nie mógł nic poradzić.

Powarkując z niezadowolenia, podjął przechadzkę między kocami. Od czasu do czasu mężczyźni marszczyli nosy i rzucali mu zdziwione spojrzenia, a kobiety popatrywały na niego z uśmiechem. Za każdym razem spiesznie odchodził w inną stronę, mamrocząc coraz bardziej siarczyste przekleństwa. Kąpiel, zdecydował. Kiedy urządzi obóz, zażyje kąpeli i niech Mitra przeklnie wszystkich Hyrkanian, jeśli uznają to za niemęskie.

## XIX

Przez cały dzień trwał ożywiony handel i wymiana towarów z Zachodu na dobra złupione karawanom ze Wschodu. Gdy zmierzch przesycił powietrze purpurą, pojawił się Zutan. Na jego widok współplemieńcy zaczęli odchodzić do jurt.

- Pokażę wam miejsce do spania - oświadczył Hyrkańczyk. - Chodźcie. - Ruszył krokiem człowieka, który bardziej przyzwyczajony jest do jazdy na końskim grzbiecie niż do chodzenia na własnych nogach.

Conan zostawił innym spakowanie towarów, a sam zgarnął Yasbet w ramiona. Wyczerpana, spała snem tak głębokim, że nawet nie drgnęła, gdy niósł ją za Zutanem do miejsca oddalonego o pełne trzysta kroków od jurt.

- Tutaj śpicie - oznajmił koczownik. - I pamiętajcie, że oddalanie się od ognisk po zmroku jest niebezpieczne. Wartownicy was nie znają i mogłaby spotkać was krzywda. - Ta myśl chyba nie sprawiła mu bólu. Wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że kupcy są może potrzebni, ale nie zasługują ani na gościnę, ani na zaufanie.

Conan zignorował go - to było lepsze od zadawania śmierci, choć sprawiało dużo mniejszą satysfakcję - i rozkazał rozbić namiot Yasbet. Gdy tylko wbito paliki i naciągnięto sznury, wniósł ją do środka. Mruczała przez sen, gdy zdejmował z niej odzienie i otulał ją kocami.

Może sen przyniesie jej ulgę, pomyślał. Skrzywił nos, czując intensywny zapach jaśminu, który zaczynał wypełniać namiot. Jemu sen nie pomoże.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, Zutana już nie było. Niebo ciemniało z chwili na chwilę i wokół ognisk z suszonego łąjna rozplływały się kałuże światła. Jurty równie dobrze mogły stać pół świata dalej - ogniska i lampy płonęły pod osłoną grubego filcu i rozległe obozowisko spowijała nieprzenikniona ciemność. Konie stały przywiązane do konowiazu w pobliżu koszy, które majaczyły w mroku jak niewyraźne pagórki.

Conan ruszył prosto w ich stronę i przetrząsał je, dopóki nie znalazł kawałka szorstkiego mydła. Wrzucił je do sakiewki, zabrał dwa worki z wodą i pomaszerował w noc.

Po powrocie zalatywał ługiem, ale tym już się nie przejmował. Ledwo powstrzymywał się od szczekania zębami; mycie się na zimnym wietrze, bezlitośnie smagającym równinę, nie należało do przyjemności.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu, na którym bulgotał kociołek gęstego gulaszu, i przyjął od Sharaka rogową łyżkę i pełną po brzegi glinianą miskę.

- Nie jestem pewien, czy ług pasuje do jaśminu - powiedział Akeba, głośno wciągając powietrze.

- Jaśmin to śliczny zapach - zarechotał Sharak. - Jesteś odrobinę za duży na tancerkę, Cymmerianinie, ale coś mi się wydaje, że pierwszy wybór był lepszy.

Tamur ze śmiechu zakrztusił się gulaszem.

Conan podniósł prawą rękę i powoli zwinął ją w potężną pięść. Zacisnął ją z taką siłą, że aż strzeliły mu stawy.

- Ja nic nie czuję. - Kolejno omiółł wszystkich trzech wyzywającym spojrzeniem. - A wy?

Akeba, wstrząsany śmiechem, rozłożył ręce i pokręcił głową.

- To całe mycie nie wyjdzie ci na dobre - powiedział Tamur, a gdy Conan zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, szybko dodał: - Ale nic nie czuję. Jesteś porywczym człowiekiem, Cymmerianinie, skoro w ten sposób reagujesz na przyjacielskie żarty.

- Pogadajmy o czymś innym - zaproponował zimno Conan.

Sharak przerwał długą chwilę ciszy.

- Handel. Porozmawiajmy o handlu, Conanie. Nie dziwota, że kupcy są bogaci. Dzisiaj utargowaliśmy tyle, że w Aghrapurze dostaniemy co najmniej trzysta sztuk złota, choć zostały jeszcze dwie trzecie towarów. Może powinniśmy zrezygnować z poszukiwania przygód i zostać prawdziwymi kupcami. Moim zdaniem to byłoby przyjemne.

- Przybyliśmy tutaj w sprawie ważniejszej niż złoto - warknął Conan. Odstawił miskę; nagle głód go opuścił. - Wiecie, że byliśmy śledzeni od samego wybrzeża?

Tamur poderwał głowę.

- Przez Baotana? Pomyślałem, że ma chrapkę na więcej niż dostał za konie.

- Oglądałeś się często - wtrącił z zadumą Akeba - ale nic nie mówiłeś. A ja nikogo nie widziałem.

Conan potrząsnął głową. Starannie dobierał słowa, wreszcie powiedział:

- Ja też nikogo nie widziałem. A jednak ktoś nas tropił. Ktoś albo coś. Miałem wrażenie, że... to nie ludzie.

Sharak zaśmiał się drżaco.

- Jeśli Jhandar, Baalsham czy też jakkolwiek inaczej się nazywa, przybył za nami na te pustkowia, to zastanowię się nad podróżą do Khitai. Albo i dalej, jeśli tylko istnieje jakieś dalej.

- Baalsham jest człowiekiem - powiedział Tamur. Nerwowo omiótł wzrokiem otaczający ich mrok i przysunął się bliżej ognia. - Ale duchy... - podjął szeptem. - Jeśli posłał za nami martwych...

Z ciemności dobiegło stąpanie. Conan zerwał się z mieczem w ręku. Z zadowoleniem stwierdził, że inni też wyciągnęli broń. Nawet stary astrolog trzymał w drżących dłoniach laskę jak włócznię.

Zutan wstąpił w krąg światła i zatrzymał się, patrząc na obnażoną stal.

Conan schował broń i chrząknął znacząco.

- Niebezpiecznie jest oddalać się od ogniska po zmroku. Hyrkańczyk ze złością poruszył wąsami, ale powiedział tylko:

- Samarra chce cię widzieć, Conan.

- Samarra! - zawołał z przejęciem Tamur. - Jest tutaj?

- Kim ona jest? - zapytał Conan. - Może ja nie chcę jej widzieć.

- Nie, Conanie - zaproponował Tamur. - Musisz. Samarra jest potężną szamanką. Bardzo potężną.

- Szamanka - parsknął Sharak. - Kobiety nie powinny parać się takimi rzeczami.

- Bacz na język, starcze - warknął Tamur - inaczej możesz stwierdzić, że twoje przyrodzenie obróciło się w pył albo kości w wodę. Mówię, że jest potężna. - Odwrócił się plecami do Zutana i pokazał Conanowi paskudnie wykrzywioną twarz.

Młody Cymmerianin popatrzył na niego z powątpiewaniem, zastanawiając się, czy tylko strach przed tą kobietą wytrącił go z równowagi.

- Po co Samarra chce się ze mną widzieć? - zapytał.

- Samarra nie podaje powodów - odparł Zutan. - Wzywa, a wezwani przychodzą. Nawet wodzowie.

- Pójdę do niej.

Tamur jęknął głośno, gdy Conan i Zutan zniknęli w ciemności.

W milczeniu szli do jurty. Nomada nie chciał się zniżać do rozmowy z kupcem, a Conan miał własne problemy. Czemu ta Samarra chciała z nim mówić? Za sprawą czarodziejskiej sztuki mogła poznać prawdziwy powód jego obecności w Hyrkanii, ale pod warunkiem, że właśnie na tym jej zależało. Z doświadczenia wiedział, że takie rzeczy nie ujawniały się przypadkowo i że niczego nie szukano na chybił trafił. Wiedza miała swoją cenę i choć spotykał się z czarami i magią w wielu postaciach, wiedział, że praktyki te nigdy nie są wykorzystywane wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości.

Gdyby ta Samarra była mężczyzną, mógłby spróbować się wytłumaczyć, a gdyby się nie powiodło, zabić. Zabijanie kobiety to czyn nie w jego stylu.

Zagubiony w myślach, drgnął, kiedy jego przewodnik zatrzymał się przed wielką jurtą i ruchem dłoni wskazał mu wejście. Drewniana konstrukcja obciążona filcem miała nie mniej niż dwadzieścia kroków średnicy i mogłaby należeć co najmniej do naczelnika. Z drugiej strony, myślał, mieszkanie szamanki, która może wzywać do siebie naczelników, z pewnością musi być równie okazałe. Nie patrząc na Zutana, odsunął kotarę przysłaniającą wejście i wszedł do jurty.

Znalazł się w wielkiej komnacie, której ściany tworzyły brokatowe zasłony. Ziemię zaścielały wielobarwne egzotyczne kobierce, usiane jedwabnymi poduszkami. Na żerdziach szkieletu dachu wisiały na złotych łańcuchach złoczone lampy, a w wielkim koszu z brązu żarzył się węgiel drzewny, dostarczając ciepła.

Tyle zdążył zauważyć, zanim jego uwagę zaprzętnęło osiem dziewcząt, które wysunęły się zza kotar. Jedne były smukłe, drugie przy kości, a odcienie ich skóry przechodziły od bladości, zdradzającej aquilońskie pochodzenie, przez hyrkański brąz po żółtawe tony starej kości słoniowej. Pozłacane dzwoneczki, dźwięczące przy ich kostkach, gdy otaczały go ze śmiechem, stanowiły cały strój.

Krągłe piersi i pośladki zapełniły mu pole widzenia, gdy dziewczęta nakłaniały go do zajęcia miejsca na poduszkach przed koszem. Spowijał je uderzający do głowy różany zapach.

Gdy tylko usiadł, dwie dziewczyny wybiegły i wróciły z wilgotnymi szmatkami, którymi przetarły mu twarz i ręce. Inna ustawiła przy jego boku srebrną tacę z daktylami i suszonymi morelami, czwarta zaś naląła wina z kryształowej karafki do kielicha z kutego złota.

Komnatę wypełniła muzyka fletów i cytr; pozostałe dziewczęta usiadły ze skrzyżowanymi nogami i grały na instrumentach. Te cztery, które mu usługiwały, zaczęły tańczyć.

- Gdzie jest Samarra? - zapytał. - No? Odpowiedzcie! Gdzie ona jest?

Tancerki wirowały w takt upojnej muzyki. Żadna nie odpowiedziała.

Podniósł kielich do ust, ale odstawił nietknięty. W winie mogły być jakieś silne proszki; założyłby się, że ta szamanka znała się na takich rzeczach. Lepiej nie pić i nie jeść, dopóki nie opuści namiotu Samarry. I lepiej nie przyglądać się dziewczętom zbyt uważnie. Może szamanka miała powody, żeby zaprzętnąć czymś jego uwagę. Starał się omijać wzrokiem dziewczęta i z ręką na mieczu uważnie

obserwował zasłony.

Wbrew silnemu postanowieniu oczy nie chciały go słuchać. Jakby same przyłgnęły do tancerek, które skakały z wdziękiem gazeli, szeroko rozkładając nogi w powietrzu, a potem turlały się po kobiercach, kręcąc ponętnie biodrami. Pot zrosił mu czoło i Conan zastanawiał się, czy w jurcie nie jest aby za gorąco od ognia płonącego w koszu. Jeśli ta Samarra będzie zwlekać z przyjściem, lada chwila może zapomnieć, że jest w gościnie. Dziewczęta też mogły mieć ochotę rozerwać się z młodym przybyszem z Północy.

Ostre, krótkie klaśnięcie zagłuszyło muzykę. Dziewczęta natychmiast przestały grać i tańczyć i śmignęły za zasłony. Uśmiech na twarzy Conana zgasł w tej samej chwili. Jego ręka wróciła do miecza i szybko poderwał się z poduszek. Kotary rozsunęły się i w komnacie pojawiła się kobieta, która wcześniej wystawiła go na pośmiewisko. Nie miała płaszcza; jej ramiona okrywały miękkie fale długich włosów, czarnych jak sama noc. Długa suknia podkreślała krągłości jej figury.

- Ja wolę tańczących młodzieńców - powiedziała - ale nie sądzę, żebyś podzielał moje upodobania.

- To ty? - zapytał z niedowierzaniem Conan. - Ty jesteś Samarra?

Roześmiała się gardłowo.

- Jesteś rozczarowany, że nie jestem staruchą z haczykowatym nosem i brodawkami? Wolę być taka, jaka jestem, dopóki pozwoli mi na to magia połączona z kobiecymi sztuczkami. - Wygładziła suknię na łonie, napięła ją na pełnych, krągłych piersiach. - Niektórzy mówią, że nadal jestem piękna. - Delikatnie zwilżyła usta, przysunęła się do niego. - A ty jak myślisz?

Ta kobieta nie potrzebuje czarów, żeby zawiązać mężczyznę, pomyślał Conan. Piżmo z jej perfum uderzało mu do głowy. Nie stosowała żadnych wyszukanych sztuczek, a jednak działała na niego bardziej od innych kobiet. Krew wzburzyła mu się w żyłach, a w gardle zaschło z pożądania.

- Czemu po mnie posłałaś? - zapytał z pewnym trudem.

Jej ciemne oczy przesunęły się leniwie po jego twarzy, po szerokich ramionach i masywnej klatce piersiowej. Ta pieśczoła była bardziej zmysłowa od fizycznego kontaktu.

Samarra rozděła nozdrza.

- Zmyłeś zapach jaśminu - powiedziała z odrobiną drwiącego rozczarowania. - Hyrkańskie kobiety przyzwyczajone są do mężczyzn, którzy pachną potem, koniem i łojem. Jaśmin mógł ci zaskarbić wiele przychylnych spojrzeń. Ale i bez niego jesteś wyjątkowy. Twoje mięśnie, wzrost i jasna skóra budzą duże zainteresowanie. I oczy. - Jej smukłe palce zatrzymały się o włos od jego twarzy, prze - mknęły tuż nad policzkiem. - Mają barwę nieba - wyszeptala - i są równie zmienne jak ono. Wiosenne niebo po deszczu, niebo jesiennego poranka. A kiedy wpadasz w złość, niebo błyskawic i burzy. Egzotyczny olbrzym. Gdybyś tylko miał ochotę, mógłbyś wybierać z połowy kobiet w tym obozie, może po trzy czy cztery na raz.

Ze złością otoczył ją ramieniem, poderwał z ziemi, przycisnął do piersi. Wolną rękę wplątał w jej włosy. W jego oczach rzeczywiście było coś z burzy.

- Wyśmiewanie się ze mnie to niebezpieczna zabawa - powiedział. - Nawet dla czarodziejki.

Patrzyła na niego niewzruszenie, z tajemniczym uśmiechem błakającym się na ustach.

- Kiedy zamierzasz wejść na Ziemię Przeklętą, cudzoziemcze?

Mimowolnie zacisnął ręce, aż sapnęła i bólu. Teraz w jego oczach nie pozostało nic z nieba - była w nich raczej stal i lód.

- Wybrałaś złą porę na uprawianie swoich czarów, kobieto.

- Jestem na twojej łasce. - Z westchnieniem, które świadczyło o zadowoleniu, przekreśliły się w jego objęciach, wsparła piersi o twarde tors. - Mógłbyś jedną ręką skrócić mi kark albo złamać kręgosłup jak patyk. W takiej pozycji nie mogę rzucić żadnego czaru.

- Myślę, że jesteś bezbronna jak tygrysica - powiedział oschle. Postawił ją na kobiercu, a w jej oczach, gdy poprawiała włosy, błysnęła iskierka rozczarowania. - Mów, kobieto. Jakie podejrzenia sprawiły, że zaczęłaś w magii szukać powodów mojego przybycia?

- Nie musiałam uciekać się do magii, wystarczyło pomyśleć - odparła ze śmiechem. - Przybyłeś w towarzystwie Tamura i innych. Jak mi wiadomo, udali się oni na drugą stronę Vilayetu, żeby odszukać i zabić Baalshama. Znam dobrze koszmar tamtych dni; byłam wśród tych, którzy zamykali Ziemię Przeklętą.

Conan zrozumiał teraz, dlaczego Tamur był taki wzburzony, kiedy usłyszał jej mię.

- A może, pragnąc handlować w Hyrkaniu, tylko przyjąłem Tamura do służby?

- Nie, Conanie. Tamurtna wiele wad, ale jest człowiekiem honoru. Wraz z innymi przysięgł złamać zakaz i pomścić na Baalshamie przelaną krew. To, że z tobą wrócili, oznacza po prostu, iż zamierzają odnieść sukces na Ziemiach Przeklętych. Wiedzą, że pogwałcenie tabu oznacza śmierć dla każdego z hyrkańskiej krwi, dlatego znaleźli obcego do wykonania zadania.

- Dlaczego zatem nie walczę o życie przeciwko twoim wojownikom?

Odpowiedziała powoli, głosem pełnym napięcia, jakby jej słowa kryły w sobie coś poza oczywistym znaczeniem. Jak gdyby wypowiadając je narażała się na niebezpieczeństwo, którego należy unikać.

- Kiedy wzniesiono bariery, tylko ja wśród szamanów byłam przekonana, że to nie wystarczy. Opowiadałam się za ściganiem Baalshama i zniszczeniem go, bo wiedziałam, że jeśli uda mu się ustanowić rządy zła gdzieś indziej, to i tak kiedyś wróci ono do nas. Inni, bojąc się kolejnej konfrontacji z magiem, zmusili mnie... - urwała.

- Zmusili cię do czego? - przynaglił ją chrapliwie. - Do złożenia przysięgi?

- Tak - przyznała, energicznie kiwając głową. - Do złożenia przysięgi. Jeśli złamię dane słowo, następnego dnia rano znajdę się w jurcie najbardziej odrażającego człowieka, i będę szorować garnki, niezdolna do wyleczenia magią bólu zęba ani do myślenia o niczym prócz bezwzględnego posłuszeństwa. Wielu obrusza się na fakt, że istnieje pokolenie kobiet używających mocy, i byliby zadowoleni widząc, jak linia gaśnie wraz ze mną. - Ponownie zamilkła, ale jej oczy wyraźnie błagały, żeby nie rezygnował z wypytywania.

- Co wstrzymuje ci język, kobieto? Jaka przysięgę złożyłaś?

- Zaznajomienie cię ze wszystkim zajęłoby dużo czasu - westchnęła. Napięcie opuściło jej twarz. - Przede wszystkim, o ile nie zostanę zapytana, nie wolno mi z nikim rozmawiać o przysiędze, a nie wolno pytać nikomu z Hyrkańczyków oprócz tych, którzy jak ja pilnują Strażników ustawionych wokół Przeklętych Ziem. Czasami jeden czy drugi z nich lubi ze mnie poszydzić.

- W takim razie musisz podstępem nakłonić mnie do pytania - mruknął Conan.

- Dokładnie. Co do reszty, nie mogę prosić żadnego Hyrkańczyka o wejście na Ziemię Przekłętą ani o działanie przeciwko Baalshamowi, nie wolno mi też szukać człowieka, który gotów byłby zrobić te rzeczy.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Cymmerianina.

- Ale gdyby ktoś, kto nie jest Hyrkańczykiem, znalazł ciebie...

- ...wówczas mogłabym mu pomóc. Ale musi być właściwym człowiekiem, cudzoziemcem. Nie zaryzykuję porażki. - Skrzywiła usta, jakby poczuła w nich coś gorzkiego. - Anator, ten odrażający, podobny do ropuchy osobnik, o którym mówiłam, tylko czeka, żeby dostać mnie w swoje ręce. Zaryzykowałabym śmierć, gdyby przyszło mi spędzić życie z nim do późnej starości.

- Ale pomożesz mi? - zapytał, marszcząc czoło.

- Jeśli jesteś właściwym człowiekiem. Muszą zasięgnąć rady Ognia, który Płonie Wstecz Czasu. A do tego potrzebny mi kosmyk twoich włosów.

Conan cofnął się mimo woli. Włosy, ślina, paznokcie mogły zostać wykorzystane w magii do uzyskania władzy nad tym, od kogo pochodziły.

- Myślisz, że potrzebna mi magia, aby przywiązać cię do siebie? - roześmiała się Samarra, frywolnie kołysząc biodrami.

- No to je weź - powiedział. Skrzywił się, gdy wyjęła złoty nożyk i zręcznie wycięła kosmyk włosów na skroni.

Potem szybko otworzyła kilka skrzynek ustawionych przy kotarze i wyjęła potrzebne przybory. Utarła włosy w moździerz, następnie kościaną pałeczką wymieszała je w prostej misce z kości

słoniowej z zawartością dziesięciu różnych kapsulek - były to cuchnące proszki w jadowitych odcieniach i płyny, które wrzały i bulgotały. Postawiła na trójnogu mały złoty koszyk z węglami, wypełniła go popiołami i wygładziła je kościaną pałeczką. Mruczając słowa niezrozumiałe dla Conana, wylała zawartość miski na zimny popiół i odstawiła puste naczynie.

Jej głos wznosił się, dopóki nie zaczął przeszywać uszu niczym rozgrzane do czerwoności igły. Dziwne płomienie wzniosły się z popiołu, niebieskie, nie pełgające jak zwyczajny ogień, ale przetaczające się ospale jak fale na spokojnym morzu. Nienaturalny ogień piał się wraz ze słowami, aż sięgnął poziomu ramienia stojącego mężczyzny. Samarra, cały czas wypowiadając zaklęcia, szeroko otworzyła oczy i bez zmrużenia powiek wpatrywała się w płomienie. Na brzegach złotego naczynia zebrał się szron.

W komnacie pociemniało. Migocące lampy i żarzący się węgiel przygasły, jakby onieśmielone obecnością nadprzyrodzonych płomieni albo też przez nie zduszone. Cymmerianin zdał sobie sprawę, że wbija paznokcie w dłonie. Zaklął i rozprostował ręce - Widywał czary już wcześniej, czary skierowane przeciwko niemu, potężne i złowrogie. Nie da się zastraszyć byle płomieniom.

Nagle Samarra przestała śpiewać. Conan zamrugał, patrząc na złotą tackę; na wpół spalone kawałki drewna spoczywały w popiele, którego było dużo mniej niż na początku. Samarra zakryła kosz złotą pokrywą, zamykając niebieski ogień.

Patrzyła na kosz przez długi czas, zanim odwróciła się do Conana.

- Jeśli wejdiesz na Ziemię Przeklętą, umrą dziesiątki ludzi - powiedziała bezdźwięcznie. - Wśród nich może i Baalsham. I może ty sam. Niewykluczone, że twoje kości rozwłócą zwyrodniałe stwory, które zostały uwięzione w tym przeklętym miejscu.

- Może? - zapytał. - Co to za wróżenie? Nawet Sharak nie robi takich ceregieli z czytaniem w gwiazdach.

- Ogień pokazuje wiele rzeczy, jakie mogą nastąpić. O tym, co się wydarzy, decydują ludzie. Przyszłość jest jak sznur, a każda decyzja jest węzłem, z którego rozchodzą się odnogi w dwóch albo i nawet dziesięciu kierunkach, W miarę upływu czasu liczba tych odgałęzień jest nie do policzenia. Powiem ci jedno: jeśli wejdiesz, ty, Baalsham albo obaj spojrzycie w oczy sługom Erlika. Ale jeśli nie wejdiesz, czeka cię pewną śmierć. Sprawdzalam sto razy w nadziei, że znajdę dla ciebie sposób ucieczki, i sto razy widziałam jak umierasz, za każdym razem w sposób gorszy od poprzedniego. Jednakże jeśli nie wejdiesz, nie skończy się na twojej śmierci. Dziesiątki dziesiątków tysięcy zginą, walcząc z rozprzestrzeniającym się złem Baalshama, a każdego dnia setki następnych pójdą na śmierć zniewolone jego czarami. Królowie i królowe pełzać będą na brzuchach u jego stóp, oddając mu cześć, a ziemię spowije ciemność jakiej nie było od wielu tysięcy lat, od czasów kresu dni przeklętego Acheronu.

Conan roześmiał się bez śladu wesołości.

- W takim razie wydaje się, że muszę spróbować uratować świat czy chcę, czy też nie chcę. - Wyjął miecz z pochwy i uważnie obejrzał ostrze. - Gdybym musiał położyć swoje życie na szalę,



szansę nie poprawią się od czekania. Od razu pójdę do tych Ziemi Przeklętych.

- Nie - sprzeciwiła się ostro. Conan otworzył usta, ale ona nie dała mu dojść do słowa. - Najlepsza jest noc, to prawda, lecz nie dzisiejsza. Pomyśl o dziewczynie, która jest z tobą. Po powrocie musisz natychmiast odjechać, szamani bowiem przydali mi Strażnika i wkrótce będą wiedzieć, co się wydarzyło. Tymczasem dziewczyna nie może stać, nie wspominając o siedzeniu w siodle.

- Zatem przytroczę ją do końskiego grzbietu - odparł szorstko. Już narastał w nim bojowy gniew. Jeśli tej nocy czeka go śmierć, nie odda życia bez walki.

- Gdybyś pozwolił sprowadzić ją tutaj, w jeden dzień uleczyłabym jej otarcia. Byłaby zdolna do jazdy do jutra wieczorem. - Samarra uśmiechnęła się. - Wiele kobiet prosiło mnie, żebym ulżyła im w bólu krzyża, ale po raz pierwszy użyje swoich mocy do tak... niskiego celu.

- Im dłużej czekam, tym większe ryzyko, że ktoś inny przypomni sobie Tamura.

- Nie możesz jednak wejść na Ziemi Przekłete bez pomocy: Bariera Zewnętrzny Kręgu zabija tylko tych z hyrkańskiej krwi, ale Wewnętrzny Krąg, który musisz przekroczyć, jeśli chcesz znaleźć to, czego szukasz, niszczy wszystko, co żyje. Muszę ci dać specjalne proszki i nauczyć cię zaklęć, jeśli masz przeżyć.

- Zatem daj mi je - zażądał.

W odpowiedzi rozwiązała jedwabną szarfę i odrzuciła ją na bok.

- Żaden Hyrkańczyk - powiedziała, patrząc mu w oczy - nie patrzy na szamankę jak na kobietę. Mam niewolników, młodych mężczyzn, pełnych wigoru, ale też i strachu. - Zaczęła rozpinąć srebrne spinki, które łączyły jej odzienie. - Dotykają mnie, bo każą, ale robią to tak, jakbym mogła się stłuc. Boją się, że zrobią mi krzywdę albo mnie rozzłoszczą. Dopóki ty nie wzięłeś mnie w ramiona, żaden mężczyzna w całym moim życiu nie dał mi rozkoszy, jaką niesie nieco szorstka pieśczoła. Nie mogę dłużej czekać.

Długa spódnica zsunęła się na kobierzec i Samarra stanęła naga, prezentując swe powabne ciało. Rozstawiła stopy i patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach, z pięściami na biodrach, z ramionami odrzuconymi w tył, przez co piersi wydawały się jeszcze pełniejsze.

- Oto cena za moją pomoc. Jeśli to czyni mnie sprzedajną, cóż, to coś, czego nigdy nie doświadczyłam. A chcę doświadczyć wszystkiego, co mogą robić mężczyzna i kobieta. Wszystkiego, Conanie.

Conan upuścił miecz na ziemię. Bitewny zapach, który burzył mu krew, przeistoczył się w żar innego rodzaju.

- Pójdę jutro w nocy - rzucił chrapliwie i chwycił ją w ramiona.

## XX

Wczesnym rankiem Conan wysłał gońca z wiadomością, żeby Akeba tego dnia dopilnował handlu. Wkrótce do jurty szamanki dwaj niewolnicy przynieśli Yasbet. Szamanka, zaczerwieniona, poderwała się z posłania, spieszenie okrywając nagość jedwabną szatą. Niewolnicy popatrzyli na Conana ze źle skrywaną zazdrością.

- Conanie, po co mnie tu przynieśli? - Yasbet prawie płakała. Leżała na noszach na brzuchu i krzywiła się przy każdym poruszeniu. - Boli mnie, Conanie.

- Już niedługo - obiecał jej łagodnym tonem. - Samarra cię wyleczy.

Szamanka, nadal zarumieniona, poprowadziła niewolników z noszami do innej części jurty. Wróciła, zanim połowa piasku przesypała się w klepsydrze. Conan leżał rozpostarty na jedwabnych poduszkach, ciesząc się towarzystwem dzbana z winem.

- Dałam jej też zioła nasenne - wyjaśniła. - Czar natychmiast usunie ból, ale dziewczyna potrzebuje odpoczynku, a jest on najlepszy, gdy magia nie ma z nim nic wspólnego. Gdybym ulżyła jej w zmęczeniu, później zapłaciłaby za to po dziesięćkroć. Moce zawsze żądają zapłaty.

Stała po drugiej stronie komnaty, pocierając ręce jakby w zdenerwowaniu. Przywołał ją do siebie.

- Chodź tu i usiądź, Samarro. Nie każ mi pełnić roli gospodarza pod swoim własnym dachem.

Wahała się przez chwilę, potem uklękła z wdziękiem obok niego.

- Powiedziałam, że pragnę doświadczyć wszystkiego - mruknęła żałośnie - ale nie chodziło mi o to, by moi niewolnicy widzieli mnie nagą i otumanioną żądzą. Nie wspominając o kobiecie mężczyzny, z którym leżałam. Czułam się nieswojo, gdy twoja kochanka znalazła się ledwie parę kroków dalej.

Conan był zdumiony jej skrupułami.

- Nie wyrządzi jej krzywdy to, o czym się nie dowie - zapewnił, zsuwając szatę z gładkich ramion Samarry.

Trzepnęła go w rękę.

- Czy wszystkie kobiety są dla ciebie zabawką na noc i niczym więcej?

- Kobiety są muzyką i pięknem, i rozkoszą ubraną w ciało. - Wyciągnął ku niej ramiona, lecz ona odtrąciła je z westchnieniem. - Może pewnego dnia spotkam kobietę, którą zapragnę pojąć za żonę. Póki co, kocham was wszystkie, ale nie udaję przed żadną, że jest dla mnie czymś więcej. No, jesteś już gotowa do zdjęcia tej szaty?

- Krzepki z ciebie mężczyzna. - Spróbowała się przeciągnąć i grymas wykrzywił jej rysy. - Mnie też przydałyby się okłady. Jestem niemal tak obolała, jak ta biedna dziewczyna.

- W takim razie wracam do Akeby i pozostałych - oświadczył, podnosząc się z poduszek.

- Nie! - zawołała. Szybkimi ruchami zdarła z siebie szatę, uklękła i objęła jego nogi. - Proszę, Conanie. Zostań. Gdy będzie trzeba, zatrzymam... zatrzymam cię tutaj siłą.

- Siłą? - powtórzył z uśmiechem.

Z determinacją pokiwała głową. On roześmiał się i pozwolił, by przewróciła go na poduszki.

Dwa obroty klepsydry po zachodzie słońca był gotów do drogi. Zajrzał na chwilę do Yasbet. Dziewczyna spała naturalnym snem; wywar przestał działać. Musnął palcami jej policzek, a ona uśmiechnęła się przez sen.

Kiedy wrócił do większej komnaty, Samarra włożyła już suknię i przybrała poważną minę.

- Masz proszek? - zapytała. - Musisz bardzo uważać, żeby go nie zgubić.

- Jest tutaj - odparł, dotykając sakiewki, która wisiała mu u pasa, wraz z mieczem i sztyletem. Były w niej dwa małe skórzane mieszki, zawierające starannie odmierzone miarki proszku do osłabienia bariery Wewnętrznego Kręgu: jedna porcja na wejście, druga na wyjście.

- Zakłęcie. Pamiętasz zakłęcie?

- Pamiętam. Nie martw się.

Chciał ją objąć, ale cofnęła się poza zasięg jego ramion. Jej twarz wyglądała jak maska.

- Niechaj bogowie będą z tobą, Conanie. - Westchnęła i dodała szeptem: - I z nami wszystkimi.

Stal bywa pomocniejsza niż bogowie, pomyślał Conan, gdy odchodził w noc. Księżyc świecił jasno na bezchmurnym niebie, zalewając okolicę bladą poświatą i wypełniając obóz cieniami. Obozowisko wyglądało jak cmentarz. Wokół nie było widać żywego ducha i nawet psy kulili się przy samych jurtach. Nie próbowały ujadać; podnosiły łby i skamlały strachliwie, kiedy je mijał. Conan zebrał ciaśniej poły płaszcza w obronie przed zimnym wiatrem i chłodem.

Akeba, Sharak i Tamur czekali, jak było uzgodnione, na wschód od półksiężyca jurt. Inni Hyrkańczycy pozostali w małym obozie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Konie też zostawili - stukot kopyt w nocy mógł przyciągnąć uwagę kogoś nieproszonego.

Tamur rozejrzał się niespokojnie i wyszeptał:

- Ona nie idzie, prawda?

- Nie - powiedział. Tamur odetchnął z ulgą. - Miejmy to wreszcie za sobą. Tamur, prowadzisz.

Hyrkańczyk ruszył niechętnie na wschód. Akeba, z krótkim łukiem gotowym do strzału, zajął miejsce u boku Conana. Z drugiej strony Sharak kuśtykał o lasce i choć step jaśniał w blasku księżyca, bez przerwy utyskiwał na niewidoczne dziury.

- Mało brakowało, a Tamur by nie poszedł - rzekł cicho Akeba - tak bardzo boi się Samarry. Gdyby nienawidził Jhandara mniej choćby o jotę, pogalopowałby na wybrzeże.

- Ale nienawidzi Jhandara - powiedział Conan. - I dobrze nas prowadzi.

- Ciekaw jestem, skąd wzięłaś energię na tę noc, Conanie - zadrwił Sharak - po dniu i nocy z tą czarownicą. Widziałem ją, co prawda nie tak dobrze jak ty - wyrechotał ale rzekłbym, że taka kobieta jest zdolna do wyssania z mężczyzny całej jego siły.

- Patrz pod nogi, stary - warknął Conan. - Chyba dawno nie czytałeś w swoich gwiazdach. Uważaj, bo to może być noc, w którą jest ci pisane skръcenie karku.

- Na Mitrę! - Sharak zaklął, potknął się i niemal przewrócił. - Nie czytałem - przyznał drżącym głosem. - Od wyjazdu z Aghrapuru. Podniecenie i przygoda, i... - Potknął się znowu, zerknął w niebo i wymruczał: Oślepia mnie księżyce. Nie mogę odróżnić jednej gwiazdy od drugiej.

Szli w milczeniu za niewyraźną sylwetką Tamura, dopóki Hyrkańczyk nie przystanął.

- Tam - powiedział, wskazując na dwa wysokie cienie. - Oto znaki graniczne. Nie mogę podejść bliżej.

Samarra dokładnie opisała cieniste obiekty oraz powiedziała Conanowi wszystko, co było jej wiadome o terenie leżącym za nimi. Wokół Zewnętrznego Kręgu ustawiono wielkie stosy kamieni, trzy razy wyższe od człowieka i cztery razy grubsze. Przejście poza te stele oznaczało śmierć dla każdego z hyrkańskiej krwi.

- Nie ma potrzeby, abym ci towarzyszył, Conanie - zdecydował Sharak. - Moje oczy... Byłbym tylko zawadą. Nie, muszę tu zostać i odczytać z gwiazd naszą przyszłość. - Przywarł do ramienia zaskoczonego Tamura i choć nomada próbował się uwolnić, uparcie ciągnął go za sobą. - Znasz się na gwiazdach, Hyrkańczyku? Nieważne. Powiem ci, czego szukać. Chodź. - Obaj odeszli na bok. Tamur daremnie próbował wyszarpnąć rękę.

- Może jednak z tobą pójde - zaproponował Akeba.

Conan pokręcił głową.

- Samarra mówiła, że umrze każdy, kto wejdzie tam ze mną. - Nie powiedziała nic takiego, ale jej słowa przekonały go, że szansę przeżycia dwóch czy też pięćdziesięciu osób są nie większe niż w przypadku jednej, a może nawet mniejsze.

- W takim razie będę wyglądać twojego powrotu, Cymmerianinie. Jesteś dziwnym człowiekiem, ale cię lubię. Bywaj zdrow.

Conan poklepał go po ramieniu,.

- Zadmij w piekielny róg, jeśli znajdziesz się tam przede mną, Akebo.

- Co takiego? Osobliwe powiedzenie.

- Inne kraje, inne obyczaje - mruknął Conan. - Znaczy mniej więcej tyle, co bywaj zdrów. - Spoważniał, gdy spojrział na kamienne słupy. Czas sprawdzić, co jest z drugiej strony. Stał ze szmerem opuściła skórzaną pochwę.

- Naprawdę osobliwe, jasnooki barbarzyńco - powiedział Akeba. - Ale zadmij w... to, co powiedziałaś.

Conan już ruszył. Nie zatrzymując się minął toporne kolumny, z mieczem w pogotowiu. Ciarki przebiegły mu po całym ciele, najbardziej w pasie, pod sakiewką. Samarra uprzedziła go o czymś takim i kazała nie zwracać uwagi, ale i tak sprawdził dwa mniejsze woreczki. Pozostały nienaruszone.

Nie było tu roślin, nawet skąpej trawy, która porastała równiny Hyrkanii. Podłoże wyglądało tak, jakby kiedyś płynęło, a potem zastygło w fale. Widywał już takie tereny tam, gdzie ziemia pękała i wypluwała stopioną skałę. Tutaj blask księżyca miał ziemisty odcień. W tej upiornej poświacie poruszały się cienie, choć najmniejsze chmury nie przepływały przez tarczę księżyca.

Gdybym był herosem z jakiejś sagi, pomyślał, wyszukałbym te stworzenia i wyciął sobie między nimi drogę do Wewnętrznego Kręgu. Ale bohaterowie sag zawsze mieli tyle szczęścia co dziesięciu ludzi i ono nigdy ich nie opuszczało. Zagłębiał się w Ziemię Przeklętą; poruszał się z gracją pantery, ostrożnie, jak gdyby unikając czyichś szpiegujących oczu. Był pewien, że są tutaj oczy - oczy albo coś, co wyczuwa ruch. Skały wokół niego rozbrzmiewały dziwnym szmerem, jakby coś się po nich prześlizgiwało i drapało chitynowymi pazurami. Raz rzeczywiście zobaczył oczy, patrzące na niego z ciemności przy głazie, i obracające się, gdy przechodził. Przyspieszył. Klekot pazurów, dużo szybszy, dobiegał teraz z mniejszej odległości. Z tyłu i po obu stronach usłyszał syk, jakby stworzenia próbowały go osaczyć.

Nagle zapadła cisza. Czy te niewidoczne stworzenia atakują w milczeniu, zastanawiał się, czy też zrezygnowały z pościgu? A jeśli tak, to dlaczego? Czyżby z przodu znajdowało się coś, czego się bały? Poznał odpowiedź, gdy zobaczył kolumnę znaczącą granicę śmiertelności Wewnętrznego Kręgu.

Stał jak wryty i mimo woli głośno wypuścił powietrze. Ale przecież żył, i może lęk przed barierą zatrzymał to, co go tropiło. Potem znowu usłyszał syczenie. Pośpiesznie wyjął z sakiewki jeden skórzany woreczek i wysypał skrzący się proszek w długiej linii przy kamiennej kolumnie. Z wielką uwagą wymówił słowa, jakich nauczyła go Samarra. Powietrze ponad linią zamigotało na szerokość rozpostartych ramion i na wysokość kamiennego słupa. Samarra powiedziała, że w tym widocznym miejscu bariera zostanie osłabiona, ale nie zniszczona. Silny mężczyzna być może przeżyje przejście na drugą stronę. Tak powiedziała.

Syk i drapanie pazurów brzmiało coraz wyraźniej. Cokolwiek wywoływało te odgłosy, było prawie przy nim. Conan zaczerpnął powietrza i skoczył. Syk przemienił się we wrzask rozczarowanego, głodnego myśliwego, gdy Cymmerianin wpadł w rozmigotane powietrze. Mięśnie jego ciała zwężyły się i zadygotały, przeniknięte bólem. Wygięty w łuk, wpadł do Wewnętrznego Kręgu.

W głowie mu się kręciło i pozbierał się z trudem. Na szczęście nie wypuścił miecza z ręki. Jeśli na tym polega osłabienie bariery pomyślał, to nie chciałbym mieć do czynienia z jej pełną siłą. Pomacał sakiewkę. Drugi mieszek był bezpieczny.

Cokolwiek na niego polowało, zniknęło, wessane w wijące się cienie poza Wewnętrznym Kręgiem. Bariera jeszcze migotała w osłabionym miejscu, ale przejście miało zniknąć, zanim doliczyłby do stu. Wiedział, że jeśli za moment sienie wycofa, to jedyną gwarancją wyjścia pozostanie druga porcja proszku. Zdecydowanie odwrócił się plecami do bariery i ruszył w głąb tej koszmarnej krainy.

Naprawdę były to Ziemie Przekłète. Głębokie rozpadliny otwierały się w zboczach wzgórz, a niektóre wzniesienia zachowały się jedynie we fragmentach - wyglądały tak, jakby większa ich część wyparowała. Ze szczelin z sykiem wydobywały się opary, a w powietrzu wisiał ciężki, zastarzały smród rozkładu; było jasne, że tylko czary zapobiegają jego rozproszeniu. Kłęby cuchnących wyziewów wędrowały falami, przywierając do wyniesionych form terenu. Conan dygotał z obrzydzenia, bo w kontakcie ze skórą zostawiały wrażenie wilgoci i brudu.

Samarra opisała mu, gdzie stał nie ukończony pałac Jhandara w noc, w którą rozpętało się piekło. Nie umiała mu powiedzieć, co zastanie - szamani utworzyli bariery, lecz nie śmieli zbliżyć się do miejsca, gdzie szalały rozpętane moce - ale jej zdaniem jedynie tam mógł przeprowadzić poszukiwania. Teren został wyrównany pod budowę. Conan zobaczył, że wzgórza kończą się i podążał w tamtą stronę. To musiało być to miejsce.

Pobiegł wokół stromego urwiska, które powstało w wyniku zniknięcia połowy wzgórza, wypadł na wielką zrównaną przestrzeń... i stanął, a ramiona mu opadły w poczuciu klęski.

Przed nim marmurowe stopnie wiodły do portyku z masywnych, połamanych kolumn. Dalej, tam gdzie powinien znajdować się pałac, otwierał się ogromny dół, w którym pulsowało czerwone światło. Z jego głębi dobiegało bulgotanie wrzącej skały.

Tam nic nie mogło przetrwać, pomyślał zniechęcony. A jednak coś musiało być. Samarra przepowiedziała, że z wejściem na Ziemie Przekłète wiąże się szansa na unicestwienie Jhandara. Gdzieś w tym zauroczonym regionie musiało zachować się coś, co mogło być użyte przeciwko czarownikowi. Musiał to znaleźć.

Odwrócił się, słysząc przeraźliwy ryk.

- Na Croma! - wydusił przez zaciśnięte zęby.

Naprzeciwko stało stworzenie dwa razy wyższe od niego. Ciało potwora, gnijące i pokryte

wrzodami, ociekając fosforyzującym śluzem. Jedno rubinowe ślepie na środku czoła wpatrywało się w niego z przerażającym błyskiem inteligencji, ale też z głodem. Rozdziawiona, najeżona kłami paszcza i zakrzywione, ostre jak brzytwy pazury jednoznacznie wskazywały, co stwór wybrał sobie na przekąskę.

Conan zareagował błyskawicznie: zamachnął się mieczem i wrzasnął, jakby gotując się do ataku. Bestia cofnęła się, by przyjąć jego szarżę, a on skoczył ku urwisku. Pomyślał, że istota takich rozmiarów nie zdoła mu dorównać we wspinaczce po pionowych ścianach.

W biegu wsunął miecz do pochwy. Dotarł do podnóża i wspinał się, nie zwalniając ani na chwilę. Na oślep wyszukiwał szczeliny i występy i robił to w tempie, jakiego nie osiągnął nigdy wcześniej. Podejmował ryzyko, na jakie nie poważyłby się, gdyby gonili go ludzie. Zahaczał palcami o pęknięcia, których nawet nie widział, i stawiał stopy na występach, które kruszyły się pod jego ciężarem. Przemieszczał się z tak desperacką szybkością, że nim kamienie zdążyły się skruszyć, on był już dużo wyżej. Dotarł do szczytu i przewinał się nad krawędzią. Legł, łapczywie chwytając powietrze.

Śluzowata, uzbrojona w pazury łapa opadła o szerokość dłoni od jego głowy. Klnąc, na czym świat stoi, Conan poderwał się i wyrwał miecz z pochwy. Bestia wysunęła łeb nad krawędź urwiska, zobaczyła go i ryknęła, próbując go dosięgnąć zamiast poszukać pewniejszego oparcia. Hartowana stał zatoczyła w powietrzu łuk i odcięła łapę, która trzymała się krawędzi. Z wrzaskiem wszystkich demonów stwór oderwał się od skały i zniknął w cuchnących oparach na dole. Jego upadek spowodował wstrząs, który Conan poczuł pod podeszwami butów.

Szponiasta łapa, nadal jarząc się lekko, leżała tam, gdzie ją odrąbał. Wyciekała z niej, jak krew, opalizująca maź. Po tym, co widział w Aghrapurze, z ulgą stwierdził, że nie żyje własnym życiem. Czubkiem miecza strącił ją w przepaść.

W spowitym oparami mroku dostrzegał połamane kolumny pałacu Jhandara; z punktu obserwacyjnego na szczycie rysowały się wyraźnie na tle żaru pulsującego w ogromnej jamie. Nie widział sensu, żeby tam wracać. Musiał przeprowadzić poszukiwania gdzie indziej. Ruszył na dół po zboczu naprzeciwko urwiska, przeskakując przez głębokie rozpadliny i omijając głazy spękane jak źle wypalona ceramika. Kształty terenu ukazywały się zza cuchnących kłębow dryfującej mgły, a potem równie nagle zniknęły z oczu.

Kamień zagrzechotał za jego plecami, od strony urwistego zbocza. Wążąc w dłoni miecz, Conan obejrzał się, daremnie próbując przeszyć wzrokiem szary całun. Może na szczycie urwiska kryło się jakieś małe stworzenie, które przeoczył we mgle. Mógł nie zauważyć czegoś na tyle małego, że... Dobiegł go hałas, jakby łoskot upadającego ciała. Po chwili z oparów wypadła jednooka bestia, wznosząc do uderzenia szponiastą łapę i kikut drugiej.

Conan odskoczył i... runął w dół. Wpadając w rozpadlinę, przekręcił się w powietrzu jak kot i złapał się krawędzi. Poruszony kamień zagrzechotał, obijając się o ściany szerokiej szczeliny. Dźwięk nie urwał się nagle, lecz cichł stopniowo, jakby rozpadlina nie miała dna.

Bestia poruszała się zbyt szybko, aby wyhamować na krawędzi. Z rykiem wściekłości wybiła się

do skoku na drugą stronę, wlepiając czerwone ślepia w Cymmerianina. Gdy przelatowała nad jego głową, niezdarnie wyrzucił w górę miecz. Stwór, warcząc gniewnie, zwinął się w kulę, żeby uniknąć ostrza, opadł ciężko po drugiej stronie rozpadliny i potoczył się po stromym zboczu. Jego rozeźlone wrzaski zdawały się rwać mgłę na strzępy.

Conan pospiesznie wydostał się ze szczeliny. Panowała grobowa cisza, nic jednak nie świadczyło o śmierci bestii.

Jak gdyby na potwierdzenie jego strasznych podejrzeń, rozległ się szcęk pazurów i wygłodniałe posapywanie. Stwór przeżył i piał się w jego stronę.

Wyższa pozycja na stoku mogła zapewnić mu pewną przewagę, ale młody Cymmerianin nie przybył do tego piekielnego miejsca, żeby zabijać potwory. Rzucił się biegiem wzdłuż szczeliny, przeklinając każdy kamień, który ustępował mu pod butem i staczał się z grzechotem do stóp wzgórza. Chciał znaleźć się jak najdalej od miejsca, gdzie po raz ostatni widział prześladowającego go potwora. Odległość mogła być jedyną rękojmią bezpieczeństwa. Przynajmniej dopóki bestia nie usłyszy go i nie podejmie pościgu. Gdyby tak miał choć połowę szczęścia, jakie przypisywano wydumany herosom z po trzykroć przeklętych sag, stworzenie daremnie przeszukiwałoby wzgórze, podczas gdy on spokojnie zakończyłby swoją misję.

Przystanął i wyteżył słuch, nasłuchują dźwięków wydawanych przez jednooką bestię... i usłyszał je wprost pod sobą, ale dużo bliżej. Na Trzewia i Pęcherz Czarnego Erlika! Żałował, że nie ma tutaj z dziesięciu tych nieudolnych przadek jarmarcznych opowieści, aby zobaczyły, czego doświadczają ludzie z krwi i kości w konfrontacji z potworami tak łatwo zabijanymi w ich bajaniach. Z przyjemnością rzuciłby dwie czy trzy takie tej bestii, nogami do przodu. Kiedy zostanie zmuszony do walki z potworem - a nie widział innego wyjścia - miejsce nie odegra roli. Jeśli nie przerwie ucieczki, spotkanie odbędzie się po prostu gdzie indziej i bestia zastanie go do cna wyczerpanym. Może powinien wykorzystać moment, gdy stwór zacznie pokonywać szczelinę? Gdyby wówczas zaatakował... Nagle zauważył, że rozpadlina, wzdłuż której biegł, zwęziła się na szerokość dłoni.

Przez chwilę był taki wściekły, że nawet nie mógł przeklinać. Przez własne gapiostwo naraził się na większe niebezpieczeństwo. Wielka bestia znajdowała się nie dalej niż pięćdziesiąt kroków niżej na zboczu. Spowalniała ją tylko stromizna i nic nie oddzielało jej... Zaraz, zaraz: była dokładnie poniżej. Spojrzał w jej stronę. Zobaczył czerwone, rozżarzone ślepia i blade, trędowate, fosforyzujące cielsko. Stwór radził sobie na urwistym zboczu lepiej od każdego człowieka; poruszał się z szybkością i wytrwałością głodnego lamparta.

Conan wiedział, że musi zyskać dużą przewagę czasową nad stworzeniem, jeśli chce wreszcie przeprowadzić poszukiwania. Jak zyskać na czasie? Zaświtał mu pewien pomysł, nikły, ale ożywczy jak tchnienie świeżego powietrza w otaczającym go smrodzie.

Rozejrzał się w poszukiwaniu potrzebnej mu rzeczy i znalazł ją ledwie dziesięć kroków dalej - cienisty garb wysoki jak on, ale grubszy i na pozór przysadzisty, przysłonięty łąką przywierającej do niego mgły. Szybko odszukał wzrokiem potwora. Był jakieś czterdzieści kroków niżej i przesunął się ukosem w górę, dopóki po raz kolejny nie znalazł się w prostej linii od niego. Czterdzieści kroków. Conan czekał.



Ośliniona bestia zbliżała się coraz bardziej. Trzydzieści pięć kroków. Trzydzieści. Conan słyszał już jej zgrzytliwe sapanie, w którym pobrzmiwał drapieżny głód. W łasym krwi ślepiu połyskiwało coś więcej - czysta żądza zabijania. Conanowi ciarki przebiegły po plecach. Dwadzieścia pięć kroków. Dwadzieścia. Cofnął się w łatą brudnej, szarej mgły. Stworzenie, skrzecząc z wściekłości, przyspieszyło wspinaczkę.

Conan ugiął nogi w kolanach, oparł się plecami o gład i wytrzymał siły. Ściągną naprężyły się niczym sznury, a nabrzmiałe mięśnie wyglądały tak, jakby zostały wyrzeźbione z substancji twardszej od kamienia, z którym się zmagał. Minęła długa chwila, nim gład przesunął się o szerokość palca. Wycie pierwotnej wściekłości, tłukące się echem ponad wzgórzami, rozlegało się coraz bliżej. Jeszcze parę oddechów, a krwiożerczy stwór znajdzie się tuż obok niego. Pot zlewał twarz i piersi Conana, który dokonywał nadludzkiego wysiłku. Wielki kamień znów się poruszył. A potem potoczył.

Conan obrócił się w porę, aby zobaczyć, jak gład uderza w wąską szczelinę, wyskakując w powietrze i trafiając potworną istotę w piersi. Gdy bestia z wrzaskiem, wbijając pazury w kamień jak w żywego wroga, toczyła się w dół zbocza, biegł, przeskakując szczeliny i nie zważając na ryzyko upadku, w kierunku granicy.

Jeszcze nie zamierzał opuszczać Wewnętrznego Kręgu, ale też nie łudził się, że gład unicestwi jednooką bestię. Nie uwierzy w jej śmierć, póki nie ujrzy martwej. Wolał nie ryzykować. W Zewnętrznym Kręgu niewidzialne stworzenia z pazurami bały się podejść do bariery. Może, jeśli dotrze do tej śmiertelnej tarczy, potworna istota nie poważy się go szukać. Niczym widmowa pantera przemykał przez tumany lepkiej mgły. Mijał kałuże gotującego się, parującego szlamu i gejzery, które wyrzucały w noc fontanny cuchnącej cieczy. Kolumny znaczące granicę zamajaczyły w chorobliwie ziemistej poświacie księżyca.

W bezgłośnym skoku jednooka bestia wychynęła z mgły. Cymmerianin desperacko rzucił się w bok; zakrzywione jak kosy szpony rozcięły mu kaftan na strzępy. Zerwał się z ziemi, z mieczem w pogotowiu, i stawiał czoło potężnej kreaturze. Z głębi jej gardła dobywało się głucho warczenie, gdy posuwała się bokiem ku niemu. Szybko nauczyła się respektu do stali, która odrąbała jej łapę.

Krew sączyła się z czterech głębokich zadrapań na piersiach, ale w tej chwili Cymmerianin miał większe zmartwienie. Większe nawet od klów, błyskających pożądliwie w stronę jego ciała. Obmacując wolną ręką pas stwierdził, że sakiewka zniknęła, odcięta przez ostre jak sztylety pazury. Wraz z nią przepadła moc, jakiej potrzebował do pokonania bariery. Na tę myśl jego oczy powędrowały ku kolumnom... a tam, u podstawy przysadzistego monolitu, czekała sakiewka i nadzieja na ucieczkę. Powoli, z czubkiem miecza wymierzonym w owrzodziała bestię, Conan zaczął przesuwając się bokiem w kierunku kolumny. Stworzenie zawahało się i przewrotna inteligencja załśniła w jego ślepiu, gdy też dostrzegło sakiewkę. Jak gdyby odgadując jej znaczenie, pokryty śluzem potwór skoczył w stronę woreczka, niemal dotykając śmiertelnej bariery. Najeżony kłami pysk rozdziawił się w parodii szyderczego uśmiechu.

A zatem bestia boi się bariery, domyślił się Conan. I jeśli potrafi myśleć, ani na krok nie odstąpi od sakiewki. Wydawało się, że Erlik rozpostarł swój Płaszcz Niekończącej się Nocy, a jednak Cymmerianin nie zamierzał potulnie pogodzić się z własną śmiercią.

- Crom! - ryknął i zaatakował. - Grom i stal!

Kły obnażyły się w głuchym warknięciu i stwór skoczył mu na spotkanie, ale Conan nie miał zamiaru zwierać się z cuchnącym cielskiem. W ostatniej chwili przykucnął i nie zatrzymując się ciął brzuch pokryty połyskliwą mazią. Zrobił unik przed ostrymi pazurami, które mimo to zdołały zahaczyć o jego płaszcz. Przez chwilę stał w miejscu, unieruchomiony, potem naprężony materiał pękł z trzaskiem i Conan znalazł się za plecami potwora.

W biegu porwał z ziemi sakiewkę i pobiegł wzdłuż bariery. Kamienie zagrzechotały tuż za nim, więc zawirował w miejscu i uderzył. Trafił w łapę opadającą ku jego głowie. Odciał trzy zakrzywione szpony, ale nie powstrzymał łapy, która trzasnęła go w głowę i rzuciła na kolana. Okaleczone, lecz silne jak stal ramiona poderwały go ku wielkim zębom, gotowym rozerwać ciało na kawałki. Na szczęście jedną rękę miał wolną. Podniósł ją i wepchnął miecz głęboko w wyszczerzoną paszczę - ostra stal przeszła ciało i zgrzytając o kości wyszła z tyłu wielkiego łba.

Stworzenie warknęło i zacisnęło zęby na główki. Z niesłabnącą furią próbowało dosięgnąć swoją ofiarę. Potwornie silne ramiona zacieśniały uchwyt z nieuchronnością żelaznego narzędzia tortur. Krztusząc się w smrodliwym oddechu bestii, Conan pomyślał, że zaraz pęknie mu kręgosłup. Już nie czuł nóg ani uwięzionej ręki. Nawet nie wiedział, czy nadal ma sakiewkę, która była jego jedyną nadzieją na opuszczenie Przeklętych Ziem. Mógł tylko wyęźać resztki sił, aby utrzymać okropny pysk z dala od swojego gardła.

Nagle pojął, że znalazł się w beznadziejnej sytuacji, i to wcale nie z powodu duszącego go potwora. Nad jego ramieniem zobaczył kolumny; w walce przybliżyli się do śmiercionośnej tarczy. I byli coraz bliżej. Przynajmniej umrze z mieczem w dłoni; i nie sam. Niepewność zamigotała w krwawoczerwonym ślepiu, gdy Conan wybuchnął ponurym śmiechem. Kontakt z barierą oznaczał koniec dla nich obu.

Ból przeniknął jego ciało, ból taki, jakiego nie zaznał w całym życiu. Skóra zdzierana z mięśni, mięśnie odrywane od kości, kość mielona na proszek i całość wrzucona do stopionego metalu, a potem od początku to samo. I jeszcze raz. I...

Conan potrząsał głową, klęcząc i podpierając się rękami. Mięśnie dygotały mu z wysiłku, jaki podejmował, żeby nie upaść na twarz. Jak przez mgłę zobaczył, że wciąż trzyma sakiewkę. Nadal miał środek umożliwiający ucieczkę z Wewnętrznego Kręgu i jakimś sposobem przeżył kontakt z barierą. Nagle jedna myśl wybiła się nad wszystkie inne: musi wstać, żeby stawić czoło następnemu atakowi potwora. Miecz leżał tuż przed nim. Rzucił się na czworakach, złapał broń, i niemal wypuścił ją z ręki. Skóra na rękojęści była spękana i niemiłosiernie gorąca.

Trzask i syk tysiąca piorunów wdarł się do jego uszu. Uświadomił sobie, że przez chwilę był głuchy. Niepewnie podniósł się z ziemi i... stanął jak wryty.

Stwór wisiał na barierze, a jego członki skręcały się spazmatycznie, gdy skrzące się łuki mocy przeskakiwały z jednej części ciała na drugą. Płomienie w setkach odcieni strzelały z poczerńałego już tułowia.

Szeroki uśmiech Cymmerianina zamarł, gdy popatrzył na barierę. Nie znajdował się już w Wewnętrznym Kręgu. Jakim cudem przeżył przejście? Może potworna żywotność bestii pochłonęła największą część śmiertelności siły, może osłoniło go ciało stworzenia? Odpowiedź nie miała znaczenia. Ważne, że posiadał dość proszku, żeby jeszcze raz przekroczyć granicę. Jeśli znów wejdzie do Wewnętrznego Kręgu, już nigdy się nie wydostanie.

W milczeniu odwrócił się plecami od podrygującego cielska. W jego oczach płonęło ciemne, złowróżbne światło.

## XXI

Akeba kulił się wraz ze swoimi towarzyszami przy malutkim ognisku, kiedy Conan, wycierając strzępami płaszcza ciemną krew z miecza, powrócił z Przeklętych Ziem. Oznajmił swoją obecność, rzucając zakrwawiony gałgan do ognia. Ze szmaty buchnął gęsty, gryzący dym.

Trzej mężczyźni skoczyli na nogi, a Sharak skrzywił nos.

- Faj! A cóż to za smród?

- Wracamy do jurt - oświadczył Conan, chowając miecz do podniszczonej pochwy - ale na krótko. Samarra musi mi pomóc wrócić do Wewnętrznego Kręgu.

- A więc nic nie znalazłeś - mruknął z zadumą Akeba. Popatrzył na krew, która zaschła na poszarpanym kaftanie Conana, na sakiewkę prowizorycznie przywiązaną do pasa, i dodał: - Na pewno chcesz tam wrócić, Cymmerianinie? Co tam się stało?

- Nie! - głośno odezwał się Tamur. Wszyscy spojrzeli na niego; Hyrkańczyk przez chwilę pocierał usta grzbietem dłoni. - To zakazane miejsce. Nie wolno mówić o tym, co wydarzyło się za barierami. To tabu.

- Bzdura - prychnął Sharak. - Słuchanie nie wyrządzi nam szkody. Mów, Conanie.

Ale Cymmerianin nie zamierzał tracić czasu na gadanie. Minęła połowa nocy.

- Za mną - rzucił krótko i ruszył w mrok. Pozostali zasypali ognisko ziemią i szybko przyłączyli się do niego.

Gdy stanęli przed jurtą Samarry, Conan kazał im czekać, a sam zniknął w środku.

Wewnątrz panowała ciemność; nie paliła się ani jedna lampa, a w koszu, w którym wcześniej zarzyły się węgle, zalegał zimny popiół. Dziwne, pomyślał Conan. Samarra powinna czuwać, żeby dowiedzieć się, co odkrył. Wtedy uderzyła go nienaturalna cisza, która przeczyła obecności życia. Miecz wskoczył mu do ręki nieomal z własnej woli.

Ruszył po kobiercach, wybierając drogę między rozrzuconymi poduszkami. Nagle natrafił stopą na coś twardszego, a jednak sprężystego. Osunął się na kolana i poczuł skurcz w brzuchu; znalazł palcami kobiece ciało, wymacał lepką i zimną skórę.

- Conanie! Uważaj! - zawołał od wejścia Akeba.

Conan przetoczył się, uderzył w coś, co odskoczyło z brzękiem mosiądzu, i poderwał się w przysiadzie, z mieczem w gotowości. W chwili gdy dostrzegł w mroku cień, który mógł być człowiekiem, coś zafurkotało od strony wejścia. Niewyraźna postać przewróciła się sztywno na ziemię.

- To człowiek - powiedział niepewnie Akeba. - Przynajmniej tak myślę. Ale upadł dziwnie, inaczej niż ludzie.

Conan po omacku znalazł to, co wcześniej odrzucił. Była to lampa; została w niej jeszcze połowa oliwy. Wyjął z sakiewki krzesiwo i zapalił knot. Lampa oświetliła ciało, o które się potknął.

Samarra leżała na plecach, martwe oczy wpatrywały się w dach jurty. Rysy szamanki wyrażały determinację przemieszana z rezygnacją.

- Wiedziała - mruknął Conan. - Powiedziała, że jeśli wejdę na Ziemię Przeklęte, wiele osób straci życie.

Z głębokim westchnieniem przysunął lampę do postaci, która upadła w taki dziwny sposób. Strzała Akeby sterczała z szyi żółtoskórego mężczyzny w czarnym stroju. Skośne oczy miał szeroko otwarte z wyrazem niedowierzania. Conan trącił zwłoki mieczem. Trup był twardy jak kamień.

- Przynajmniej zabrała z sobą swojego mordercę - warknął Conan. - I pomściła twoją Zorellę.

- To nie on, choć bardzo podobny - powiedział Akeba. - Będę pamiętać po grób twarz człowieka, który zabił moją córkę. To nie ten.

Conan przysunął lampę z powrotem do Samarry.

- Mogłem ją uratować - rzekł ze smutkiem, choć nie miał pojęcia, jak by to zrobił. - Gdyby mi powiedziała... Yasbet!

Zerwał się i przeszukał inne wydzielone kotarami pomieszczenia. Jurta przypominała kostnicę. Niewolnicy i niewolnice, martwi, leżeli w poplątanych stosach. Na żadnym z ciał nie było śladu rany, ale twarze wykrywiało przerażenie. Nigdzie nie znalazł Yasbet.

Gdy wrócił do Akeby, lęk ścisnął mu wnętrzności. „Wielu umrze, jeśli wejdiesz na Ziemię Przeklęte” - powiedziała mu Samarra. Znała różne wizje dotyczące przyszłości. Nie mogła wybrać takiej, żeby uniknąć tego koszmaru?

- Jhandar nie wysłał go samego - powiedział do Turańczyka. - Yasbet zniknęła, a inni nie żyją. Wszyscy.

Nim Akeba zdążył otworzyć usta, Tamur wetknął głowę do jurty.

- Poruszenie... - Jego oczy padły na ciało Samarry w kałuży światła. - Chroń nas, Kaavanie, Ojczy Jedyne! Oto przyczyna! Zostaniemy wytrzebieni, żywcem odarci ze skóry, nawleczeni na pale...

- O czym ty gadasz? - przerwał mu Conan. - Przyczyna czego?

- Poruszenia wokół jurt innych szamanów - wyjaśnił pospiesznie Tamur. - Ludzie gromadzą się, choć tak blisko Ziem Przeklętych nikt nie lubi chodzić po nocy.

Akeba chrząknął.

- Musieli wyczuć śmierć swojego ziomka.

- Nie mogą zastać nas nad ciałami - powiedział Conan, ściskając w palcach knot lampy. Gdy światelko zgasło, ciemność wydawała się dużo głębsza niż na początku. Cymmerianin ruszył do wyjścia.

Sharak wspierał się na swojej lasce i spoglądał w stronę odległych pochodni, które zaczynały kierować się ku jurcie Samarry. Głosy ludzi zlewały się w jednostajny, pełen złości pomruk. Stary astrolog podskoczył, gdy Conan dotknął jego ramienia.

- Jeśli mamy wrócić do Ziem Przeklętych, Conanie, musimy zrobić to teraz. Ta banda nie będzie zadowolona, że pałętamy się nocą po ich obozie.

- Yasbet zniknęła - poinformował go cicho Conan. - Została porwana albo zabita. Samarra nie żyje.

Sharak rozdziawił usta. Conan odwrócił się, a astrolog rzucił trwożliwe spojrzenie na przybliżające się pochodnie i w milczeniu podążył za swoimi towarzyszami.

Przemknęli między ciemnymi jurtami niby cztery cienie i po wydostaniu się na równinę pospieżyli do swojego obozu, starając się ignorować tumult narastający za plecami. Raptem podniósł się wielki krzyk - wrzask gniewu z setki gardeł.

Akeba przyspieszył, żeby zrównać się z Conanem.

- Znaleźli Samarrę, ale może nie pomyślą, że to my ją zabiliśmy.

- Jesteśmy obcy - Conan zaśmiał się niewesoło. - Jak postąpiliby twoi żołnierze, gdyby zamordowana została księżniczka Aghrapura, a pod ręką byłiby cudzoziemcy?

Turańczyk ze świstem wciągnął powietrze.

- Niechaj Mitra da nam czas na dotarcie do koni.

Bez słowa czterej mężczyźni ruszyli biegiem. Długonodzy Conan i Akeba zdawali się unosić W

powietrzu. Tamur biegł niezdarnie, ale zaskakująco szybko. Nawet Sharak dotrzymywał im kroku - posapywał i charczał, jednak starczało mu tchu, żeby skarżyć się na swoje lata.

- Pobudka! - zawołał Tamur, gdy wbiegli do ciemnego obozowiska. Ognie, przygaszone, ledwo się tliły. - Do koni!

Nomadowie wyplątali się z derek, obuci i ubrani, złapali broń i popatrzyli na niego pytająco.

- Musimy uciekać! - krzyknął Tamur. - Jesteśmy wyjęci spod prawa!

Rzucili się do koni w takim tempie, jakby ich żądliły pszczoły. Tamur odwrócił się do Conana i pokręcił głową;

- Nie uciekniemy. Nasze chabety nie mogą się równać z bojowymi wierzchowcami, na których ruszy pościg. Padną przed świtem, podczas gdy tamte równym krokiem mogą dociągnąć do samego morza.

- A juczne uniosą ludzi? - zapytał Conan.

Tamur przytaknął ruchem głowy.

- Tak, ale mamy przecież dość wierzchowców dla wszystkich.

- A jeśli - zaczął powoli Conan - w drodze zmienimy zagonione konie na te, które, choć trochę zmęczone, pokonały szmat drogi bez ciężaru? A kiedy one już nie wydołają... - Pytająco popatrzył na innych. Słyszał o czymś takim w jakiejś tawernie, ale takie gadki nie zawsze pokrywały się z prawdą. - Mamy po kilka zapasowych wierzchowców dla każdego. Nawet bojowe rumaki nie zdołają prześcignąć ich wszystkich, prawda?

- Może się udać - wysapał Tamur. - Kaavanie, Ojcie Jedyny, miej nas w opiece, to może się udać.

Akeba pokiwał głową.

- Sam powinienem o tym pomyśleć. Słyszałem, że tak się robi na południowej granicy.

- A towary? - wtrącił z rozpaczą w głosie Sharak. - Chyba nie zostawicie...

- Chcesz za nie umrzeć? - przerwał mu Conan i pobiegł do spętanych koni. Inni pognali zanim, stary astrolog na końcu i najwolniej.

Nomadowie nie tracili czasu. Gdy tylko zaznajomiono ich z pomysłem Conana, skoczyli zakładać koniom uzdy. Ledwo skończyli, z rykiem wypadła na nich czereda jeźdźców. Conan poświęcił ledwie chwilę myślom o złocie, które miało przepaść; o tym zarobionym na handlu i o większej ilości własnego, ukrytego w beli garbowanych skór. Skoczył na koń i ruszył z kopyta. Śmierć deptała im po piętach.

Gdy dotarli do wysokich, piaszczystych wydm na brzegu morza, nie mieli już ani jednego konia w

zapasie i czterech wojowników musiało jechać parami. Spienione zwierzęta rozciągnęły się w długą linię, ale nikt nie przynaglał ich do galopu z obawy, że padną. Słońce wisiało nisko nad horyzontem; dwudniowa podróż skróciła się do jednego dnia, gdy przyszło ścigać się ze śmiercią.

Kudłaty konik potknął się pod ciężarem Cymmerianina, ale Conan słyszał już huk morskich fal.

- Jaką mamy przewagę? - zapytał Akebę.

- Może dwa obroty klepsydry, może mniej.

- Wstrzymali wierzchowce, Cymmerianinie, kiedy przekonali się, że nie dojdą nas tak łatwo - dodał Tamur. Dyszał prawie tak ciężko, jak jego koń. Tracił zwierzę pejcem, nie wkładając siły w uderzenie. - Nasze chabety długo nie wytrzymają, a ich rumaki będą prawie wypoczęte, gdy w końcu nas dopadną.

- Zastaną tylko piasek - zaśmiał się Conan, kierując kudłatego kuca na szczyt wydmy - my bowiem będziemy już na statku.

Słowa i śmiech zamarły mu w gardle, gdy popatrzył na plażę rozciągającą się u stóp piaszczystych wzniesień. Była pusta; tylko popiół po ogniskach wskazywał, że przybyli we właściwe miejsce. Daleko na wodzie ujrzeli coś jakby trójkącik - skośny żagiel „Tancerki fal”.

- Nigdy nie ufałem temu poczętemu w mule Muktarowi - mruknął Akeba. - Konie są wykończone, Conanie, my w niewiele lepszej kondycji. Ta połać błotnistej piachu nie jest dobrym miejscem na śmierć, o ile jakiegokolwiek miejsce jest dobre, ale czas pomyśleć o zabraniu z sobą paru nieprzyjaciół w długą noc. Co ty na to, Cymmerianinie?

Conan, zmagając się z własnymi myślami, nie odpowiedział. Przebył szmat drogi w poszukiwaniu środka umożliwiającego zniszczenie Jhandara, i co zyskał? Samarra nie żyła, podobnie jak jej wszyscy niewolnicy. Pachołkowie Jhandara porwali Yasbet. Nawet w drobnych sprawach bogowie odwrócili się od nich. Przepadły towary, na które wydał sto sztuk złota - i to złota zdobytego nie bez trudu, musiał bowiem zabić przyjaciela. Zostały mu tylko dwie monety, schowane w sakiewce z krzesiwem, woreczkiem Samarry i odrobiną suszonego mięsa. A teraz spóźnił się o nie więcej, jak pół obrotu klepsydry. Co prawda nie mieli pieniędzy na podróż powrotną, lecz w zaistniałych okolicznościach goła stal byłaby wystarczającym argumentem.

- Słuchasz? - zapytał Akeba. - Zatoczmy koło, żeby powrócić do własnych śladów na początku wydmy. W ten sposób ich zaskoczymy, a po chwili odpoczynku sprawimy się całkiem nieźle.

Pomruk podniósł się wśród Hyrkańczyków.

Conan milczał, zaprzątnięty pewną myślą. Yasbet została uprowadzona przez pachołków Jhandara. W tym fakcie kryło się coś ważnego, lecz nie potrafił odgadnąć, co. Cichy głosik w jego głowie szeptał, że musi jak najszybciej uporać się z tym problemem.

- Umrzemy jak przystało na mężczyzn - oznajmił Tamur, choć jego ton nie wyrażał zbytniego przekonania. - Godnie, nie jak żuki gnojaki, które, pochwycone przez mrówki, miotają się

bezmyślnie.

Paru z jego ludzi mruknęło na znak aprobaty; inni nerwowo szarpali wodze i rzucali niespokojne spojrzenia na przebyty szlak, ale milczeli.

Czarne oczy Turańczyka z pogardą omiotły nomadów; Tamur odwrócił wzrok.

- Nikt, kto zwie się mężczyzną, nie idzie na śmierć potulnie jak jagnię - powiedział Akeba.

- To przecież nasi, ludzie naszej krwi - mruknął Tamur.

- Na Miłosierdzie Mitry! - parsknął żołnierz. - Wiadomo przecież, że całe to gadanie o krwi nigdy nie odwróci stali jednego Hyrkańczyka od gardła drugiego. Nie powstrzyma rąk tych, którzy nas ścigają. Zapomniałeś, co robią z wojownikami wziętymi żywcem? Kastrują. Łupią żywcem ze skóry. Nadziewają na pal. Sam tak nam mówiłeś. I sugerowałeś gorsze rzeczy, o ile może być co gorszego.

Tamura drgnął i oblizał usta. Unikał spojrzenia Akeby. Nagle wybuchnął:

- Jesteśmy wyjęci spod prawa! - Inni koczownicy westchnęli żałośnie. Tamur, bez tchu, mówił dalej: - Już nie chronią nas prawa naszego ludu. Zabijając choćby jednego z ludzi wysłanych przez szamanów, skarzemy się na wieczne potępienie.

- Ale nie ty zabiłeś Samarrę - zauważył Akeba. - Z pewnością twój bóg o tym wie. Conanie, przemów do rozsądku temu durniowi.

Cymmerianin nie zwracał na nich uwagi. Dostrzegł właśnie wątłą iskierką nadziei.

- Staniemy przed Ojcem Jedynym nie łamiąc prawa! - krzyknął Tamur.

- Niech Erlik trąca wasze prawa! Sam pogwałciłeś edykt zakazujący szukania pomsty na Jhandarze. - Cienkie wargi Akeby wykrzywił drwiący uśmiech. - Myślę, że chcesz po prostu się poddać. Jesteście psy! Tchórzliwe baby, błagające o lekką śmierć!

Tamura wyprostował ramiona, sięgając do rękojeści jatagana.

- Kaavan rozumie chęć zemsty. W waszych żyłach płynie rozwodniona krew, bo wasze kobiety od tysiąca lat używane są nasieniem wymoczków z Zachodu. Dlatego wy, Turańczycy, nie rozumiecie niczego. Ja cię nie nauczę!

Stal wysunęła się z pochew do połowy, gdy Conan krzyknął:

- Statek! Wykorzystamy statek.

Akeba wytrzeszczył oczy. Paru Hyrkańczyków cofnęło konie. Szaleńcy byli tknięci przez bogów; zabicie kogoś takiego, nawet w samoobronie, równało się zaproszeniu nieszczęścia.

Sharak jedną ręką przytrzymał się grzywy wierzchowca, w drugiej zaciskał swoją laskę.



Spojrzał ostentacyjnie na „Tancerkę”. Statek wyglądał już jak kropka na horyzoncie.

- Mamy zamienić się w ryby?

- Galera - warknął Conan, rozdrażniony ich głupotą. - Jak dawno temu pachołkowie Jhndara mogli opuścić obóz? Zważcie, że nie mieli powodów do takiego pośpiechu jak my, nikt ich bowiem nie ścigał. Galera nadal chyba na nich czeka. Możemy uratować Yasbet i przepłynąć Vilayet.

- Nie postawiłbym na to złamanego miedziaka - powiedział Akeba. - Najpewniej galera jest już na morzu.

- Będziesz miał większe szansę, jeśli zostaniesz tutaj? - zapytał sucho Conan.

Akeba zrobił powątpiewającą minę. Przebiegł wzrokiem po innych; połowa nomadów nadal przyglądała mu się czujnie. Sharak wyglądał na zagubionego w myślach.

- Nie zamierzam czekać potulnie na śmierć - oświadczył Conan. - Wy róbcie co chcecie. - Skierował konia na południe i zmusił go do ciężkiego truchtu.

Nim przebył sto kroków, Sharak zrównał się z nim, poganiając laską kudłatego wierzchowca.

- Świetna przygoda - powiedział i wykrzywił w uśmiechu pomarszczoną jak pergamin twarz. - Weźmiemy jeńców, gdy dotrzemy do galery? W sagach bohaterowie nigdy nie biorą jeńców.

Akeba dopędził ich galopem; jego koń zachwiał się, gdy jeździec ściągnął wodze, aby dostosować się do ich tempa.

- Pieniądze to jedno - powiedział Turańczyk. - W grze o życie skłonny jestem postawić dużo więcej.

Conan uśmiechnął się, choć nie był to wesoły uśmiech. Kopyta zatętniły na piasku, ale on nie obejrzał się, żeby sprawdzić, ilu koczowników do nich dołączyło. Jeden czy wszyscy, wystarczy. Musi wystarczyć. Z powagą w oczach prowadził ich na południe.

## XXII

Jeden koń osunął się na piasek i już nie chciał wstać, gdy minęli przylądek, a inny padł bez życia, zanim stracili z widoku pierwszego. Gęste krzaki rosły w kępach zbyt wielkich, aby je omijać. Nie było drogi innej, jak ta przetarta przez konie.

Conan skrzywił się, gdy następny Hyrkańczyk musiał wskoczyć na koński grzbiet za plecami kamrata. Konie poruszały się wolniej od idącego człowieka i były u kresu sił. Ludzie oszczędzali energię, gdyż czekała ich walka z załogą galery albo pachołkami Jhandara. Jednak czas też się liczył. Musieli dotrzeć do statku przed porywaczami Yasbet albo przynajmniej przed odbiciem galery od

brzegu, i zanim dopędzi ich hyrkański pościg. Nomadowie bez większego trudu wytropią ich szlak wzdłuż brzegu.

Conan podjął decyzję i zsiadł z konia. Inni patrzyli, jak zdejmuje wierzchowcowi prymitywną uzdę ze sznura i rusza piechotą. Sharak trącił piętami końskie boki, wysforował się do przodu i zsunął na ziemię obok wielkiego Cymmerianina.

- Conan! - zawołał za nim Akeba - co...

Ale Conan szedł dalej; reszta mogła podążyć za jego przykładem albo i nie - ich wybór. Nie chciał tracić cennych chwil na przekonywanie. Parł do przodu niestrudzenie, a stary astrolog robił co mógł, żeby dotrzymać mu kroku. Żaden nie odezwał się słowem. Oszczędzali oddech, tak potrzebny w marszu.

W miejscach, gdzie konie ledwo mogły się przedrzeć, starczało miejsca dla człowieka. Akeba i Hyrkańczycy wkrótce zostali daleko w tyle, choć żaden z wędrowców nie pokwapił się sprawdzić tego na własne oczy.

Piesza wędrówka też nie była łatwa. Nawet kiedy piaszczysty grunt wydawał się równy, buty zapadały się po kostki, a ruchome kamienie tylko czekały, aby obrócić się pod stopą. Nieostrożny piechur mógł wpaść w gęste krzaki najeżone czarnymi, długimi na palec kolcami, które darły ciało jak szpony.

Tylko atakowane przez wściekłe fale błotniste odcinki wybrzeża tworzyły płaszczyzny. Plaże, ograniczone cyplami, przedzielały szeregi stromych wzgórz i głębokich wąwozów. Ukształtowanie terenu stawało się niemal pionowe. Żeby pokonać sto kroków w poziomie, należało zrobić pięćset albo i tysiąc w górę i w dół. Tutaj konie były bezużyteczne.

Conan, z twarzą zlaną potem, z piaskiem we włosach, w oczach i w ustach, wiedział, że mógłby skręcić, w głąb lądu na skraj płaskiej równiny. Jednak gdyby tak zrobił, nie miałby pojęcia, jak wrócić na plażę, żeby odnaleźć galerę. Nie dopuszczał do siebie ewentualności, że statku może już nie być. Poza tym, na równinie zostawiłby jeszcze wyraźniejsze ślady, a większość czasu zaoszczędzonego na płaskim terenie zostałaby zmarnowana na przedzieranie się ku plażom i sprawdzanie, czy nie widać galery.

Zaalarmowany trzaskiem w gąszczu za plecami, Conan wyrwał miecz z pochwy. Po chwili usłyszał stek soczystych przekleństw i z krzaków wyłonił się Akeba, z ciemną twarzą poznaczoną smugami potu i kurzu.

- Padły jeszcze dwa konie - oznajmił bez wstępu - a następny okulał. Tamur jest niedaleko za mną. Dopędzi cię, jeśli trochę zaczekasz. Kiedy odchodziłem, inni kłócili się, czy porzucić pozostałe konie. Ruszają za nami prędzej czy później.

- Nie ma czasu na czekanie. - Conan schował miecz i podjął wędrówkę.

Sharak, któremu brakowało tchu, żeby się odezwać, podreptał za nim w milczeniu. Akeba też

długo nie zwlekał.

Trzech mężczyzn, rozmyślał młody Cymmerianin, skoro Tamur do nich dołączy. Trzech i pół, gdyby wziąć pod uwagę Sharaka; pod względem przydatności w walce stary astrolog mógł być liczony co najwyżej jako połowa Akeby czy Tamura. Może paru nomadów dogoni ich w porę, ale to nic pewnego. W takim razie trzech i pół.

Gdy dołączył do nich Tamur, wyskubując z ramienia ciemię i klnąc tak, że nawet żeglarz o niewyparzonej gębie zarumieniłby się ze wstydu, ciężkie krople deszczu zabębniły o kark Conana. Cymmerianin popatrzył ze zdumieniem na gęste, ciężkie chmury. Przez całą drogę wbijał wzrok pod nogi i nie zauważył, jak zbierają się na niebie.

Deszcz szybko przeszedł w ulewę, która tłukła w ziemię strugami ciężkich kropel. Zerwał się wiatr, kołyszający zawzięcie kolczastymi krzewami i zawodzący w coraz wyższych tonach. Jego wycie przemieniło się w końcu w jednostajne dzwonienie w uszach. Wzbijał tumany pyłu, a te mieszały się z deszczem i spadały na wędrowców w postaci strumieni błota. Nie oparł mu się nawet wielki krzak z grubymi korzeniami, które przetrwały wiele sztormów - został wydarty z ziemi i uniesiony.

Tamur przysunął usta do ucha Conana i wrzasnął:

- To Gniew Kaavana! Musimy znaleźć schronienie i zacząć się modlić!

- To tylko burza! - odkrzyknął Cymmerianin. - Stawiłeś czoło gorszej na „Tancerce”!

- Nie! To nie jest zwyczajna burza! To Gniew Kaavana! - Twarz Hyrkańczyka zastygła w maskę przerażenia, na której strach walczył z resztkami odwagi. - Uderza bez ostrzeżenia i zabija ludzi! Unosi w powietrze konie i jurty z mieszkańcami, i roztrzaskuje je o ziemię gdzieś daleko albo zabiera za zawsze! Musimy się schować, inaczej zginieemy!

Wichura rzeczywiście wzmogła się jeszcze bardziej. Targane podmuchami krzaki wyglądały tak, jakby same próbowały wyrwać się z ziemi i uciec. Niesione wiatrem krople uderzały z siłą kamyków wystrzelonych z procy.

Akeba, na wpół podtrzymując Sharaka, podniósł głos, żeby przekrzyczeć ryk nawałnicy.

- Musimy przeczekać, Cymmerianinie! Starzec ledwie dycha! Nie przeżyje burzy, jeśli my nie przetrwamy!

Sharak odsunął się od Turańczyka i stanął o własnych siłach. Mokre pasma białych włosów oblepiały mu czaszkę.

- Może ty, żołnierzu, ledwo dychasz, bo ja nie!

Conan popatrzył na niego ze smutkiem w oczach. Sharak trzymał się laski jak ostatniej deski ratunku. Pozostali dwaj, choć młodszy i silniejszy, nie byli w dużo lepszym stanie. Czarną twarz Akeby pobruździło zmęczenie, a Tamur, w przekrzywionej futrzanej czapie, zachwiał się pod wpływem uderzenia wiatru. Yasbet czekała na ratunek.

- Ilu twoich nomadów idzie za nami, Tamurze? - zapytał po chwili. - Dopędzą nas, jeśli zaczekamy?

- Wyruszyli wszyscy - odparł Tamur - ale Hyrkańczycy nie podróżują w czas Gniewu Kaavana. To pewna śmierć, Cymmerianinie.

- Pachołki Jhandara nie są Hyrkańczykami! - krzyknął. - Oni się nie zatrzymają. Trzeba dotrzeć do galery przed końcem burzy, zanim ruszana morze. Jeśli nie pójdziecie ze mną, pójdę sam.

Przez długą chwilę słychać było tylko wycie wichury i szum ulewy. W końcu Akeba powiedział:

- Bez tego statku zapewne nigdy nie dopadnę Jhandara.

Ramiona Tamura wzniosły się w westchnieniu, które zagłuszył wiatr.

- Baalsham. Prawie o nim zapomniałem. Kaavan rozumie zemstę.

Sharak bez słowa obrócił się na południe i ruszył, ciężko opierając się na lasce. Conan i Akeba złapali go z obu stron pod ręce i nie puścili, choć marudził coś pod nosem. Razem podjęli znojną wędrówkę.

Sztorm z wściekłością atakował wybrzeże. Karłowate drzewa o poskręcanych konarach i wielkie krzaki kołysały się jak szalone, dotykając czubkami ziemi. Strudzonych wędrowców smagały bice deszczu i drobiny żwiru, pomykające w powietrzu jak w czasie burzy piaskowej. Wiatr, który niósł jedno i drugie, wył jak demony ze wszystkich piekieł. Zagłuszał szum krwi tętniącej w uszach - nie słyszeli nawet własnych myśli.

Z powodu tego nieustannego hałasu Conan często oglądał się, wypatrując pościgu. Tamur mógł wierzyć, że Hyrkańczycy nie ryzykują wędrówek w czas gniewu Kaavana, ale on z doświadczenia wiedział, że ludzie robią to co muszą i pozwalają, aby bogowie później odsiewali dobro od zła. Dzięki częstemu oglądaniu się wiedział, że ich oddziałek powiększył się najpierw o jedną osobę, potem o dwie i cztery. Przemoczeni do suchej nitki, z włosami umyтыми z łoju i w baranich skórkach wreszcie wolnych od brudu, ludzie Tamura dołączali do nich jeden po drugim. Krzywili twarze z radości i ulgi na widok swoich towarzyszy. Co ich gnało - żądza zemsty na Jhandarze, strach przed pościgiem czy przerażenie, że samotnie stawia czoło Gniewowi Kaavana? Conan nie wiedział i mało go to obchodziło. Im byli liczniejsi, tym większe mieli szansę uratowania Yasbet i przejęcia galery. Z kamiennym obliczem, które źle wróżyło poszukiwanym, wielki Cymmerianin przedzierał się przez burzę.

Kiedy wspinali się na zbocze skalistego przylądka, ryjąc podłóżę paznokciami, żeby wiatr nie zdmuchnął ich do morza, wycie nagle ucichło. Na niebie kłębiły się ciemne chmury, a fale tłukły o klif i o plażę, ale w nienaturalnie spokojnym powietrzu zapanowała względna cisza.

- Skończyło się - zawołał Conan do brnących w szeregu ludzi - i przeżyliśmy. Nawet gniew boga nie może nas zatrzymać.

Mimo przekonania, jakie brzmiało w jego głosie, przyspieszył jednak wspinaczkę. Galera mogła

odpłynąć zaraz po zakończeniu burzy. Tamur zawołał coś za jego plecami, lecz on nie zwrócił uwagi. Osiągnął szczyt i niemal krzyknął z radości. U stóp stromego urwiska rozpościerała się plaża, a na niej leżała galera.

Natychmiast przypadł do ziemi, żeby nie wypatrzył go nikt z dołu, i przeczołgał się na skraj przepaści. Bliźniacze maszty statku zostały zdjęte i mocno przywiązane do ram na dziobie i rufie. Niewątpliwie załoga miała niewiele czasu na zrobienie czegoś więcej przed uderzeniem burzy. Kotwice wywleczone były daleko na wydmy, a galerę wyciągnięto w głąb plaży, lecz wzburzone fale ruszyły jej śladem i nadal pienily się wokół burt. Zwęglone poszycie na rufie i poczerńnięte słupki relingu przypominały o pierwszym spotkaniu na morzu.

Akeba i Tamur dotarli na wierzchołek, padli płasko na brzuchy obok Conana i znad krawędzi zerknęli na statek. Za nimi pojawili się koczownicy.

- Niech się usmażę w Piekłach Zandru, Cymmerianinie - sapnął Akeba. - Nie sądziłem, że się uda. Koniec burzy i statek, dokładnie jak powiedziałaś.

- Gniew Kaavana jeszcze się nie wyczerpał - oznajmił ponuro Tamur. - Właśnie to próbowałem ci uświadomić.

Conan podniósł się na łokciu, zastanawiając się, czy burza nie pomieszała koczownikowi w głowie.

- Nie ma deszczu ani wiatru. O co ci chodzi? Tamur ze zmęczeniem pokręcił głową.

- Nie rozumiesz, cudzoziemcze. Nastal teraz czas Łaski Kaavana, czas modłów za zmarłych i o własne życie. Wkrótce znów rozpocznie się ulewa i uderzy wiatr, równie nagle, jak ucichł, ale tym razem z innego kierunku. Szamani mówią...

- Niech Erlik trąca twoich szamanów - mruknął Akeba. Nomadowie poruszyli się niespokojnie, byli jednak zbyt zmęczeni, aby zdobyć się na coś więcej niż przekleństwa. - Jeśli on mówi prawdę, Cymmerianinie, skończymy marnie. Jesteśmy zmordowani do tego stopnia, że mogłaby nas pokonać gromadka tancerek. Jak i kiedy mamy odpocząć? Jeżeli nie opanujemy statku przed powrotem tego przeklętego Gniewu Kavaana... - Zgarbił się i wsparł brodę na rękach, popatrując na galerę.

- Niedługo odpoczniemy - obiecał Conan. Cofnął się od krawędzi i poczołgał do Sharaka. Rozciągnięty na ziemi wiekowy astrolog wyglądał jak sterta mokrych szmat, ale przewrócił się na plecy, gdy Conan zatrzymał się obok niego. - Leż spokojnie, zostaniemy tu jakiś czas.

- Chyba nie z mojego powodu - warknął Sharak. Zerwałby się na nogi, gdyby Conan nie przycisnął go do ziemi. - Ta przygoda ocieka wilgocią, ale nie rozcieńczyła mi odwagi. Dziewczyna, Conanie. Musimy jej poszukać. I Jhandara.

- Zrobimy to, Sharaku.

Staruszek ucichł, a Conan wrócił do Akeby i Tamura, którzy razem z nim przesunęli się do

krawędzi. Inni nomadowie obserwowali ich z daleka.

- Po co to gadanie o czekaniu? - zapytał Turańczyk. - Jedyne ratunek to przejście galery.

- Zgadza się - przyznał Conan - ale nie przed ponownym uderzeniem burzy.

Tamur sapnął.

- Przypuszczać atak w obliczu Gniewu Kaavana? To szaleństwo!

- W sztormie podejmiemy nie zauważeni - wyjaśniał cierpliwie Conan. - Musimy działać z zaskoczenia, jeśli chcemy ich pojmać.

- Pojmać? - zdumiał się Tamur. - Służą Baalshamowi. Poderżniemy im gardła.

- A umiesz żeglować?

- Żeglować? Jestem Hyrkańczykiem. Po co mi... - Konsternacja odmalowała się na twarzy koczownika. Gdy zrozumiał, ograniczył się do ledwo słyszalnych przekleństw.

Conan szybko nakreślił swój plan.

- Powiedźcie innym. - zakończył.

Podczołgał się do krawędzi i ułożył na twardym, wilgotnym podłożu tam, skąd widział statek jak na dłoni. Nie mogli odpłynąć przed końcem sztormu. Czekał cierpliwie niczym wielki drapieжник, obserwujący nadchodzące stado antylop. Po pierwszych kroplach, które szybko przeszły w ryczącą ulewę, zerwał się porywisty wiatr. Dął z południa, jak zapowiedział Tamur, i ryczał z taką furją, że chwilami trudno było uwierzyć, iż kiedykolwiek ścichnie.

Bez słów, tych bowiem nikt już nie słyszał, Conan poprowadził ich na dół. Każdy trzymał się pasa poprzednika, potykając się na nierównościach i walcząc z wiatrem z ponurą determinacją. Conan nie wyciągnął miecza; musiały wystarczyć gołe ręce. Choć deszcz zalewał mu oczy, pewnie wybierał drogę przez plażę. Nagle jego wyciągnięta ręka natrafiła na drewno. Burta statku, Lina miotana wiatrem uderzyła go w ramię; pochwycił ją, zanim zdążył zrobić to następny podmuch, i zwinnie wspiał się na pokład. Gdy przechodził nad relingiem w dziobowej części galery, poczuł drżenie liny. To Akeba rozpoczął wspinaczkę.

Oczy Conana pospiesznie omiotły pokład. W potokach deszczu widział tylko niewyraźne kształty i żaden nie przypominał człowieka, jednakże bał się że nawet w sztormie wystawiono warty.

Akeba pojawił się obok i obaj ruszyli na rufę, Conan wiedział, że reszta podąży za nimi. Nie mieli wyboru.

Ciężka kłapa zakrywała zejście pod pokład. Conan wymienił spojrzenia z Akeba kulącym się w nawałnicy. Turańczyk pokiwał głową. Conan podważył pokrywę luku i z rykiem zeskoczył na drabinę.

W przytulnej, oświetlonej kabinie, racząc się winem, siedziało czterech mężczyzn, najpewniej oficerów. Kielichy zagrzechotały na deskach pokładu, gdy Conan wylądował na środku pomieszczenia. Żeglarze poderwali się, sięgając po miecze, ale Conan był szybki jak błyskawica: jednego trzasnął pięścią za uchem i posłał go w ślad za kielichem, zmiażdżył nos drugiemu i wymierzył kopniaka w brzuch trzeciego jeszcze zanim zdążył wyprostować się po skoku z drabiny.

Czubek jego miecza znieruchomiał o szerokość palca od haczykowatego nosa czwartego. Szmaragd w uchu mężczyzny i gruby złoty łańcuch zdradzały jego kapitańską rangę tak jednoznacznie, jak harcapy, które wskazywały, że wszyscy czterej są żeglarzami z Vilayetu. Kapitan zamarł z mieczem wysuniętym z pochwy do połowy.

- Nie potrzebuję was wszystkich - warknął Conan. - Decyzja należy do ciebie.

Kapitan niepewnie oblizał usta i zerknął na swoich towarzyszy. Dwaj nie ruszali się, a trzeci bez większego powodzenia próbował podnieść się z pokładu. - Nie poradzisz sobie. Moja załoga wywiesi wasze serca na rejach. - Drżenie głosu kapitana zadawało kłam jego słowom. Powoli i ostrożnie odsunął rękę od broni.

- Nie mam pojęcia - mruknął Akeba, przysiadając na szczeblu drabiny - po co ci byłem potrzebny.

- Mogło być pięciu - odparł Conan z uśmiechem, który wprowadził kapitana w jeszcze większe drżenie. - Przyrowadź Sharaka, Akebo. Tutaj jest ciepło. I zobacz, jak radzą sobie inni.

Żołnierz westchnął i waląc ciężkimi buciorami o szczeble wyszedł w burzę. Conan odwrócił się do kapitana.

- Kiedy wracają ci, którzy cię wynajęli?

- Jestem kupcem, przybyłem tutaj na własną... - Ostrze miecza dotknęło górnej wargi kapitana. Zezem popatrzył na stal. Z trudem przełknął ślinę i spróbował odsunąć głowę, ale Conan nacisnął na miecz. - Nie powiedzieli - wyznał pospiesznie. - Przykazali mi czekać, dopóki nie wrócą, nieważne, jak długo. Nie miałem zamiaru się sprzeciwiać. - Twarz mu pobladła i mocno zacisnął usta, jakby bojąc się dodać coś więcej.

Podczas gdy Conan zastanawiał się, jakim sposobem pasażerowie galery zyskali tak wielki wpływ na kapitana, Akeba i Tamur zsunęli się po drabinie, szczelnie zamykając za sobą luk. Turańczyk przydzwigał Sharaka, usadził go na ławie i nalał mu wina. Astrolog wymamrotał słowa podziękowania i schował twarz w kielichu. Tamur zatrzymał się przy drabinie, wycierając sztylet w płaszcz z owczych skór.

Conanowi oczy błysnęły na widok sztyletu i musiał ugryźć się w język, żeby powstrzymać przekleństwa. Położył rękę na piersiach kapitana i niedbałym ruchem pchnął go na ławę.

- Mówiłem ci, że potrzebujemy tych żeglarzy, Tamur. Ilu zabiłeś?

- Dwóch, Cymmerianinie. - Nomada rozłożył ręce. - Tylko dwóch. I jeden jest ciut uszkodzony. Ale stawiali opór. Moi ludzie pilnują innych. Został ich tuzin.

- Tłuc pięściami i rękojeściami, mówiłem - warknął Conan. Odwrócił się, żeby nie powiedzieć za dużo. - Jak się czujesz, Sharak?

- O niebo lepiej - odparł astrolog. Wyprostował się, choć nadal był zmordowany i jak oni wszyscy ociekał wodą. - Jest Yasbet?

Conan pokręcił głową.

- Poczekamy, aż ją przyprowadzą.

- A potem na Jhandara - powiedział Sharak.

- Potem na Jhandara - powtórzył Conan.

- Stawiali opór - tłumaczył Tamur urażonym tonem. - Zostało ich dość, by mogli zrobić, co trzeba. - Nikt nie odezwał się ani nawet na niego nie spojrział. Po chwili mówił dalej: - Ruszyłem między ławami wiosłarzy, Conanie, żeby sprawdzić, czy ktoś nie schował się wśród niewolników, i zgadnij, kogo znalazłem? Człowieka z tamtego statku. Jak on się nazywał? Bayan. Tak, Bayan. Przykuty łańcuchem do ławy z innymi. - Poderwał głowę i zaniósł się takim śmiechem, jakby to była najzabawniejsza historia pod słońcem.

Conan ściągnął brwi. Bayan tutaj? W łańcuchach?

- Przyprowadź go, Tamurze - rozkazał. - Natychmiast! - dodał takim tonem, że nomada w jednej chwili skoczył do drabiny. - Zwiąż tych tutaj, Akebo - mówił - żebyśmy nie musieli zawracać sobie nimi głowy. - Ruchem miecza kazał kapitanowi położyć się na pokładzie; żeglarz o haczykowatym nosie posłuchał bez słowa sprzeciwu.

Nim czterej oficerowie, w tym dwaj nadal nieprzytomni, zostali skrępowani, Tamur powrócił z Bayanem. Poza łańcuchami chudy majtek z „Tancerki” miał na sobie tylko pręgi po biczu i przepaskę z brudnej szmaty. Stał z opuszczoną głową, dygocąc z zimna, i obserwował Conana kątem oka.

Wielki Cymmerianin usiadł okrakiem na ławie. Trzymał miecz w taki sposób, żeby światło latarni pełgało po ostrzu.

- Skąd się tu wzięłeś, Bayanie?

- Zszedłem ze statku - mruknął zapytany - i ci dranie mnie pojмали. Żeglarze mają swój kodeks, ale oni przykuli mnie łańcuchami do wiosła - podniósł głowę, żeby splunąć na związanego kapitana - i wychłostali, kiedy próbowałem protestować.

- Co się stało na „Tancerce”? Chyba nie odszedłeś tak po prostu?

Chudzielec zaszurał nogami po deskach, czemu towarzyszył szczeł ogniw łańcucha, ale milczał.

- Będiesz mówił, gdy każę Akebie rozgrzać żelaza. Turańczyk zamrugnął, potem zrobił groźną



minę; Bayan zwilżył usta językiem.

- I powiesz prawdę - ciągnął Conan. - Ten stary jest wróżbitą. Pozna, kiedy skłamiesz. - Podniósł miecz, jakby chcąc obejrzyć ostrze. - Za pierwsze kłamstwo ręka. Potem stopa. Potem... Ile kłamstw potrafisz wytrzymać? Trzy? Cztery? Z pewnością nie więcej.

Bayan spojrzał w jego oczy, błękitne i zimne jak lodowiec, i słowa zaczęły płynąć z jego ust nieprzerwanym potokiem.

- Jakiś człowiek przyszedł na statek, człowiek o żółtej skórze i oczach takich, że serce zamierało w piersiach. Miał z sobą twoją... twoją kobietę. Zaoferował sto sztuk złota za szybkie przewiezienie do Aghrapuru. Powiedział, że ta galera została zniszczona, i „wiedział, że „Tancerka” jest szybsza. Nawet nie próbował zaprzeczać, że chciał nas zatopić. Muktara zmęczyło czekanie na ciebie, a kiedy pojawił się ten z kobietą... cóż, stało się jasne, że nie żyjesz, przynajmniej na to wyglądało, i wszyscy pomyśleli, że łatwo będzie wziąć kobietę i złoto, i...

- Zwolnij! - rozkazał ostro Conan. - Yasbet nic się nie stało?

Bayan z trudem przełknął ślinę.

- Nie... nie wiem. Przed Mitrą i Dagonem przysięgam, że nie podniosłem na nią ręki. Żyła, kiedy odchodziłem. Muktar dał znak, rozumiesz, i Tewfik, Marantee i ja rzuciliśmy się na obcego ze sztyletami, ale on zabił ich, zanim zdążyłem mrugnąć. Tylko ich dotknął, a padli trupem. A potem... potem zażądał, żeby Muktar poderznął mi gardło. - Wydał dziwny dźwięk, ni to śmiech, ni szloch. - Na dowód wierności. I ten tłusty pomiot parchatego kozła chciał to zrobić! Wyczytałem to w jego twarzy, i uciekłem. Mam nadzieję, że zatonął w tym przeklętym sztormie. Modłę się, żeby wraz z „Tancerką” spoczął na dnie morza.

- Niezbyt fortunnie dobrana modlitwa - syknął Conan przez zaciśnięte zęby. - Yasbet jest na tym statku.

Bayan jęknął rozpaczliwie i osunął się do jego kolan.

- Odprowadź go tam, skąd wzięłeś - warknął Conan.

Tamur poderwał chudzielca na nogi; Cymmerianin patrzył za nimi, gdy odchodzili.

- Czy galera jest zbyt zniszczona, żeby wypłynąć w morze? - zapytał kapitana.

Mężczyzna o haczykowatym nosie, który z otwartymi ustami przysłuchiwał się opowieści Bayana, prychnął pogardliwie.

- Tylko lądowy szczur może tak myśleć. Kiedy sztorm ucichnie daj mi pół dnia na naprawy, a poześlę wszędzie przy każdej pogodzie.

- Wszelkie naprawy wykonasz na morzu - oświadczył spokojnie Conan. - Wypłyniemy, gdy tylko burza uciszy się na tyle, żeby odbić od brzegu bez ryzyka rozbicia. - Gdy żeglarz otworzył usta,

Conan natychmiast przyłożył miecz do jego gardła. - A może jeden z tych trzech chciałby zająć twoje miejsce?

Kapitan wytrzeszczył oczy i przez długą chwilą bezgłośnie poruszał ustami. Wreszcie wydusił:

- Zrobię, co każesz. Zapewne wszyscy utoniemy, ale będę posłuszny.

Conan pokiwał głową. Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Yasbet z każdą chwilą był coraz bliżej Jhandara. Miał wrażenie, że sztorm tłukący o kadłub powtarza imię czarnoksiężnika. Jhandar. Tym razem spotkają się twarzą w twarz, i jeden z nich umrze. Jeden albo obaj, Jhandar.

## XXIII

Wypoczywali przy fontannie w otoczonym murem ogrodzie. Davinia z zachwytem oglądała nowe podarunki. Jhandar, rozpięty na poduszkach z wielobarwnego jedwabiu, przyglądał się jej z uśmiechem, jednakże myślami był gdzie indziej. Jeszcze trzy dni, a jeśli nic się nie zmieni, wszystkie jego plany legną w gruzach. Czy ta kobieta niczego się nie domyśla?

- Są piękne - zawołała Davinia, wyciągając nad głowę ręce ozdobione szmaragdowymi bransoletami.

Ona też była piękna i innym razem pot zrosiłby mu czoło. Skąpy stanik ze złotego jedwabiu zsunął się z zaokrąglonych piersi, a szeroka na dwa palce przepaska z szafirów i granatów, z której zwieszały się jaskrawe pióra rzadkich tropikalnych ptaków, opadła nisko na biodrach. Popatrzyła na niego z pieszczotą w wilgotnych oczach.

- Muszę pomyśleć, jak wyrazić ci wdzięczność - wymruczała.

W odpowiedzi niedbale pomachał ręką. Za trzy dni Yildiz, ten tłusty głupiec, spotka się ze swoimi doradcami, żeby zdecydować, dokąd wysłać rozbudowaną armię. Z Siedemnastu Doradców ośmiu miało optować za utworzeniem cesarstwa, za wojną z Zamorą. Tylko ośmiu. Jhandar wiedział, że Yildiz oprze się na zdaniu większości zamiast naprawdę rozważyć argumenty za i przeciw. Dziewięciu miało opowiedzieć się za pokojem, za zredukowaniem wojska. Potrzebował jeszcze jednej osoby, która wybrałaby wojnę. Kto by dał wiarę, iż tych dziewięciu wiodło takie życie, że choć nie byli bez skazy, nie mógł ich szantażować? Nie mając dostępu do samego Yildiza, zrobił wszystko, co tylko możliwe, a jednak za trzy dni roczne wysiłki pójdą na marne.

Miał za mało czasu. Najpierw musiał zaaranżować morderstwo jednego z opornych doradców i pokierować wyborem nowego, a jeśli plan się nie powiedzie, obmyśleć następną zbrodnię. Potem znów będzie trzeba powiększyć armię. Gdyby wszystko poszło po jego myśli, za trzy dni świat ujrzałby powstanie cesarstwa, które tylko z nazwy nie należałoby do niego. Królowie gięliby przed nim kolana, żeby wysłuchać jego rozkazów. Zamiast tego miał zaczynać od początku i czekać jeszcze dłużej na to, o czym marzył od tak dawna.

A czekanie niosło w sobie inne ryzyko. Czego ten Conan szukał w Hyrkaniu? Czy znalazł coś, co może być użyte przeciwko Mocy? Dlaczego Che Fan nie wraca z głową barbarzyńcy w koszu?

- Dasz mi ich, Jhandarze?

- Oczywiście - odparł z roztargnieniem, po czym oderwał się od ponurych rozważań. - Co mam ci dać?

- Niewolników. - Davinia była wyraźnie nadąsana; ostatnio zdarzało jej się to często. - Nie słuchałeś?

- Oczywiście, że słuchałem. Ale powiedz mi jeszcze raz o tych niewolnikach.

- Czterech - powiedziała, stając przed nim na szeroko rozsuniętych nogach. Teraz poczuł, jak pot zrasza mu czoło. Aureola światła otaczała kobietę w złotym jedwabiu, podkreślając jej ponętne kształty. - Naturalnie, dobrze umięśnionych młodzieńców - mówiła. - Dwóch czarnych jak smoła i dwóch białych jak śnieg. Pierwszą parę ubiorę w perły i rubiny, drugą w onyksy i szmaragdy. Będą oprawą dla mojej urody, dla ciebie - dodała spieszenie.

- Po co ci chłopcy? - warknął. - Masz niewolnice na swoje rozkazy. I tę starą wiedźmę, Rendę, z którą szepczesz przez cały czas.

- Do noszenia lektyki, to chyba jasne - wybuchnęła melodyjnym śmiechem. Płynnie opadła na kolana i pochyliła się, wspierając piersi na jego torsie. Ustami musnęła jego szczękę. - Z pewnością mój Najwyższy Pan nie odmówi mi lektykarzy. Mój Najwyższy Pan, któremu służę z największą rozkoszą. Wszelkimi sposobami.

- Nie mogę odmówić ci niczego - wymamrotał niewyraźnie. - Dostaniesz niewolników.

W jej oczach dostrzegł przelotny błysk satysfakcji i to zwarzyło mu humor. Zostawiłaby go w jednej chwili, gdyby znalazła kogoś, kto mógłby dać jej więcej. Zamierzał zadbać, by ktoś taki nigdy się nie pojawił, ale mimo wszystko... Mógłby związać ją z sobą na zawsze z pomocą złotej misy i krwi z jej serca. Nikt, kto by ją widział czy z nią rozmawiał, nie poznałby, że Davinia już nie należy do świata żywych. Ale on wiedziałby o tym doskonale.

Ktoś chrząknął nieśmiało. Jhandar zmarszczył gniewnie brwi i usiadł. Na marmurowej ścieżce stał Zephran. Kłaniał się głęboko złożonywsy dłonie, starannie odwracając oczy od Davinii.

- O co chodzi? - zapytał ze złością Jhandar.

- Wrócił Suitai, Najwyższy Panie - poinformował łysogłowy sługa.

Złość Jhandara zniknęła w jednej chwili, razem z myślami o Davinii. Nie zważając na swoją godność, poderwał się w pośpiechu.

- Prowadź! - rozkazał. Niejasno zdawał sobie sprawę, że Davinia idzie za nimi, ale miał ważniejsze sprawy na głowie.

Suitai czekał w prywatnej komnacie audiencyjnej, rozświetlonej o tej porze przez brązowe lampy w kształcie lwów. Na mozaikowej posadzce u stóp Khitajczyka leżał okazały worek.

- Gdzie jest Che Fan? - zapytał Jhandar.

- Zginął, Najwyższy Panie - odparł Suitai.

Jhandar zatrzymał się w pół kroku.

Wiedział, że to prawda, lecz w jakimś zakamarku jego umysłu błąkała się myśl, że ci dwaj zabójcy są niezniszczalni. Trudno było wyobrazić sobie kogoś, kto mógłby ich zabić.

- Jak? - zapytał krótko.

- Barbarzyńca zyskał pomoc ze strony hyrkańskiej czarownicy, Najwyższy Panie. Ona również nie żyje.

Ten uśmiech musi oznaczać, że Suitai jest jej zabójcą, pomyślał bez większego zainteresowania Jhandar.

- A barbarzyńca?

- Conan też zginął, Najwyższy Panie.

Jhandar powoli pokiwał głową, czując dziwną ulgę. Ostatecznie okazało się, że ten Conan był ledwie żdźbłem na wietrze, przyciągającym w przelocie uwagę, lecz przecież nieistotnym. Uśmiech Suitai zgasł na wzmiankę o barbarzyńcy, bez wątplenia dlatego, że Conan zginął z ręki Che Fana. Czasami czarnoksiężnik uważał, że Suitai nadmiernie łaknie krwi, co mogło kiedyś okazać się niebezpieczne. Teraz nie miał czasu na takie drobne zmartwienia.

- Pozbyłeś się załogi galery, jak rozkazałem? Nie życzę sobie, by cokolwiek łączyło mnie z Hyrkanią. - Nie, dopóki to on nie zyska kontroli nad regionem obłożonym klątwą przez szamanów i zawierającym coś, co mogło stanowić zagrożenie. Nie, dopóki nie utrwali swojej władzy w Turanie.

Wysoki Khitajczyk lekko zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

- Galera została zniszczona, Najwyższy Panie, i nie mogła wyruszyć na morze. Kazałem załodze czekać na mój powrót, a sam zawładnąłem statkiem, którym przybył barbarzyńca, i dobiłem do brzegu daleko na północ od miasta. Niewątpliwie plemiona z wybrzeża już rozprawiły się z marynarzami z galery.

- A załoga drugiego statku?

- Nie żyją, Najwyższy Panie. Zabiłem wszystkich i sam doprowadziłem statek do plaży. - Nieodgadniony wyraz przemknął przez jego zwykle obojętną twarz i Jhandar przyjrzał mu się uważnie. Suitai poruszył się niespokojnie, potem powoli podjął: - Kapitan, Najwyższy Panie, gruby mężczyzna zwany Muktarem, skoczył do morza. Utonął, nie mam co do tego wątpliwości.

- Nie masz wątpliwości co do wielu rzeczy, Suitai. - Głos Jhandara był miękki jak jedwab, a zarazem ociekał jadem niczym ogon skorpiona.

Pot wystąpił na czoło zabójcy. Maga cechował kompletny brak wyrozumiałości w stosunku do tych, którzy niedokładnie wypełniali jego polecenia.

Khitajczyk pochylił się, sięgając do wielkiego worka.

- Przyniosłem ci dar, Najwyższy Panie. - Rozwiązał rzemienie i z worka wypadła dziewczyna, która poturlała się po mozaikowej posadzce.

Miała dłonie przywiązane do łokci za plecami i kolana podciągnięte wysoko do piersi. Cienki sznur wpił się głęboko w jej nagie ciało. Bełkotała ze złością przez knebel i próbowała poluzować pęta, ale mogła poruszać tylko palcami rąk i nóg.

- Tę dziewczynę barbarzyńca wykradł z siedziby Kultu, Najwyższy Panie - oznajmił z satysfakcją Suitai.

Jhandar parsknął pogardliwie.

- Nie myśl, że to wynagrodzi twoje spóźnienie. Czym jest jedna dziewczyna mniej czy więcej w porównaniu...

- Przecież to Esmira! - zawołała Davinia.

Czarownik gniewnie zmarszczył czoło. Zapomniał, że kobieta przyszła tu za nimi.

- To nie jest jej imię. Ona nazywa się... - Choć wyznaczył dziewczynę do swego łóża, imię umknęło mu z pamięci i przywołał je dopiero po dłuższej chwili. - Yasbet. Tak, Yasbet. Wracaj do ogrodu, Davinio. Muszę omówić sprawy, które ciebie nie dotyczą.

Zamiast odejść, gibka blondynka przykucnęła na piętach obok związanej. Ujęła oburącz jej twarz i zwróciła w swoją stronę, żeby móc dokładnie jej się przyjrzeć.

- Mówię ci, że to księżniczka Esmira, córka księcia Roshmanliego.

Jhandarowi nagłe zaschło w ustach.

- Jesteś pewna? Słyszałem, że księżniczka przebywa w klasztorze.

Davinia obrzuciła go miazdzącym spojrzeniem, za które każdy inny zostałby natychmiast boleśnie ukarany. Jej darował, na razie. Książę był najbliższym doradcą Yildiza i należał do tych dziewięciu, na których Jhandar nie miał wpływu - nigdy nie uwiódł zameżnej kobiety i grał tylko za swoje złoto. Jednakże mówiono, że córka była jego oczkiem w głowie, że robił wszystko, aby ochronić ją przed złem świata. Nie miał litości dla mężczyzn, którzy choćby rzucili na nią okiem. Czy w imię bezpieczeństwa ukochanej Esmiry zdecyduje się posłać Turan na wojnę? Jeśli Jhandar umiejętnie pokieruje sprawą, osiągnie cel.

Potem oczy czarnoksiężnika przesunęły się na Davinię, uśmiechającą się z zadowoleniem, i zaświtał mu nowy pomysł.

Poderwał blondynkę na nogi.

- Mówisz, że pragniesz służyć tylko mnie. Czy to prawda?

- Tobie - zaczęła powoli - mówię tylko prawdę.

- Tej nocy odbędzie się pewna ceremonia. W jej trakcie wbijesz sztylet w serce tej dziewczyny. - Spojrzał kobiecie głęboko w oczy, wypatrując śladu niezdecydowania. Nie znalazł.

- Co Najwyższy Pan rozkaże - zapewniła ochoczo.

Jhandar miał ochotę wybuchnąć dzikim śmiechem. Davinia uczyniła pierwszy krok. Nóż przywiąże ją do niego mocniej od żelaznych łańcuchów. A on zyska atut, który zapewni mu dziewiąty głos wśród królewskich doradców. Jego marzenia zaczynały się ziszczać. Cesarstwo i kobieta... Będzie miał jedno i drugie.

## XXIV

Ciemne morze burzyło się pod dziobem galery, a odkosy opalizowały bielą, gdy sześć dziesiątków niewolników równo pociągało wiosłami. Przed żaglowcem majaczyło turańskie wybrzeże. U stóp statku łamały się grzywacze i linia piany lśniła w bladej poświacie księżyca. Nad wodą toczyły się echa przyboju.

Conan stał na rufie galery, skąd mógł pilnować kapitana i sternika. Już próbowali pokierować statek gdzie indziej, niż rozkazał - może do portu w Aghrapurze, a tam wraz ze swoimi towarzyszami zostałby uznany za pirata. Tylko skąpa wiedza, jaką nabył w trakcie włóczędzy z przemytnikami, pokrzyżowała im plany. Reszta załogi, ponura i rozbrojona, pracowała pod czujnym okiem Akeby, Tamura i nomadów. Sharak trzymał się lin fokmasztu i gapił się w niebo, wyszukując konstelacji mówiących o przeznaczeniu.

Conan nie dbał o to, co przepowiadają gwiazdy. Przeznaczenie będzie takie, jak ma być. On nie zmieni swoich planów ani o włos.

- Tam - powiedział, wyciągając ręką. - Dobijaj do brzegu.

- Tam nic nie ma - sprzeciwił się kapitan.

- Tam - powtórzył Conan. - Dość blisko miejsca, do którego zmierzamy. Myślę, że z zadowoleniem ujrzysz nasze plecy, a stanie się to wtedy, gdy wysadzisz nas we wskazanym miejscu.

Kapitan wydał rozkaz sternikowi i galera lekko zmieniła kurs.

Wielki Cymmerianin dokonał wyboru miejsca lądowania na podstawie skąpych informacji. Odległa łuna światła Aghrapuru. Rzut oka na gwiazdy. Instynkt. Może, pomyślał, to ostatnie odegrało najważniejszą rolę. Po prostu wiedział, że na tym wybrzeżu znajduje się siedziba Kultu Przeznaczenia, więzienie Yasbet i rezydencja Jhandara - człowieka, którego musiał zabić, nawet gdyby przyszło mu zapłacić za to własnym życiem.

Piach zazgrzytał pod stępką galery. Statek skoczył, przechylił się i przesunął do przodu, pchnięty silnymi pociągnięciami wiosła. Wreszcie znieruchomiał z lekko przechylonym pokładem.

- Zrobione - oznajmił kapitan. Na jego krzywonośnej twarzy złość walczyła z satysfakcją. - Możesz teraz zejść z mojego statku, a ja po waszym odejściu złożę całopalne ofiary Dagonowi.

- Akeba! - zawołał Conan. Gdy usłyszał okrzyk w odpowiedzi, odwrócił się do kapitana. - Radzę ci ruszyć na południe wzdłuż wybrzeża. Nie wiem, co wydarzy się tutaj dzisiejszej nocy, ale obawiam się, że moce wyrwą się na wolność. Widziałem miejsce, w którym szalały; niektórzy musieli uważać śmierć za wybawienie.

- Czary? - kapitan wessał powietrze i roześmiał się nerwowo, choć zawadiacko. - Nie boję się, że mnie pochwyć. Odbiję, gdy tylko zejdziecie na ląd i ruszę na południe w tempie, jakie bicze zdołają wycisnąć z wiosła... - Jego słowa zagłuszył huk pokryw luków na śródkręciu. Na pokład wypadli na wpół nadzy, pokryci bliznami ludzie. Rzucili się do relingów i jeden przez drugiego skakali ze statku. Kapitan wytrzeszczył oczy. - Uwolniłeś niewolników! Ty głupcze! Co... - Odwrócił się do Conana i niemal nadział na obnażone ostrze.

- Trzydzieści wiosła - rzekł cicho Conana do każdego przykutych dwóch ludzi. Nie kocham łańcuchów, sam bowiem dzwigałem je na karku. Zwykle nie zadaję sobie trudu uwalniania niewolników. Nie mogę zerwać wszystkich łańcuchów na świecie ani w Turanie, ani w choćby jednym mieście, a gdybym nawet to zrobił, ludzie znaleźliby sposób na ich powtórne założenie, zanim pokryłyby się kurzem. Mimo to tej nocy świat może się skończyć, a ludzie, którzy przywieźli mnie do mojego przeznaczenia, zasłużyli na wolność. Tak im, jak nam wszystkim grozi śmierć przed świtem. Ty też skacz za burtę, kapitanie. Twoje życie może zależeć od tego, jak szybko zdołasz się stąd oddalić.

Kapitan spurpurowiał i wbił w niego rozgniewane oczy.

- Kradniesz moich niewolników, a potem rozkazujesz mi porzucić własny statek? Rambis! - zająknął się, patrząc na puste miejsce przy sterze. Conan widział, jak sternik, który słyszał jego słowa, dyskretnie prześlizgiwał się nad relingiem.

Odkrycie tej zdrady odebrało kapitanowi resztę odwagi. Ze zduszonym okrzykiem skoczył do morza.

Conan schował miecz do pochwy i odwrócił się, aby dołączyć do swoich towarzyszy. Na śródkręciu stały dwa tuziny brudnych i obszarpanych niewolników. Akeba i Hyrkańczycy przypatrywali im się czujnie.

Do przodu wysunął się wysoki mężczyzna z długą, skołtunioną czarną brodą i bliznami po niezliczonych razach. Lekko skłonił głowę i powiedział:

- Wybacz, panie. Nazywam się Akman. Czy to ty wróciłeś nam wolność? Pójdziemy za tobą.

- Nie jestem panem - odparł Conan. - Uciekaj, póki czas, i ciesz się, że nie musisz iść ze mną. Będę walczyć z potężnym czarnoksiężnikiem i tej nocy śmierć zbierze krwawe żniwo.

Kilku byłych niewolników wtopiło się w ciemność, a plusk oznajmił ich odwrót.

- Mimo wszystko pójdziemy za tobą, panie - zapewnił Akman. - Dlatego, kto żył jak martwy, śmierć na wolności jest większą nagrodą niż przychyłność bogów.

- Przestań nazywać mnie panem - warknął Conan. Akman pokłonił się, podobnie jak inni wioślarze. Conan westchnął i pokręcił głową. - Znajdźcie sobie broń i pojednajcie się ze swoimi bogami. Akeba! Mamur! Sharak!

Nie czekając, co zrobią galernicy, wielki Cymmerianin wsparł się o reling i skoczył do głębokiej po pierś wody. Fala złamała się na jego szerokich plecach i pokryła pianą barki. Zawołani szli za nim, gdy brnął do brzegu, kawałka piasku zasłanego drewnem i ruchliwymi cieniami.

- Ci niewolnicy mogą być większą zawadą niż pomocą - gderał Sharak, próbując wyżyć wodę z ubrania bez odkładania laski. - To zadanie dla wojowników.

- A ty jesteś najdzielniejszym ze wszystkich. - Akeba ze śmiechem poklepał starego astrologa po ramieniu, niemal przewracając go na ziemię. Jego śmiech brzmiał dziko i posępnie - był to śmiech człowieka, który śmieje się w twarz mrocznym bogom. - A ty, Cymmerianinie, czemu tak spochmurniałeś? Nawet po naszej śmierci zawlecemy Jhandara przed Czarny Tron Erlika.

- A jeśli Jhandar rozpęta magię, jak wówczas, kiedy został pokonany? Tutaj nie ma szamanów, żeby okiełznać złe moce.

Popatrzyli na niego. Sztuczna wesołość Akeby przebrzmiała bez echa. Sharak zastygł z rąbkiem szaty w rękach, zapominając o wyciskaniu wody. Conan był pewien, że słyszy, jak Tamur mruczy modlitwę.

Potem na plaży pojawili się ludzie z galery: dziesięciu, którzy nie ulegli strachowi lub nakazom zdrowego rozsądku. Prowadził ich Akman z bosakiem w stwardniałych dłoniach. Nomadowie też przyszedli, ze wstrętem otrząsając się z wody. Osobliwa armia do ratowania świata, pomyślał Cymmerianin.

Odwrócił się od morza. Ruszyli za nim - rząddek zdesperowanych ludzi, skradających się przez turańską noc.



- Naprawdę muszę wbić jej nóż w serce?

Pytanie Davinii wyrwało Jhandara z transu, w którym przygotowywał się do medytacji.

- Żałujesz swojej decyzji? - zapytał. W myślach rozkazał jej: niczego nie żałuj. Zamorduj księżniczkę w czarnoksiężskim obrzędzie. Połącz się ze mną więzami silniejszymi od żelaza.

- Nie żałuję, Najwyższy Panie - rzekła powoli, bawiąc się piórami przepaski. Kiedy podniosła głowę, jej szafirowe oczy były czyste i niezmacone. - Wiodła bezużyteczne życie. Przynajmniej jej śmierć czemuś się przysłuży.

Wbrew sobie nie mógł zaprzestać tej rozmowy.

- A gdybym powiedział, że nie ma w tym żadnego celu? Że ważna jest śmierć dla samej śmierci?

Chmurna mina Davinii niemal wstrzymała mu bicie serca.

- Nie ma żadnego celu? Nie lubię mieć krwi na rękach. - Z rozdrażnieniem potrząsnęła głową. - Przez wiele dni nie można zmyć tego uczucia. Nie zrobię przecież tego, jeśli jej śmierć ma być bezużyteczna.

- Jest cel - zapewnił - którego nie mogę ci zdradzić, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila. - I żeby uniknąć pytań, pospiesznie wyszedł z komnaty.

Wstrząsnął się na myśl, jak daleko musiał się posunąć, żeby ją przekonać. Pomyślał, że bez Davinii realizowanie własnych ambicji nie sprawiałoby mu takiej przyjemności. Jakaś racjonalna część umysłu powtarzała, że ta myśl jest wynikiem żądy, która doprowadza go do szaleństwa. Realizacja planów miała na stałe przywiązać ją do niego, gdzie bowiem znajdzie osobę dysponującą większą władzą Czy bogactwem? Dzięki pojmaniu Yasbet - skoro dziewczyna przybrała takie imię, więc tak nazywał ją w myślach - osiągnie cel. Zyska pełnię władzy w Taranie. Ale Davinia...

Toczył wewnętrzną walkę, kiedy usadowił się w komorze przed Sadržawką Kresu. Nie da rady. Musi pozbyć się emocji, żeby mogła przepełnić go Moc. Skoncentrował się na swoich marzeniach. Wojna i zamęt zapanują na świecie, nieład przyspieszony przez jego rozrastającą się grupę Wybranych. Tylko on potrafi położyć temu kres. Królowie będą padać przed nim na kolana. Powoli sadzawka zaczęła się rozjaśniać.

\* \* \*

Z konarów drzewa Conan przypatrywał się siedlisku Kultu Przeznaczenia. Kopuły z kości słoniowej połyskiwały w nakrapianym świetle księżycy, a purpurowe iglice dźgały czarne niebo. W obrębie wysokich murów nie migotał ani jeden płomyk i nikt się nie poruszał. Cymmerianin zsunął się na ziemię, do czekających towarzyszy.

- Pamiętajcie - zwracał się głównie do byłych galerników - należy zabić każdego, kto nosi broń,

oni bowiem się nie poddadzą.

Hyrkańczycy pokiwali głowami; wiedzieli o tym doskonale.

- Ale ten żółtoskóry w czarnej szacie należy do mnie - przypomniał Akeba. W czasie krótkiego marszu stale wracał do swojego prawa zemsty na mordercy córki.

- Żółtoskóry jest twój - powiedział nerwowo Akman. - Żałuję tylko, że nie rościsz sobie pretensji do tych demonów.

Sharak potrząsnął laską, trzymając ją oburącz jak linę ratunkową.

- Ja zajmę się demonami. Przyprawdźcie je do mnie. - Wiatr znad morza zajęczał w koronach drzew, jak gdyby w odpowiedzi i Sharak szybko stracił rezon.

- Miejmy to już za sobą powiedział Tamar niecierpliwie.

Conan nie wiedział, co nim kieruje - zdenerwowanie czy chęć walki.

- Trzymajcie się razem - wydał ostatnią instrukcję. - Ci, którzy się odłączą, staną się łatwą ofiarą. - i poprowadził ich wzdłuż wysokiego białego muru.

Kotewki zabrane z galery zaświszczały w powietrzu i z cichym brzękiem zahaczyły się o szczyt ogrodzenia. Ludzie zaroili się na linach jak mrówki i zniknęli po drugiej stronie.

Zza murem Conan ledwo zważał na podążających za nim ludzi, uzbrojonych, rozsypujących się na obie strony tak, że on stanowił czubek strzały. Trzymał miecz w pogotowiu. Myślał tylko o Jhandarze. Nie zwracając uwagi na inne budowle, zmierzał ku największemu gmachowi, alabastrowemu pałacowi ze złotymi kopułami, kolumnadami i wieżami z porfiru. Tam był Jhandar. Jhandar i Yasbet, o ile jeszcze żyła. Ale najpierw Jhandar, Yasbet bowiem nie mogła czuć się naprawdę bezpieczna, dopóki czarnoksiężnik nie padnie trupem.

Nagle wyrósł przed nim człowiek w żółtych szatach. Wytrzeszczył oczy na intruzów, poderwał sztylet i wrzasnął:

- Na Święty Chaos, giń!

Głupiec traci czas na krzyki, pomyślał Conan, wyszarpując głownię z martwego ciała. I, na Croma, co to za bóg ten Chaos?

Ale okrzyk przyciągnął następnego, który z tym samym zawołaniem próbował dźgnąć Conana włócznią. Cymmerianin złapał drzewce i odsunął grot od ciała, a czubek miecza sprawił, że dziwny okrzyk utonął w bulgotaniu krwi.

Potem na otwartą przestrzeń wyległy setki mężczyzn i kobiet w szafranowych szatach. Najpierw wyglądali tylko na zaciekawionych, potem ci najbliżsi zobaczyli ciała i podnieśli krzyk. Ogarnęła ich panika i rzucili się do ucieczki. Nie myśleli o walce, lecz było ich tak wielu, że niemal stratowali

tych, których się wystraszyli.

Zapominając o wydanych przez siebie instrukcjach, Conan zaczął przepychać się przez tłuszczę w kierunku pałacu. W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl. Jhandar. Dopaść Jhandara.

\* \* \*

- Najwyższy Panie, zaatakowano nas.

Jhandar, połączony duchowo z Mocą, poruszył się nerwowo. Dopiero po dłuższej chwili oderwał oczy od rozjarzonej sadzawki i skupił je na Suitaim, który stał niespokojnie w nienaturalnym blasku wypełniającej komnatę.

- Co? Czemu mi przeszkadzasz, Suitai? Wiesz, że to zabronione.

- Tak, Najwyższy Panie, ale atak...

Wreszcie jego słowa dotarły do Jhandara.

- Atak? Wojsko? - Czyżby znów miało spotkać go niepowodzenie?

- Nie, Najwyższy Panie. Nie wiem; kim oni są ani jak wielu. W całym kompleksie panuje rozgardiasz. Nie można ich policzyć. Zabiłem jednego; był brudny i na Wpół nagi, i nosił pręgi po biczu.

- Niewolnik? - zdumiał się Jhandar. Miał kłopoty z myśleniem; jego - umysł nastawił się na zjednoczenie z Mocą, a łączność ta nie została w pełni osiągnięta. - Zbierz Wybranych i pozbądźcie się tych intruzów, kimkolwiek są. Potem przywróćcie porządek.

- Wszystkich Wybranych, Najwyższy Panie?

- Tak, wszystkich - rzucił z rozdrażnieniem czarownik. Czy ten człowiek nie umie zrobić nawet tego, co mu się każe? Musiał się uspokoić, zakończyć wchłanianie Mocy.

- Odłożysz ceremonię, Najwyższy Panie?

Jhandar zamrugął; jego oczy same wędrowały ku Sadzawce Kresu; potrząsnął głową.

- Odłożyć ceremonię? Oczywiście, że nie. Myślisz, że do odprawienia obrzędu potrzebna mi obecność tych głupców? - Z całych sił powstrzymywał się od patrzenia na sadzawkę, żeby zachować jasność myślenia. - Zbierz Wybranych, jak rozkazałem. Sam przywiędę dziewczynę do Komnaty Ofiary i zrobię, co trzeba. Idź!

Khitajczyk w czarnym stroju skłonił się i wybiegł z pomieszczenia, zadowolony, że oddala się od uwięzionej w nim Mocy. Jhandar potrząsnął głową i Wbił oczy w sadzawkę. Rozjarzona mgła

wypełniła przestrzeń ograniczoną przez nieziemską kopułę. Zdawała się wsysać go w swoje głębie. Ze złością odsunął od siebie to uczucie, choć nie mógł się go pozbyć. Zdecydował, że nie ma potrzeby dopełniania połączenia z Mocą. Był rozkojarzony i osiągnięcie pełni mogło trwać do świtu. Nie miał na to czasu. Dziewczyna tej nocy musi należeć do niego. Moc pulsowała mu w kościach, krążyła w jego żyłach. Był gotów do odprawienia rytuału.

Zebrał szaty i wyszedł, aby sprowadzić Yasbet i Davinię do Komnaty Ofiary.

## XXV

Czujnie, z obnażonym mieczem, Conan sunął pod ścianą pałacowego korytarza. Nie poświęcił jednego spojrzenia ani bogatym gobelinom, ani starożytnym wazom z bezcennej khitajskiej porcelany. Akeba, z szablą w ręce, skradał stępo drugiej stronie. Przypominali parę dobrze wyszkolonych i groźnych psów myśliwskich.

Cymmerianin nie wiedział, gdzie są inni. Od czasu do czasu z zewnątrz napływał szczepek stali i krzyki umierających; echa z innych części pałacu niosły podobne odgłosy. Nie potrafił odgadnąć, kto wygrywał, a kto umierał, i w tej chwili nie zależało mu na poznaniu odpowiedzi. Szukał Jhandara i instynkt podpowiadał mu, że z każdym krokiem jest coraz bliżej celu.

Z bocznego korytarza wysunęli się, krokiem tak cichym jak stąpanie śmierci, trzej mężczyźni w szafranowych szatach.

Błysnęły szable; Conan przyjął cios na miecz i odbił klingę w stronę ściany. Gdy ostrze znalazło się w położeniu równoległym do podłogi, zatoczył krótki łuk, nieomal odrąbując głowę przeciwnika. Zmienił kierunek i rozplątał głowę drugiego na chwilę przed tym, nim stał Akeby ugrzęzła między żebrami nieszczęśnika. Mężczyzna osunął się na trzeciego, który wcześniej zginął z ręki Turańczyka.

- Dobra robota - mruknął Akeba, wycierając szablę w szatę zabitego. - Powinieneś pomyśleć o zaciągnięciu się do wojska, jeśli przeżyjemy i opuścimy to... - urwał, gdy w korytarzu pojawił się następny nieprzyjaciel: odziany w czerń khitajski zabójca.

Szedł ku nim niespiesznie, z niedbałą pewnością wielkiego drapieżnika, który wie, że łowy zakończą się sukcesem. Nie miał broni, jednakże Conan dobrze pamiętał martwych ludzi w jurcie Samarry - nie mieli ran, lecz każdą twarz wykrzywiało przerażenie - i Zorellę, która umarła od dotknięcia jego ręki.

Conan mocniej zacisnął dłoń na wytartej rękojeści miecza. Gdy wysunął się do przodu, Akeba położył rękę na jego ramieniu. Głos żołnierza był zimny jak stal.

- On jest mój. Prawem krwi, on jest mój.

Conan ustąpił mu niechętnie i Turańczyk sam ruszył ku Khitajczykowi. Wielki Cymmerianin z

konieczności musiał się przyglądać, jak jego przyjaciel toczy walkę na śmierć i życie. Cały czas myślał o Jhandarze, ale droga do czarnoksiężnika wiodła tylko obok krążącej przed nim pary.

Khitajczyk uśmiechnął się; jego ręka uderzyła niczym wąż, ale Akeba był szybki jak mangusta. Zabójca zrobił unik przed błyszczącą stalą żołnierza. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Mężczyźni poruszali się jak tancerze, obaj świadomi śmiertelnego zagrożenia, jakie stanowił przeciwnik. Połyskliwa stal mierzyła się z gołą, lecz nie bezbronną ręką; celem obu było zadanie śmierci. W pewnej chwili Khitajczyk rozszyfrował rytm ruchów Akeby; śmiertelna dłoń skoczyła do gardła żołnierza. Akeba rozpaczliwie poderwał rękę i cios chybił celu. Turańczyk z krzykiem zatoczył się do tyłu, szabla upadła na podłogę, ręka zwisała bezwładnie. Drugą sięgnął po sztylet. Zabójca przystanął i roześmiał się pogardliwie przed przypuszczeniem ostatecznego ataku.

- Na Croma! - ryknął Conan i skoczył.

Jedynie nadprzyrodzona gibkość uratowała Khitajczyka przed ostrzem, które ze świstem rozcięło powietrze. Z uśmiechem skinął na Cymmerianina, zapraszając go do podejścia, o ile starczy mu śmiałości.

- Obiecałem, że pozwolę ci go zabić - powiedział Conan do Akeby, nie odrywając oczu od człowieka w czerni - a nie na odwrót.

Turańczyk zaśmiał się chrapliwie. Z jego oczu wyzierał ból. Zaciskał sztylet w dłoni, lecz druga ręka wisiała bezwładnie wzdłuż boku i tylko ściana uchroniła go przed upadkiem.

- Skoro się wtrąciłeś - wycharczał z trudem przez zaciśnięte zęby - musisz go dla mnie zabić, Cymmerianinie.

- Tak - wysyczał zabójca. - Zabij mnie, barbarzyńco.

Conan bez ostrzeżenia przypuścił atak, mierząc mieczem w brzuch żółtoskórego. Suitai cofnął się płynnie, jakby sunąc po podłodze, i zatrzymał się tuż poza zasięgiem broni.

- Postaraj się zrobić to lepiej, barbarzyńco. Che Fan nie miał racji. Jesteś tylko człowiekiem, jednym z wielu. Nie wierzę, że wszedłeś na Ziemię Przeklętą, ale nawet jeśli tak, przeżyłeś tylko dzięki szczęściu. Ja, Suitai, położę kres twojemu żywotowi. Chodź i spotkaj się ze śmiercią.

Gdy wysoki mężczyzna przemawiał, Conan powoli przesuwiał się do przodu, nie odrywając stóp od marmurowej posadzki, dzięki czemu ani przez chwilę nie stracił równowagi. Miecz trzymał nisko przed sobą - czubek przesuwiał się z boku na bok niczym język żmii, światło z wypolerowanych mosiężnych lamp lśniło na stali, i choć Khitajczyk przemawiał z ogromną nonszalancją, jego oczy nie odrywały się od ostrza.

Nagle, gdy zabójca zamilkł, Conan przerzucił miecz do lewej ręki i oczy Suitai mimowolnie przesunęły się za bronią. W tej samej chwili Cymmerianin zerwał gobelin ze ściany i zarzucił go na przeciwnika. Materia owinęła się wokół głowy i piersi Khitajczyka, a Conan skoczył. Stał przebiła tkaninę i ciało, zazgrzytała na kości.

Powoli zabójca podniósł róg gobelinu, który zakrywał mu głowę. Szkliste oczy z niedowierzaniem spojrzały na miecz sterczący z piersi, na ciemną krew, płamiącą szatę.

- Nie ja spotkam się ze śmiercią - powiedział Conan - tylko ty.

Khitajczyk próbował się odezwać, lecz krew popłynęła mu z ust i przewrócił się na marmurową posadzkę. Conan wyszarpnął miecz i starannie wytarł jaw gobelin, jak po kontakcie ze ścierwem.

- Winienem ci wdzięczność, przyjacielu - powiedział Akeba, odsuwając się chwiejnie od ściany. Twarz błyszczała mu od potu, a rękę nadal miał bezwładną, ale z trudem się wyprostował, gdy spojrzął na zwłoki mordercy córki. - Teraz musisz polować na własną rękę.

- Jhandar - mruknął przeciągle Conan i ruszył, nie dodając już ani słowa.

Jak wielki drapieжник skradał się przez sale rześńie oświelone, choć pozbawione życia. Bogowie mieli w swej opiece tych, których nie napotkał po drodze, nie zatrzymałby się bowiem iżby sprawdzić, czy są uzbrojeni. Płonał żądzą zabicia Jhandara. Każdy, kto próbowałby mu przeszkodzić, ległby w kałuży własnej krwi.

Wreszcie zatrzymały go wielkie, kute w brązie odrzwia. Pokrywał je skomplikowany wzór, a jednak wydawało się, że nic ich nie zdobi, trudno było bowiem skupić na nich spojrzenie. Conan położył ręce na zimnym metalu, naprężył mięśnie i rozchylił powoli masywne skrzydła. Z mieczem w dłoni przestąpił próg.

Kolistą komnatę przepelniała niemal namacalna groza. Na czarnym ołtarzu leżała Yasbet, skrępowana i zakneblowana. Po jednej stronie stała Davinia, z nożem wzniesionym do zadania ciosu w serce, po drugiej Jhandar śpiewał zaklęcia, które mroziły powietrze. Nad całą grupą tworzyła się połyskliwa, srebrnolazurowa kopuła.

- Nie! - ryknął Conan.

W chwili gdy skoczył w ich stronę wiedział, że nie zdąży przed nożem. Sięgnął po sztylet. Davinia zamarła, słysząc jego okrzyk. Zaklęcia ucichły, gdy Jhandr odwrócił się, żeby spojrzeć na człowieka, który śmiał przerwać obrzęd. Conan rzucił sztylet w stronę Davinii - kobieta nadal trzymała nóż nad skrępowaną dziewczyną - ale Jhandar ustawił się między nimi. I wrzasnął, gdy stał ostra jak igła przeszła jego ramię.

Ściskając ranę, z krwią sączącą się między palcami, Jhandar skierował straszliwe oczy na Conana.

- Wzywam was na krew i ziemię i Moc Chaosu - zaintonował. - Zniszczcie tego barbarzyńcę!

Davinia skuliła się ze strachu; gdyby śmiała, z pewnością by uciekła.

Podłoga zadygotała i Conan zatrzymał się, gdy marmur popękał i wyrzucił się niemal pod jego stopami. Błoniasty, zębaty stwór, taki jak te napotkane wcześniej, torował sobie drogę przez ziemię i kamienie. Z dzikim rykiem Cymmerianin wznosił miecz nad głowę i opuścił go, wkładając w cios

całą siłę. Ostrze rozplątało demoniczną czaszkę po same ramiona. Nadal jednak żywy i nie krwawiący stwór pełził w jego stronę. Musiał porąbać go na kawałki, a nawet one skręcały się w niepohamowanej furii. Więcej oślizłych stworów, warczących w obłądnej żądzy krwi, przedarło się przez płyty między nim a ołtarzem, i po obu stronach. Conan wymachiwał mieczem niczym niestrudzony żniwiarz, stal wznosiła się i opadała jak kosa. Odrąbane kończyny, głowy i kawały ciała wały się po posadzce, a jednak z trzewi ziemi wylewał się nieprzerwany strumień nowych stworów. Odgradzały Conana od Yasbet i ołtarza, a jego klęska była tylko kwestią czasu. Nieziemskie poczwary przeważały nad nim samą liczbą.

Jhandar, przewidując rychły koniec Cymmerianina, uśmiechnął się z satysfakcją.

- A więc Suitai kłamał. Porachuję się z nim za to. Ty, barbarzyńco, przerwij na chwilę swoje ćwiczenia, jeśli możesz, by przyjrzeć się, jaki los spotka tę kobietę, Esmirę. Davinio! Rób, co ci poleciłem!

Z twarzą wykrzywioną z przerażenia Davinia jeszcze raz podniosła sztylet o srebrnym ostrzu. Szeroko otwierała oczy, wodząc nimi za niekształtnymi stworzeniami atakującymi Conana, ale rękę miała pewną. Jhandar znowu zaczął wzywać Moc.

Conan, szalejąc z wściekłości, próbował wyciąć sobie drogę do ołtarza, ale zdawało się, że w miejsce jednego powalonego napastnika pojawiają się dwaj następni.

Za plecami Cymmerianina nastąpiło jakieś zamieszanie i w jego polu widzenia pojawił się człowiek w szafranowych szatach. Krew spływała mu po twarzy, gdy próbował podnieść miecz. Za nim podążał Sharak. Conan był tak zdumiony, że zamarł ze wzniesionym mieczem i wlepił oczy w przybyłych. Stwory wykorzystały tę chwilę nieuwagi i zacieśniły krąg wokół niego. Cymmerianin otrząsnął się i zdwoił wysiłki, aby je powstrzymać.

Laska Sharaka zadudniła na głowie przeciwnika; krew bryznęła z wygolonej czaszki, a jej właściciel padł bez życia. Jego miecz potoczył się po posadzce i znieruchomiał przy ołtarzu. Jhandar rzucił gniewne spojrzenie przez ramię, lecz nie zaprzestał śpiewu.

Conan odrąbał wyszczerzony łeb i kopnął bezgłowe ciało, na oślep machając pazurami, pod stopy następnego stwora. Odrąbał mu ramię, potem nogę, potem połowę czaszki... Wiedział, że jego czas dobiega końca. Potworów było zbyt wiele.

Nagle Sharak przyskoczył do jego boku, dziko wymachując laską.

- Zmiataj stąd! - krzyknął Conan. - Jesteś za stary, żeby...

Laska Sharaka zadudniła na błoniastej czaszce i stworzenie wrzasnęło przeraźliwie. Jhandar przy ołtarzu szarpnął się, jakby poczuł cios. Nawet inne poczwary zamarły, gdy iskry przebiegły po sinoszarej skórze trafionego potwora. Z suchym trzaskiem, jakby uderzył grom, stwór zniknął. Pozostał po nim tylko oleisty, czarny dym, który popłynął w górę.

- Mówiłem ci, że ma Moc! - wrzasnął dziko stary astrolog. Uderzył ponownie; kolejne kłęby dymu

wzniosły się w kierunku sklepienia.

Potworne zjawy cofnęły się, łypiąc przerażonymi czerwonymi ślepiami na Jhandara. Przez chwilę droga do ołtarza stała otworem i Conan skoczył do czarnego kamienia.

Przez jedno uderzenie serca Jhandar stał jak wryty, potem zawył:

- Są tu Moce, jakich nie widziałeś w najgorszych koszmarach! Staw im czoło! - i skoczył do niewielkiego, zwieńczonego hakiem wyjścia. Po ucieczce maga stworzenia, najwyraźniej uwolnione spod jego wpływu, także zniknęły.

Conan przystanął niezdecydowanie. Poprzysiągł, że najpierw rozprawi się z czarownikiem, lecz Yasbet leżała skuta na ołtarzu, a Davinia...

Gdy na nią spojrzał, zwinna blondynka spłoszyła się i nerwowo oblizwała usta.

- Doszły mnie słuchy, że odpłynąłeś za morze, Conanie - zaczęła, a gdy jego twarz nie złagodniała, szybko zmieniła wersję. - Zostałam zniewolona, Conanie. Jhandar jest czarnoksiężnikiem i zmusił mnie do tego. - Trzymała sztylet nisko, z lekko uniesionym ostrzem, jak doświadczony nożownik, jednak nie przybliżyła się do Conana.

Conan podbiegł do Yasbet. Dziewczyna szarpnęła się w łańcuchach. Cztery razy miecz Cymmerianina wznosił się nad żelaznymi okowami, zanim poddały się stali.

Yasbet wyrwała knebel z ust, zsunęła się z ołtarza i poderwała z posadzki miecz martwego czciciela Kultu. Naga, ze wzburzoną grzywą włosów spływającą na ramiona i piersi, wyglądała jak rozgniewana bogini wojny.

- Rozprawię się z tą... - Popatrzyła wściekle na Davinię.

- Głupia dziewczyno - warknął Conan. - Nie uwolniłem cię po to, by patrzeć, jak giniesz!

- A ja myślę, że to Cymmerianin jest głupcem! - zawołał Sharak. Nadal skakał jak marionetka, zmiatając laską członki stworów, które walały się po komnacie. - Trzeba najpierw zabić czarnoksiężnika, inaczej wszystko pójdzie na mamę!

Conan wiedział, że starzec mówi prawdę. Rzucił ostatnie spojrzenie na Yasbet, zbliżającą się z ponurą miną do wykrzywionej Davinii, i popędził za Jhandarem.

Wąski korytarz nie był długi. Niemal od razu zobaczył blask, ten sam srebrzysty błękit, który jarzył się nad ołtarzem, lecz tysiackroć jaśniejszy. Przyspieszył kroku i wpadł do małej, niczym nie ozdobionej komory. Na środku, otoczony przez proste kolumny, skrzył się i pulsował wielki bąbel kotłującej się mgły. W tym oślepiającym blasku Conan prawie nie widział Jhandara. Czarnoksiężnik stał po drugiej stronie sadzawki, z rozpostartymi rękami. Wypowiadał niezrozumiałe słowa, a głos maga dźwięczał jak spiżowy dzwon i odbijał się echem od ścian. Jaskrawa masa mgły przyciągała i przykuwała oczy Cymmerianina, atakowała jego umysł z siłą ciężkiego młota, grożąc roztrzaskaniem go na tysiące fragmentów. Z pulsującej mgły emanowało nie dobro ani zło, lecz zaprzeczenie



istnienia. Niewyraźne kształty, rozmywane przez oślepiający blask, poruszyły się na krańcach zasięgu jego wzroku. Uformowały się w dwie pokryte błoną istoty rodem z grobu, sunące ku niemu pod ścianą, jak gdyby bały się tego blasku. Wiedział, że musi rozprawić się z nimi i dotrzeć szybko do Jhandara, zanim mag zakończy swoje czary, ale toczył wewnętrzną walkę. Nigdy nie poddawał się, gdy miał siły lub środki do stawienia oporu, lecz tym razem przemknęła mu przez głowę myśl o kapitulacji. Mgła była wszechpotężna. Nagle zapłonęła w nim wściekłość. Jako chłopiec w lodowych górach Cymmerii widział ludzi porwanych przez lawinę, pochłanianych przez ogromne fale śniegu i ziemi, ale nie godzących się z nieuniknionym losem. Nie podda się. On-się-nie-podda!

Krzyk nieposkromionego gniewu wybuchnął z jego gardła. Conan zawirował, wymachując mieczem jak toporem. Głowa i korpus pierwszego stworzenia przechyliły się, odcięte od bioder i nóg. Jhandar, tłukło się w mózgu Cymmerianina. Wyszarpnął stal z ciała potwora i ruszył ku czarnoksiężnikowi.

Stwór okazał się jednak niepokonany. Górna część cielska przekręciła się po upadku i złapała go za nogi, i razem potoczyli się po kamiennej posadzce. Spiczaste zęby wgryzły się w udo Conana, ale nim owładnęła wściekłość tak obłądana, że sam przypominał bestię, z którą walczył. Trzasnęła rękojęścią w czaszkę stworzenia, raz, drugi i trzeci, i tłukł, aż pozostała z niej tylko mazista papka. Mimo to bezrozumne macki nadal trzymały go za nogi.

Pieśń trwała nieprzerwanie, jak gdyby Jhandar, zagłębiany w Mocy, nie zdawał sobie sprawy z obecności Cymmerianina.

Klekot pazurów ostrzegł Cymmerianina, że zbliża się drugi przeciwnik. Zaatakował z furją, na wpół oślepiony przez coraz jaśniejszy blask. Trafił tylko w kończynę - stwór potknął się, stracił równowagę i upadł z wrzaskiem na jarzącą się kopułę. Błyskawice przeskoczyły z trzaskiem i... poczwara zniknęła.

Droga do Jhandara znowu była wolna. Z ponurą determinacją w oczach Conan poczołgał się ku magowi. Zwierzęca furia zaćmiewała mu umysł. Czarnoksiężnika czekała śmierć, nawet gdyby musiał rozedrzeć mu gardło gołymi rękami. Jednak w małym, przytomnym zakątku umysłu kołatała się rozpacz. Głos Jhandara wibrował, lada moment zaklęcia miały umilknąć. Mag osiągnie cel, zanim Conan zdąży do niego dotrzeć. Moce ciemności swobodnie zaczną hulać po ziemi.

Nagle jego uwagę przykuło zniknięcie drugiej bestii. Przypominało to... co? Tak, barierę wokół Ziemi Przeklętych. Gorączkowo się - gnał do sakiewki - musi tam być! - i wyciągnął skórzany woreczek z proszkiem od Samarry. Niemal wybuchnął śmiechem. Jeśli koszmary i tak miały wyrwać się na swobodę, tym razem Jhandar nie ujdzie z życiem. Conan rozwiązał rzemyki, ostrożnie rzucił miszek przed siebie, w kierunku pochłoniętego śpiewem czarnoksiężnika. Woreczek upadł tuż przy tętniącej kopule, proszek rozsypał się szeroko. Musiało wystarczyć.

- Zostaniesz pomszczona, Samarro - mruknął Conan i powoli, spokojnie wymówił słowa, których nauczyła go szamanka. Gdy przebrzmiała ostatnia sylaba, nad proszkiem rozbrzysło znajome lśnienie.

Jhandar zająknął się i umilkł. Przez krótką chwilę patrzył osłupiały, potem wrzasnął.

- Nie! Jeszcze nie! Nie, dopóki nie odejdę!

Przez to lśnienie, przez osłabiony fragment tarczy, która więziła Sadržawkę Kresu, coś przenikało. Umysł nie potrafił tego ogarnąć, oko nie mogło zobaczyć. Srebrne cętki zatańczyły w lazurowym powietrzu. Wydawało się, że nie ma tam nic więcej, jednak w posadzce powstawała coraz głębsza bruzda, gdy to coś wypełzało z sadzawki. Dotknęło kolumn wokół obwodu zagłębienia i nagle w powietrzu zawisły tylko ich połówki. Sklepienie zatrzeszczało. Coś otarło się o ścianę i kamienie w tym miejscu zniknęły. Ściana i część sufitu zarwały się, gruz wpadł w ten nieubłagany przyływ nieistnienia i zniknął.

Conanowi wrócił rozsądek w obliczu tego koszmaru. Część fantomu sunęła teraz ku niemu. Rozpaczliwie ciał mieczem uparte macki, które ścisnęły mu kostki.

Jhandar odwrócił się do ucieczki, ale gdy biegł, dotknęły go brzegi płynącego czegoś. Tylko skraje, zewnętrzne mgły, a jednak wrzasnął na całe gardło, jak torturowana kobieta albo przeklęta dusza. Dół szafranowej szaty rozpuścił się jak lód, a ciało na nogach zniknęło pod dotykiem mgły. Kość zajaśniała bielą i czarnoksiężnik upadł z wyciem równym krzykom wszystkich ofiar, które złożył na swoim czarnym ołtarzu.

Huk zapadającego się fragmentu sklepienia nie zdołał zagłuszyć upiornego wrzasku Jhandara. Conan podwoił wysiłki, rąbiąc żyłaste macki. Wreszcie pękło ostatnie ścięgno i wyzwolił się z nadnaturalnego uścisku.

Zerwał się na nogi i rzucił w stronę korytarza, a cętkowana srebrem fala omyła miejsce, w którym przed chwilą leżał. Nie bacząc na zranione udo, biegł, a w uszach dźwięczały mu się echa wrzasków Jhandara, który błagał bogów o miłosierdzie. Dotarł do komnaty z ołtarzem i wpadł na wyglądającego Sharaka.

- Co to za krzyki? - zapytał stary astrolog i dodał z zadumą: - Ucichły.

- Jhandar nie żyje - powiedział Conan, rozglądając się w poszukiwaniu Yasbet. Dziewczyna cięła żółte szaty zabitego mężczyzny, żeby sporządzić sobie z nich przyodziewek. Robiła to sztyłem, który Davinia miała wbić w jej serce. Blondynka klęczała w pobliżu, poturbowana, zakneblowana resztkami własnych złotych jedwabi. Pas tego samego materiału krępował jej ręce; inny jak smycz okręcał szyję.

Nagle komnata zadygotała. Podłoga wybrzuszyła się, przekrzywiła i opadła w stronę komory, z której uciekł Conan.

- Wyżera sobie drogę w trzewiach ziemi - mruknął. Sharak popatrzył nań pytająco.

- Co? Nic nie mogłoby...

Podłoga znowu zatańczyła i tym razem ruch nie ustał. Lampy spadły spod sufitu i roztrzaskały się w kałużach płonącej oliwy. W powietrzu zawisł kurz, wzbijany drzeniem podłogi, która przekrzywiła się z każdym uderzeniem serca.

- Nie ma czasu! - zawołał Conan, łapiąc Yasbet za rękę. - Biegiem! - Wprowadził słowa w czyn; pociągnął Yasbet i tym samym Davinia, gdyż ciemnooka dziewczyna nie wypuściła z rąk smyczy związanej na szyi blondynki. Sharak podążył za nimi z zaskakującą szybkością.

Biegli zarywającymi się korytarzami, przez komnaty, w których płonęły bezcenne kobierce i gobeliny. Wokół nich sypał się grad kamieni z kruszących się sufitów.

Wreszcie wybiegli z pałacu, ale na zewnątrz też nie było bezpiecznie. Ziemia dygotała, jakby stapał po niej sam Erlik. Wielkie drzewa kołysały się jak trzciny, a wysokie wieżyczki w hukiem waliły się w gruzy.

Byli też ludzie, setki ludzi, uciekający we wszystkich kierunkach. Hyrkańczycy w futrzanych czapach mieszały się czcicielami Kultu w szafranowych strojach. Ucieczka nie gwarantowała bezpieczeństwa. Conan zobaczył, jak w ziemi otwiera się szczelina, prosto pod nogami czterech uciekających - trzech z wygolonymi głowami i jednego w obszernym płaszczu z owczych skór. Kiedy dotarł w to miejsce, rozpadlina zamknęła się, grzebiąc wszystkich czterech we wspólnym grobie.

Na mur nie trzeba było się wspinać, gdyż wielkie jego fragmenty leżały w gruzach. Wdrapali się na spiętrzone kamienie. Conan nie pozwalał im zwolnić kroku. Gnały go wspomnienia wyniesione z Ziemi Przeklętych - musieli uciec jak najdalej od tego strasznego miejsca. Wpadli do pobliskiego lasu i pędzili coraz dalej i dalej, aż mięśnie Conana zaczęły drżeć z wysiłku, a Yasbet i Davinia straciły siły i musiał je na wpół nieść, na wpół ciągnąć za sobą.

Nagle ziemia przestała dygotać, w powietrzu zawisła martwa cisza. Usłyszeli nowy dźwięk, narastający ryk.

Sharak, oparty plecami o drzewo, rzucił Conanowi pytające spojrzenie.

- Morze - wydyszał Conan. Kobiety poruszyły się niemrawo w jego ramionach. - Pęknięcia dotarły do morza.

Za nimi czarne niebo stało się purpurowe. Ognista magma wybuchła z rykiem, szkarłatne fontanny mieszały się z syczącymi gejzerami pary, gdy morze wdzierało się w głąb ziemi. Powietrze zadrżało, potem zerwał się łagodny podmuch, który przybierając na sile przemienił się w trąbę powietrzną zasysaną przez próżnię, jaka utworzyła się w miejscu siedziby Kultu.

Conan próbował walczyć z wichurą i przytrzymać kobiety, ale jej siła rosła bez końca. W jednej chwili stał, w następnej leżał, orząc ziemię paznokciami, żeby nie zostać porwanym. Huragan unosił piasek, liście, gałęzie, a nawet kamienie.

- Trzymajcie się! - krzyknął, lecz wicher wtłoczył mu słowa z powrotem do ust.

Ziemia znowu zaczęła się wznosić. Cymmerianin zobaczył pędzący ku niemu konar, a potem spowiła go ciemność.

# Epilog

Kiedy odzyskał przytomność, był już dzień. Płaska nadmorska równina przemieniła się w faliste wzgórza pokryte zwałami splątanych, wyrwanych z korzeniami drzew. Yasbet! Conan podniósł się ociężale i jał przedzierać się między drzewami, połamanymi i rozrzuconymi jak słomki. Wykrzykiwał jej imię, ale nie uzyskał odpowiedzi. Gdy znalazł się na szczycie, zdumienie odjęło mu mowę.

Powstanie wzgórz to nie jedyna zmiana, jaka zaszła na powierzchni ziemi. W ląd wciniała się nowa zatoka, w której pływały martwe ryby. Conan gotów był pójść o zakład, że przez pewien czas woda w niej pozostanie gorąca.

Usłyszał chrapliwy głos i obok niego stanął Sharak.

- Tam stało siedlisko tych pomyleńców.

Conan zobaczył, że jakimś cudem, mimo wszystkich tych przejść, stary astrolog zachował swoją laskę. Teraz wspierał się na niej ciężko. Szaty starca zwisały w strzępach, a twarz była wymazana błotem.

- Nie sądzę, by rybacy mieli często zarzucać sieci w tych wodach - powiedział Conan. Sharak nakreślił znak przeciwko złu. - Widziałeś Yasbet?

Astrolog pokręcił głową.

- Widziałem wielu, głównie czcicieli Kultu, jak co tchu w piersiach umykali z tego miejsca. Widziałem Tamura i pół tuzina Hyrkańczyków, marzących o wyjeździe z Turanu i zarazem niepewnych, jak zostaną przyjęci w ojczyźnie. Założę się, że znajdziemy ich w jakiejś tawernie w Aghrapurze. Widziałem Akmana, jak spieszył na zachód. - Głos mu posmutniał. - Obawiam się, że Yasbet nie przeżyła.

- Przeżyłam, ty stary cymbale.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Conana na widok dziewczyny pnącej się po zboczu. Za nią, uwiązana jak na smyczy, wspinała się Davinia, a kilka kroków dalej szedł Akeba. Wszyscy troje byli niemiłosiernie ubłoceni i Conan wreszcie zauważył, że sam jest w podobnym stanie.

- Straciłam miecz - oznajmiła Yasbet, kiedy znalazła się na szczycie. Za cały strój służył jej wąski pas szafranowego materiału. Wyglądała jak dziewczka z tawern Aghrapuru, ale skąpy przyrodziewek jakby dodawał jej animuszu. - Zdobędę sobie następny. Winienesz mi więcej lekcji, Conanie. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Szermierki i innych rzeczy.

Akeba zakaszlał, żeby ukryć uśmiech; Sharak wyszczerzył zęby.

- Udzielę ci lekcji - obiecał Conan. - Ale dlaczego nadal ciągniesz Davinię? Puść ją albo zabij, jeśli takie twoje życzenie. Masz do tego prawo, ona bowiem chciała zabić ciebie.

Kolana ugięły się pod blondynką. Zanosząc się płaczem, przypadła do nóg Yasbet. Jej uroda zginęła pod skorupą brudu.

- Nie zrobię ani jednego, ani drugiego - oznajmiła Yasbet, przyjrzawszy się uważnie skulonej kobiecie. - Sprzedam ją do zamtuza. To miejsce w sam raz dla niej.

Davinia jęknęła; przerażenie w jej oczach mówiło, że raczej woli śmierć.

- I w ten sposób - dodała Yasbet - zdobędę środki potrzebne na zakup miecza.

- Cieszę się, że was widzę - odezwał się Akeba - ale chciałbym odejść stąd jak najszybciej.

- Tak, tak - zawołał podekscytowany Sharak. - Muszę wracać do Aghrapuru. Moc mojej łaski została dowiedziona, mogę więc podwoić... nie, potroić swoje stawki. Przyświadcysz temu, Akebo, prawda?

- Czemu mam przyświadczyć? - zapytał żołnierz. - Znowu zaczynasz z tym swoim kosturem?

Conan wyciągnął rękę do Yasbet i poprowadził ją w dół wzgórza, w kierunku Aghrapuru.

- Jhandar nazywał cię inaczej. Jak?

- Musiałeś źle usłyszeć. Yasbet to moje jedyne imię.

Davinia wepchnęła się między nich, pomrukując coś przez knebel.

- Chcesz zakosztować różgi przed sprzedażą? - zagroziła Yasbet. Blondynka, z oczami rozszerzonymi z przerażenia, uciszyła się i już nawet nie spojrzała na Cymmerianina.

Conan pokiwał głową. Yasbet kłamała, to jasne, ale ktoś powiedział, że takie jest prawo kobiety. Nie będzie na nią naciskać. Dotarły do niego urywki rozmowy idących z tyłu mężczyzn.

- Jeśli Conan to widział, to niech on poświadczy. Ja nic nie widziałem.

- Ale jesteś sierżantem, osobą urzędową. Nie pojmujesz, o ile lepsze będzie twoje słowo? Na pewno Conan opowie ci, co widział.

Uśmiech, jaki rozjaśnił twarz Conana w chwili gdy ujrzał Yasbet, stał się jeszcze szerszy. Miał za sobą ciężkie chwile, ale ten dzień wynagrodził trudy. Żył, miał trochę złota - pomacał sakiewkę, by sprawdzić, czy są w niej dwie monety - przyjaciół i śliczną kobietę. Czego więcej mógłby pragnąć?